



Kwartalnik polski

Nr 86

Rok (2014) 21

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452





Odbieranie życia innemu człowiekowi jest złem. Niszczenie i grabienie cudzych domów jest złem. Krzywdzenie bezbronnych kobiet i dzieci jest złem. Nienawiść jest złem. Wojna jest złem. Największym złem...

Jak więc stało się tak, że owo zło, które tak dotkliwie, tak boleśnie dotknęło wszystkich mieszkańców Ukrainy, mogło zrodzić tyle dobra, tyle wspaniałych odruchów najpiękniejszej, ludzkiej solidarności? Bogaci ofiarują pieniądze na rzecz żołnierzy, którzy bronią kraju przed obcą agresją. Kupują sprzęt wojskowy i ułatwiają żołnierski byt. Zwykli obywatele organizują fundusze charytatywne, gromadzą środki, za które kupują ubrania, buty i spiwory dla naszych obrońców. Wierni różnych konfesji zbierają jedzenie: konserwy, makaron, warzywa itp. I nawet emeryci, którym tak niełatwo żyje się na Ukrainie przynoszą słoiki pełne darów lata – przetworów zrobionych własnymi rękami. A wszystkie te dary serca Ludzie Niezwykli – Wolontariusze z narażeniem życia dostarczają na linię frontu.

Ludzie oddają krew na potrzeby szpitali, w których przebywają ranni. Nieznajomi odwiedzają w nich bohaterów, jak bliskie osoby: z kwiatami, prezentami i z dobrym słowem. Dzieci piszą do walczących listy pełne miłości, wiary i nadziei: w zwycięstwo i w ich szczęśliwy powrót. Te listy, ozdobione kolorowymi rysunkami, sprawiają wielką radość naszym Bohaterom. A jeszcze są tacy Wspaniali Ludzie, którzy niosą pomoc tym, których wojna wypędziła z własnych domów... Każdego dnia dowiadujemy się o kolejnych, niezwykłych inicjatywach naszych współobywateli, których celem jest niesienie pomocy walczącym o prawo Ukraińców do życia we własnym kraju. I tak, jak tego sami chcą. Każdego dnia dowiadujemy się o tym, jak kraje-sąsiedzi Ukrainy solidaryzują się mieszkańcami Kraju nad Dnieprem. I to rodzi nadzieję. Na zwycięstwo dobra. Tego dobra, którego w każdym człowieku jest tak bardzo wiele. Trzeba tylko pozwolić mu działać w naszym życiu i w życiu innych ludzi...

Droży Czytelnicy! Na Święta Bożego Narodzenia, na cały Nowy 2015 Rok życzę Wam z całego serca DOBRA. ZWYCIĘSKIEGO DOBRA! W Waszych rodzinach, w miejscach pracy, w sklepach, na podwórkach i na klatkach schodowych, w każdym spotkaniu z drugim człowiekiem. Na całej Ukrainie!

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

*kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie*

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (*red. naczelny*)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Ołeksij Brasławiec

Stali korespondenci:

Bożena Rafalska (Lwów);
Teresa Dutkiewicz (Lwów);
Stanisław Stępień (Przemyśl);
Jan Ciechanowicz (Wilno);
Wiktoria Wachowska (Żytomierz);
Michał Micel (Nowy Jork);

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu

Red. tech. Włodzimierz Baranowski

Zdjęcie na 1-4 str. okładki:

Andrzej Kandecki



Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania "Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Koordinator projektu:
Fundacja Wolność
i Demokracja.



Adres redakcji:
Ukraina, Kijów, 04119,
ul. Jakira, 13
tel/fax: (044) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.krynica.in.ua

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA	
Jubileusz 15-lecia Stowarzyszenia Polaków „Aster” (<i>Lucyna Ejma</i>)	2
W KRAJU	
Donald Tusk w Brukseli, nowe rozdanie w Warszawie (<i>Eugeniusz Jabłoński</i>)	4
GOSPODARKA	
XII Kongres Eksporterów Polskich (<i>Inf. SEP</i>)	8
POLSKA UNIA ŚWIAT	
Warszawskie felietony Mikołaja Oniszcuka`	10
POLACY UKRAINY	
Charakterystyka polskiej diaspory obwodu czernihowskiego (<i>Barbara Januszkiewicz</i>)	14
POSTACIE	
Michał Kleofas Ogiński – twórca poloneza „Pożegnanie Ojczyzny” (<i>Jan Ciechanowicz</i>)	18
SZTUKA	
Franciszek Żmurko – malarz pięknych kobiet (<i>Jan Ciechanowicz</i>)	32
HYMNIKA POLSKA	
U źródeł hymniki polskiej (IV) (<i>Bogdan Zakrzewski</i>)	47
POEZJA	
„Czołnem słowa”. Poezja Teresy Paryny	48
PROZA	
„Pod zagłami «Zawiszy». Don Kichoci z «Cietrzewia»” (<i>Piotr Dymitr Wiszniewski</i>)	54
ŚWIĘTA	
Wieczór wigilijny w tradycji polskiej (<i>Wiktoria Wachowska</i>)	56
Dziś narodził się nam Zbawiciel! (<i>Józef Mroczek</i>)	58
LEGENDY POLSKIE	
„Legends lipskie” (cz. I) (<i>Jerzy Drzewi</i>)	62
NOWOŚCI WYDAWNICZE	
Książki, które kształcą	70

JUBILEUSZ 15-LECIA STOWARZYSZENIA POLAKÓW „ASTER”

Dwudziestego czwartego września br. miało miejsce niezwykle wydarzenie. Stowarzyszenie Polaków „Aster” obchodziło jubileusz piętnastolecia działalności. Na uroczystości mieliśmy niewątpliwą zaszczyt i ogromną przyjemność gości, po raz pierwszy na nieżyńskiej ziemi, Ambasadora RP na Ukrainie Pana Henryka Litwina. Festiwalową tradycją stała się wizyta Konsula Generalnego RP Rafała Wolskiego, przedstawicieli Związku Polaków na Ukrainie, tym razem w osobie Wiceprezes Wiktorii Radik oraz redaktorów „Dziennika Kijowskiego” – Stanisława Panteluka i Andżeliki Płaksiny. Na święto przybył również kijowski wokalnno-taneczny zespół „Polanie znad Dniepru”.

Po tradycyjnym powitaniu gości chlebem i kwiatami, przedstawiciele władzy udali się na rozmowy w Urzędzie Miasta, gdzie omawiano możliwości współpracy między stroną polską a ukraińską. Następnie miała miejsce wizyta w katolickim kościele Świętych Apostołów Piotra i

Pawła oraz na cmentarzu polskim, gdzie złożono kwiaty i wspólnie odmówiono modlitwę. Goście udali się również do miejskiego archiwum, gdzie znajduje się wiele pamiątek po Polakach mieszkających w Nieżynie. Ambasadorka po raz pierwszy miała okazję zobaczyć Centrum Kultury Polskiej, gdzie szczególną uwagę zwrócił na ciekawe materiały o wybitnych Polakach, Polonii Nieżyna oraz na naukową pracę Stowarzyszenia. Goście zwiedzili również galerię obrazów na Uniwersytecie im. M. Gogola, gdzie znajdują się unikatowe na Lewobrzeżnej Ukrainie zbiory malarstwa.

Przy prawie dwuosobowej widowni Prezes Feliksa Bielińska i nauczycielka języka polskiego Lucyna Ejma przedstawiły multimedialną prezentację o działalności Stowarzyszenia. Następnie odbył się wspaniały koncert jubileuszowy, w którym wzięli udział artyści – członkowie stowarzyszenia, m.in.: dziecięcy zespół polskiej pieśni „Gwiazdeczka”, zespół taneczny „Wiktorii”, młodzieżowy



Dostojni Goście i Szanowni Jubilaci – na wspólnym zdjęciu

chór „Switycz” pod kierownictwem Zasłużonych dla Kultury Ukrainy profesor L. Szumskiej i profesor L. Kostenko, Orkiestra Narodowych Instrumentów pod kierownictwem Zasłużonego Artysty Ukrainy docenta M. Szumskiego. W koncercie wystąpił także zespół pieśni i tańca „Polanie znad Dniepru” – gość specjalny z Kijowa. Jak co roku muzycy wykonali utwory Chopina.

Podczas koncertu, jak i po nim, składano liczne podziękowania i życzenia na ręce Pani Prezes Feliksy Bielińskiej. Ambasador Henryk Litwin nagrodił dziesięć osób zasłużonych dla rozwoju kultury polskiej w Nieżynie, w tym Prezes Stowarzyszenia – Feliksę Bielińską, która dzięki patriotyzmowi przechowywanemu w sercu, wytrwale i pięknie działa na rzecz polskości w Nieżynie, która zawsze podkreśla historyczną znaczącą rolę Polaków dla rozwoju miasta i regionu. Dzięki niej Stowarzyszenie może pochwalić się sporym dorobkiem naukowym – wydało sześć części zbioru „Polacy w Nieżynie”, dwie części zbioru starodruków od pocz. XVI do XVIII wieku „Polonica”, aktualnie zajmuje się pracą nad

encyklopedyczno-biograficznym słownikiem „Polacy w Nieżynie”. Stowarzyszenie Polaków „Aster” jest również organizatorem konferencji naukowych na temat „Polonistyka Czernichowszczyzny”, na których omawiany jest wkład Polaków w dzieło rozwoju gospodarki, kultury i polityki Lewobrzeżnej Ukrainy. Poza tym Stowarzyszenie organizuje corocznie Festiwal Polskiej Kultury a dzieci z fakultetu języka polskiego biorą udział w różnych festiwalach i konkursach na Ukrainie i w Polsce, gdzie zdobywają wysokie nagrody. Dzieci mają możliwość podjęcia nauki w Polsce; od niedawna również w warszawskim liceum. W Nieżynie urządzone są wieczory tematyczne, które mieszkańcom miasta przybliżają kulturę i historię Polski. Stowarzyszenie organizuje także obchody najważniejszych świąt narodowych i kościelnych.

Po koncercie wykonawcy i zaproszeni goście udali się na uroczystą kolację, podczas której wznoszono liczne toasty na cześć Stowarzyszenia i Pani Prezes.

Lucyna EJMA



Rozmowa w siedzibie Stowarzyszenia „Aster”. Od lewej: Konsul Generalny RP Rafał Wolski, Ambasador RP na Ukrainie Henryk Litwin i Prezes Feliksa Bielińska

DONALD TUSK W BRUKSELI, NOWE ROZDANIE W WARSZAWIE

Tego wyboru spodziewano się co najmniej od roku, ale nikt się tym nie afiszował, bo do ostatniego momentu nic nie było przesądzone. Jednak oczekiwania w pełni się spełniły. Na posiedzeniu przywódców 28 państw Unii Europejskiej 30 sierpnia bieżącego roku premierowi Polski Donaldowi Tuskowi jednomyślnie powierzono obowiązki przewodniczącego Rady Europejskiej, czyli jakby prezydenta wszystkich krajów Unii. Kadencja na tym stanowisku trwa 2,5 roku – z możliwością ponownego wyboru na kolejne 2,5 lat.

Ten wybór to osobisty sukces Donalda Tuska. Niektórzy obserwatorzy w Polsce porównali go do wyboru przed laty kardynała Karola Wojtyły na papieża – Jana Pawła II. Stał się on najwyższym w świecie sternikiem setek milionów katolików, zaś Donald Tusk czołową osobistością w Europie. I także w świecie. Jest to jednak również uznanie dla tej drogi, którą Polska przebyła przez ostatnie 25 lat, dla jej miejsca we współczesnej wspólnocie międzynarodowej. To także ukłon w stronę krajów Europy Środkowo-Wschodniej, dla rosnącej pozycji 10 krajów, które do Unii Europejskiej zostały przyjęte w 2004 roku i dla 3 przyjętych w nieco późniejszym terminie. Mocnego poparcia polskiemu premierowi udzielili czołowi liderzy państw europejskich, a zwłaszcza kanclerz Niemiec Angela Merkel, prezydent Francji Françoise Hollande i premier Wielkiej Brytanii David Cameron. Kanclerz Niemiec darzy Donalda Tuska wielką osobistą przyjaźnią i powszechnie mówi się, że to właśnie ona przełamała jego wszelkie wahania i opory przed zdecydowaniem się na zostawienie innym politykom spraw polskich na rzecz przeniesienia się do Brukseli celem zajęcia się nowymi odpowiedzialnymi zadaniami.

Do opowiedzenia się za Tuskiem przemawiało wiele czynników i okoliczności. To, że jest on politykiem wielkiego formatu, że ma ogromne doświadczenie w sterowaniu sprawami trudnymi i skomplikowanymi, które zdobył przez siedem lat jako premier i przez jedenaście jako przywódca Platformy Obywatelskiej (PO), który siedmiokrotnie pod rząd wygrał różne ważne ogólnopolskie wybory. Przemawiało za nim i to, że przez wielki kryzys przeprowadził swój kraj suchą stopą, zapewniając mu łącznie 20-procentowy rozwój, gdy inne kraje zanotowały zastój, a nawet regres gospodarczy.

Ponadto jest bardzo pracowity, komunikatywny, otwarty, niekonfliktowy, zręczny w rozmowach i negocjacjach politycznych, skromny, nie goni za pieniędzmi, unika salonów (nadal w Sopocie mieszka w niewielkim mieszkaniu, które przed laty kupił za ciężko

zarobione pieniądze jako pracownik fizyczny). Jest też wielkim entuzjastą europejskiej współpracy i solidarności, wierzy w trwałość Unii Europejskiej, jej możliwości i dalszy rozwój. Na przykład w pierwszym krótkim przemówieniu po wyborze powiedział, że nie wyobraża sobie Unii bez Wielkiej Brytanii, czym od razu zyskał sobie szacunek znacznej części Brytyjczyków sceptycznie nastawionych do dalszego członkostwa ich kraju w Unii. Zna też dobrze język angielski i bardzo dobrze niemiecki oraz rosyjski.

W Brukseli, w której swe stanowisko objął 1 grudnia tego roku (jako dopiero drugi przewodniczący Rady Europejskiej, po byłym premierze Belgii Hermanie Van Rompuy), czeka go ogrom pracy i niełatwe wyzwania na dziś i jutro. Będzie przygotowywał program i dokumenty na co kwartałne szczyty szefów państw Unii i im przewodniczył. A potem czuwał nad realizacją ustaleń. Będzie stale utrzymywał osobiste kontakty bezpośrednie i telefoniczne z przywódcami nie tylko państw Unii, ale także Stanów Zjednoczonych, Kanady czy takich mocarstw, jak Chiny, Rosja czy Indie, występując w imieniu całej wspólnoty unijnej. Może się więc stać i zapewne szybko się stanie jednym z głównych rozgrywających w polityce europejskiej. A tu już dziś jest do rozwiązania wiele trudnych i niecierpiących zwłoki problemów jak bezpieczeństwo energetyczne i gazowe, zmniejszenie i ograniczenie bezrobocia, trwałe rozwikłanie kryzysu na Ukrainie, ułożenie poprawnych stosunków Unii z Rosją i mnóstwo innych. Będziemy zatem pilnie nasłuchiwać na wieści z Rady Europejskiej w Brukseli; miejmy nadzieję, iż dominować w nich będą te dobre, uspokajające, krzepiące, dodające otuchy i nadziei.

Donald Tusk, co zrozumiałe, zabrał z sobą do pracy w jego najbliższym otoczeniu kilku najbardziej zaufanych i doświadczonych współpracowników z Polski, jak choćby Paweł Graś, były rzecznik prasowy rządu, potem minister w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej.

Na komisarza Unii Europejskiej (jakby ministra) powołana została również dotychczasowa minister rozwoju regionalnego, a od roku wicepremier, minister infrastruktury i rozwoju Elżbieta Bieńkowska. Pochodzi ona z Mysłowic na Śląsku i tam nadal mieszka na stałe, ale Polacy pamiętają ją i cenili głównie za sprawność rządzenia i umiejętne wydawanie wysokich dotacji unijnych na przyspieszenie rozwoju cywilizacyjnego Polski. Jako komisarz unijny odpowiadać będzie za bardzo ważne obszary życia gospodarczego: jednolity



Donald Tusk i Ewa Kopacz

rynek wewnętrzny, przemysł, za małe i średnie przedsiębiorstwa, a na dodatek za problemy kosmosu. Elżbieta Bieńkowska jest z wykształcenia orientalistką, zna biegle język angielski i perski, a także inne, ale od lat świetnie sobie radzi w całym obszarze spraw unijnych. I zapewne da szybko Polakom powody do dumy z jej działania w Brukseli.

W związku z awansem i koniecznością rychłego wyjazdu do Brukseli oraz zgodnie z konstytucją Donald Tusk złożył na ręce prezydenta Bronisława Komorowskiego dymisję tak swoją, jak i całego gabinetu. Jednocześnie publicznie zasugerował, by nowym premierem została Ewa Kopacz, lekarka-pediatra z powiatowego miasta Szydłowiec, minister zdrowia w latach 2007 – 2011, następnie marszałek Sejmu (jako pierwsza w Polsce kobieta na tym stanowisku), jednocześnie pełniąca rolę pierwszego zastępcy przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. A jest lubiana i szanowana przez większość Polaków. Bronisław Komorowski miał pełną konstytucyjną samodzielność w wyznaczeniu nowego premiera. Ale i on docenił zalety Ewy Kopacz i bez większego wahania powierzył jej misję sformułowania nowego rządu. Tym samym została ona dopiero drugą kobietą w Polsce na tym stanowisku, po Hannie Suchockiej piastującej to stanowisko przez ponad rok na przełomie lat 1992 – 1993. Nowa premier ma 57 lat.

Ewa Kopacz sprawnie wywiązała się z powierzonej misji. Wbrew obawom, iż będzie ona niesamodzielna i sugerować się będzie wskazaniem Tuska (bo dotychczas była wobec niego lojalna), ukształtowała gabinet absolutnie autorski. Znalazło się w nim 12 dotychczasowych ministrów oraz 5 nowych plus jako szosta ona sama w roli premiera. W gabinecie tym znalazło się nieco więcej pań niż uprzednio, bo wraz nią 6, w tym znów po raz pierwszy w historii Polski obowiązki ministra spraw wewnętrznych przypadły właśnie kobiecie – Teresie Piotrowskiej.

O tym, że przy konstruowaniu rządu nie kierowała się ona żadnymi życziwymi podpowiedziami „nie do odrzucenia”, może świadczyć m.in. to, iż znaleźli się w nim także politycy ostatnio w PO odsunięci nieco na boczny tor. Klasycznym tego przykład jest Grzegorz Schetyna, dawniej wicepremier i minister spraw wewnętrznych, sekretarz generalny PO, marszałek Sejmu, który przez upływające trzy lata był „tylko” przewodniczącym sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, a w rozdaniu Kopacz otrzymał ważną tekę właśnie ministra spraw zagranicznych. W rządzie Ewy Kopacz znaleźli się przedstawiciele najważniejszych – nieraz rywalizujących z sobą – nurtów politycznych w partii rządzącej. W ten sposób, przy jednej pieczeni, udało się pani premier pogodzić i skonsolidować wszystkie siły wewnątrz Platformy. Jeśli zaś chodzi o koalicjanta – Polskie Stronnictwo Ludowe wobec zmian w rządzie zachowało całkowitą neutralność, uznając je za

wewnętrzną sprawę PO, nie żądało zmiany umowy koalicyjnej ani więcej stanowisk. Trzej ministrowie z PSL: gospodarki, rolnictwa i pracy zachowali dotychczasowe stanowiska.

Rząd Ewy Kopacz po zaprzysiężeniu podjął sprawnie pracę z początkiem października. Formalnie ma on charakter przejściowy tylko na rok, do najbliższych wyborów parlamentarnych jesienią 2015 roku. Ewa Kopacz od pierwszego dnia premierostwa zapowiedziała jednak, że nie będzie to rząd na przetrwanie, tylko rząd ciężkiej, solidnej, solidarnej i codziennej pracy – dla zmian na lepsze w życiu ludzi i kraju. I z taką myślą, by za rok wygrać wybory i nadal móc realizować ambitny program postępu – samodzielnie czy najprawdopodobniej w koalicji, np. nadal z PSL.

Potwierdziła to w swoim pierwszym exposé, wygłoszonym w Sejmie 1 października. Zapowiedziała w nim kontynuowanie wszystkiego tego, co w praktyce zdało egzamin i przyniosło Polsce dobre owoce. Jednocześnie jednak z mocą podkreśliła, że jej rząd będzie działał na rzecz przyspieszenia realizacji wielu węzłowych – wymienionych z nazwy – spraw gospodarczych i społecznych, zapewni Polkom i Polkom bezpieczeństwo we wszystkich dziedzinach życia, położy nacisk na pomoc rodzinom, szczególnie tym najbiedniejszym, dbać będzie o dzieci i ich przyrost, o dorosłych, ale i seniorów. I zgłosiła szereg konkretnych programów do realizacji od zaraz. Powiedziała, że Polska należy i do tych, którzy głosują na rząd i do tych, którzy głosują na opozycję. Zaapelowała o zgodę i współpracę ponad partyjnymi podziałami w sprawach zasadniczych dla ludzi i kraju. Z naciskiem mówiła, że dla niej najważniejszą troską jest dobro zwykłych ludzi i zaapelowała do tych, którzy są u jakiegokolwiek steru, a szczególnie do działaczy PO, aby uczynili wszystko dla odbudowania zaufania ludzi wszędzie tam, gdzie zostało ono nadwyrężone.

Komentatorzy natychmiast ocenili, że exposé miało znamiona programu nie tylko na rok, ale i na następne lata – do 2020 r. Bo Ewa Kopacz istotnie mierzy wysoko i daleko. Mówi, że nie chce być premierem malowanym. Gdy niektórzy prognozują, że może się stać polską Margaret Thatcher lub Angelą Merkel, albo Donaldem Tuskiem-bis, odpowiada, iż chce być po prostu Ewą Kopacz i tak działać, aby się dobrze zapisała w pamięci Polaków.

Nie ulega wątpliwości, że wraz z odejściem Donalda Tuska skończyła się w Polsce pewna epoka: dominacji jednego silnego człowieka, od którego zależało nieomal wszystko. I który swą pozycję polityczną budował także na ostrej rywalizacji z prezesem wpływowego Prawa i Sprawiedliwości Jarosławem Kaczyńskim. A ten z kolei żywił się totalną krytyką samego Tuska, jak i jego rządu. Teraz Kaczyńskiemu ten ulubiony wróg znikł, co wytrąca mu oręż z rąk. Krytykować kobietę premiera będzie mu o wiele trudniej i może to nie odnosić

pożądanego skutku. W samej zaś Platformie szybko zapanowało przeświadczenie, że nowe otwarcie bez Donalda Tuska może się okazać korzystne tak dla rządu, jak i dla samej Platformy. Bo górę weźmie przekonanie, że nie ma ludzi niezastąpionych, że bez Tuska potrafią sobie dać radę, że nowy rząd Kopacz jest kolektywem zgranym, sprawnym i skutecznym.

Po powołaniu Ewy Kopacz na premiera pojawiły się opinie, że jest politykiem niesamodzielnym, emocjonalnym, o małym doświadczeniu w sprawach gospodarczych, samorządowych, zagranicznych i w wielu innych. Lecz każdy jej ruch w powierzonych roli i każde kolejne przemówienie pokazują, że czuje się coraz pewniej, że ma dobre rozeznanie w tym, za co się zabiera, że do najtrudniejszych problemów i spotkań międzynarodowych potrafi się doskonale przygotować i jak zabiera głos i bez suflera wie, co ma mówić i jak argumentować. Ewidentnie potwierdzają to jej podróże po Polsce, a wyjeżdża często i chętnie oraz jej wizyty w Berlinie, Paryżu, Brukseli... Z trudnego szczytu klimatycznego w Brukseli powróciła z pakietem bardzo korzystnym dla Polski. Podzielałam w pełni przekonanie tych Polek i Polaków, którzy uważają, że Ewa Kopacz będzie dobrym a nawet bardzo dobrym premierem dla Polski, że jej nowe otwarcie w Warszawie powiedzie się w stu procentach. Ma niewątpliwie rację była działaczka opozycyjna i była ambasador Barbara Labuda, która o Ewie Kopacz powiedziała, że „*Nikt słaby nie doszedłby tam, gdzie ona*”. A ponieważ pochodzi z tzw. głębokiej prowincji, to z nawyku lekarki chętnie rozmawia z ludźmi spoza dużego miasta (z tymi stąd też) i zawsze szybko znajduje z nimi wspólny język, jest szczerą, serdeczną i otwartą. Ludzie to widzą w terenie i w swych telewizorach. Notowania w sondażach samej pani premier, jak i jej rządu bardzo wzrosły.

Choć jako pierwsza z zastępców przewodniczącego przejęła kierowanie Platformą Obywatelską już we wrześniu, to do faktycznej zmiany doszło dopiero na krajowej konwencji 8 listopada. Ewę Kopacz wybrano na przewodniczącą tej partii (też jest pierwszą kobietą w Polsce na czele dużej partii rządzącej), a Donaldowi Tuskowi nadano tytuł honorowego przewodniczącego.

Pierwszy sprawdzian w otwartym boju pani premier i zarazem pani przewodnicząca PO przeszła podczas wyborów samorządowych 16 listopada. Platforma wypadła w nich nieźle, choć poniżej prognoz i oczekiwań. W wyborach radnych do sejmików wojewódzkich, porównywalnych do zmagani parlamentarnych, zwyciężyło PiS – ponad 26,85% głosów. Dopiero na drugim miejscu znalazła się PO – 26,36%. Na trzecim PSL – 23,68%. Znacznie poniżej oczekiwań uplasował się Sojusz Lewicy Demokratycznej – 8,78%. Inne ugrupowania nie przekroczyły pięcioprocentowego progu wyborczego i nie weszły do sejmików. Aż 18,5% głosów było nieważne. PiS zwyciężyło w 6 województwach, tj. w 5 województwach Polski

wschodnio-południowej i w łódzkim, PO w 8 województwach Polski zachodnio-północnej, a PSL w 2: świętokrzyskim i warmińsko-mazurskim. Inaczej, zgodnie ze specyfiką obowiązującej ordynacji, ukształtował się podział mandatów radnych wojewódzkich: PO – 179, PiS – 171, PSL – 157, SLD – 28, a komitety lokalne – 20. Stąd jedna gazet napisał: „*Procenty dla PiS, mandaty dla PO*” Prezydentami wielkich miast zostali w większości członkowie PO i osoby z nią współpracujące. PiS nie ma tzw. zdolności koalicyjnej, czyli nikt nie chce z nim wchodzić w koalicję. Dlatego więc PO i PSL utrzymają władzę samorządową i będą rządzić w 15 województwach, a PiS tylko na Podkarpaciu, gdzie ma ponad 50% mandatów.

W szeregach PiS panuje umiarkowana euforia, ale i rozgoryczenie. Bo zwyciężyli po raz pierwszy od 2005 r. Spodziewają się, że to początek efektu góry lodowej, a więc kolejnych wygranych.

W PO nie ma smutku. Każda rządząca partia się zużywa i traci. Mówi się o niezbędnej mobilizacji i odbudowie zaufania, aby znów wygrywać. Ewa Kopacz zapowiedziała, że zdwoi swoje wysiłki.

Bardzo poprawiło swój wynik PSL i się cieszy. Partia ta uzyskała również dobre wyniki w wyborach radnych gmin, małych miast i powiatów oraz wójtów i burmistrzów. Tu, na dole, blisko ludzi, od zawsze ludowcy są mocni.

Minorowe nastroje panują na lewicy, bo w porównaniu do niezadowolającego rezultatu sprzed 4 lat, SLD stracił ponad 6% głosów.

Frekwencja wyborcza wyniosła ponad 46% i była nieco lepsza niż w poprzednich głosowaniach. Wybory dowiodły, iż samorząd terytorialny ma w Polsce mocną i ugruntowaną pozycję. Samodzielnie decyduje o wielu ważnych sprawach małych ojczyzn. I tak też będzie dziś i jutro.

I na koniec jeszcze krótka informacja. Po Ewie Kopacz marszałkiem Sejmu, a więc drugą osobą w państwie, został Radosław Sikorski – przez 7 lat szef MSZ. Ma niełatwe życie. Opozycja wypomina mu ostre wypowiedzi pod jej adresem oraz niedawną wpadkę, jaka mu się przydarzyła w rozmowie z amerykańskim portalem „Politico”, że w rozmowie na Kremlu w 2008 roku Władimir Putin zaproponował Donaldowi Tuskowi wspólny rozbiór Ukrainy. Sikorski szybko zdementował, że takiej rozmowy o Ukrainie w ogóle nie było i przeprosił, że zawiodła go pamięć. Jednak nieopatrznie wypuszczone w eter słowo żyje już swoim życiem. A Sikorski stara się być jednakowo życzliwy dla wszystkich posłów i klubów poselskich.

Eugeniusz JABŁOŃSKI
Warszawa

XII KONGRES EKSPORTERÓW POLSKICH

W dniu 20 listopada 2014 r. odbył się XII Kongres Eksporterów Polskich (KEP) zorganizowany przez Stowarzyszenie Eksporterów Polskich w Sali „Pod Kopułą” w Ministerstwie Gospodarki w Warszawie, pod Honorowym Patronatem Wicepremiera i Ministra Gospodarki Janusza Piechocińskiego, Wicemarszałka Sejmu RP Eugeniusza Grzeszczaka, Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi Marka Sawickiego i Marszałków Województw.

XII KEP otworzył i prowadził Prezes Zarządu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich Mieczysław Twaróg.

Tematem XII KEP była perspektywa finansowa na lata 2014 – 2020 na rzecz proinnowacyjnego rozwoju eksportu.

W XII Kongresie Eksporterów Polskich wzięło udział około 300 osób, w tym 200 eksporterów ze wszystkich branż i regionów. W gronie gości honorowych udział wzięli m.in.: Janusz Piechociński – Wicepremier, Minister Gospodarki; Jerzy Pietrewicz – Sekretarz Stanu Ministerstwa Gospodarki; Andrzej Dycha – Podsekretarz Stanu Ministerstwa Gospodarki; Tadeusz Nalewajk – Podsekretarz Stanu Ministerstwa Rolnictwa; oraz dyplomaci, parlamentarzyści, przedstawiciele resortów: gospodarki, finansów, rolnictwa i spraw zagranicznych, banków, samorządu, przedstawiciele dyplomatycznego korpusu zagranicznego w Polsce oraz polonijnego korpusu eksporterów, a także liczni dziennikarze z prasy, radia i telewizji.

W części merytoryczno-programowej XII KEP przedstawione zostały następujące zagadnienia: perspektywy proeksportowego i proinnowacyjnego rozwoju gospodarki polskiej; szanse i możliwości rozwoju eksportu rolno-spożywczego przez; działalność Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji na rzecz promocji eksportu. W ramach Kongresu zorganizowano panel nt. działań implementacyjnych funduszy unijnych na lata 2014 – 2020 na rzecz proeksportowego i proinnowacyjnego rozwoju gospodarki polskiej.

W dyskusji podczas XII KEP głos zabrali eksporterzy, którzy skupili swoją uwagę na zagadnieniach promocji eksportu i rozwiązaniach systemowych, a zwłaszcza nakierowanych na przezwyciężenie barier biurokratycznych. Odniesiono się także do strategii proeksportowego rozwoju gospodarki polskiej, a zwłaszcza możliwości otwierania nowych rynków zagranicznych i działania eksporterów na rynkach azjatyckich, afrykańskich i amerykańskich. Podkreślić należy, że debata, która odbyła się w czasie XII KEP miała na celu przedyskutowanie zagadnień poświęconych perspektywie finansowej na lata 2014 – 2020



na rzecz proinnowacyjnego rozwoju eksportu. Chodzi zwłaszcza o ocenę:

- nowej perspektywy finansowej 2014 – 2020 na rzecz proinnowacyjnego i konkurencyjnego rozwoju eksportu;
- skuteczności i efektywności działania finansowych instrumentów wsparcia eksportu;
- koncentracji sił i środków promocyjnych na priorytetowych i perspektywicznych rynkach zagranicznych.

W trakcie XII Kongresu Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Gospodarki Andrzej Dycha wręczył laureatom Konkursu „Wybitny Eksporter Roku 2014” nagrody ufundowane przez Ministra Gospodarki. Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Rolnictwa Tadeusz Nalewajk wręczył Puchar i Dyplom ufundowany przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi dla „Wybitnego Eksportera Roku 2014” w branży rolno-spożywczej. Następnie w imieniu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich Przewodniczący Rady Głównej Stowarzyszenia Stefan Tkaczyk ogłosił listę uhonorowanych Medalem „Zasłużony dla Eksportu” przedstawicieli ministerstw, ambasad RP, marszałków województw, uczelni ekonomicznych i instytutów naukowych oraz publicystów ekonomicznych, a Mieczysław Twaróg – Prezes Zarządu Stowarzyszenia Eksporterów Polskich wręczył Medale Honorowe „Zasłużony dla Eksportu”.

W drugiej części XII Kongresu ogłoszono listę uhonorowanych Medalami „Zasłużony dla Eksportu” oraz odbyła się Gala Finałowa Konkursu „Wybitny Eksporter Roku 2014”, podczas której wręczono Listy Gratulacyjne, Tytuły i Puchary Stowarzyszenia Eksporterów Polskich za eksportowe produkty roku 2014 (HIT).

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich uhonorowało eksporterów nagrodami specjalnymi, tj. Listem Gratulacyjnym i Pucharem Wybitny Eksporter Roku 2014. Następnie nagrodami Stowarzyszenia Eksporterów Polskich tj. Listem Gratulacyjnym i Medalem Wybitny Eksporter Roku 2014 uhonorowane zostały zasłużone firmy. Wręczono również nagrody specjalne Stowarzyszenia Eksporterów Polskich.

Laureatom Konkursu Dziennikarskiego wręczone zostały Listy Gratulacyjne, Medale i Tytuły „Publicysta Ekonomiczny Roku 2014”. Ponadto dziennikarkom „Gazety Finansowej” wręczono Listy Gratulacyjne.

Należy podkreślić, iż nadrzędnym celem XII Kongresu Eksporterów Polskich było określenie działań na rzecz przekształcenia gospodarki na proinnowacyjną i proeksportową, jako szansy szybkiego rozwoju gospodarki polskiej. Wychodząc naprzeciw potrzebom środowiska

eksporterów – XII KEP dokonał oceny nowej perspektywy finansowej na lata 2014 – 2020. Zauważyć należy, że obecna sytuacja gospodarcza spowodowana embargiem rosyjskim, wymaga dywersyfikacji rynków zagranicznych. W związku z tym prowadzona powinna być spójna polityka proeksportowa, stanowiąca główną siłę motoryczną rozwoju gospodarki. Polska ma dużą szansę utrzymania się na nieco wyższym poziomie rozwoju gospodarczego, ponieważ posiada znaczne rezerwy, zwłaszcza w zakresie potencjału profesjonalnego, naukowego i intelektualnego, a także zasobów młodej i dobrze wykształconej kadry.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich

**Stanowisko XII Kongresu Eksporterów
Polskich w sprawie urzeczywistniania
perspektywy finansowej na lata 2014-2020
na rzecz proinnowacyjnego rozwoju eksportu**

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich wspierać będzie działania przedsiębiorców oraz organów rządowych i samorządowych na rzecz optymalnego wzrostu eksportu stanowiącego siłę napędową rozwoju gospodarki. Działania te będą kompatybilne ze „Strategią proeksportowego rozwoju gospodarki polskiej”, która określa cele, kierunki i zadania w osiąganiu wielkości eksportu na poziomie ponad 220 mld euro, w tym 40 mld euro żywności w perspektywie do 2020 roku.

Wychodząc naprzeciw realnym potrzebom eksporterów XII KEP zwrócił uwagę na konieczność usprawniania warunków działań przedsiębiorstw produkujących na eksport poprzez implementację instrumentów zawartych w „Strategii proeksportowego rozwoju gospodarki polskiej”. W tym zakresie ważne znaczenie dla wzrostu eksportu będzie miała nowa perspektywa finansowa na lata 2014 – 2020. Istotną rolę będzie również miało działanie Rady Rozwoju Eksportu przy Ministrze Gospodarki jako forum programowania, koordynacji i monitorowania polityki proeksportowego rozwoju gospodarki, a także utworzenie:

1. Banku (Eximbanku) zapewniającego kompleksową obsługę finansową eksportu i importu (m.in.: kredytowanie, gwarancje, doradztwo dot. obsługi finansowej i ubezpieczeniowej transakcji eksportowych).
2. Agencji Rozwoju Eksportu ukierunkowanej na optymalny wzrost eksportu, budowanie pozytywnego wizerunku gospodarki i eksportu, marketing międzynarodowy, doradztwo, informację i promocję.

XII KEP widzi potrzebę pogłębienia działań na rzecz:

- wzmocnienia działań dyplomacji ekonomicznej, zwłaszcza w krajach, które wprowadziły embargo na eksport mięsa wieprzowego i jego wyrobów oraz na inne produkty żywnościowe;
- pogłębienia współpracy w zakresie eksportu z partnerami zagranicznymi, w tym białoruskimi, kazachskimi, algierskimi, egipskimi, marokańskimi, chińskimi, koreańskimi, zjednoczonych emiratów arabskich oraz w

ramach handlu przygranicznego z obwodem kalininogradzkim;

- wyprzedzania działań informacyjnych i promocyjnych WPHiI Ambasad i Konsulatów RP w celu wykorzystania potencjalnych możliwości produkcji i eksportu jabłek, owoców i warzyw;

- koncentracji sił i środków na promocję branż, które mają największe możliwości potencjalnego i realnego wzrostu wartości polskiego eksportu (w tym branż: motoryzacyjnej, meblarskiej, elektronicznej, lotniczej, spożywczej, biotechnologicznej, aparatury pomiarowej i usług: informacyjnych, telekomunikacyjnych, biznesowych i badawczo-rozwojowych);

- pogłębienia współpracy resortów: gospodarki, rolnictwa i spraw zagranicznych na rzecz rozwoju eksportu;

- usprawnienia stosowanych procedur resortowych mających na celu efektywne wykorzystanie unijnych funduszy proeksportowych i proinnowacyjnych;

- ułatwienia dostępu eksporterom do usług bankowych, w tym zwłaszcza kredytowych;

- racjonalnej polityki kształtowania stóp procentowych przeciwdziałającej aprecjacji kursu złotego;

- wzmocnienia kadrowego Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji Ambasad i Konsulatów RP w krajach uznanych za priorytetowe i perspektywiczne rynki zagraniczne dla wzrostu eksportu;

- umacniania współpracy COIE z WPHiI Ambasad RP na rzecz rozwoju eksportu w kraju i za granicą;

- rozwoju aktywnych form współpracy międzyregionalnej z zagranicą, w tym z krajami wschodnimi;

- współpracy informacyjno-promocyjnej, tj. z prasą, radiem i telewizją oraz mediami polonijnymi w zakresie wymiany handlowej i współpracy gospodarczej Polski z zagranicą.

XII KEP uważa, że sprostanie wyzwaniom w zakresie wzrostu polskiego eksportu przyczyni się do rozwoju całej gospodarki. Zmiany dokonane w ostatnich latach oraz napływ funduszy unijnych pozwolił na modernizację infrastruktury, rozwój przemysłu rolno-spożywczego, zwiększenie innowacyjności przemysłu oraz na skuteczniejsze konkutowanie na rynkach zagranicznych. Na utrzymanie tego postępu będą miały wpływ korzystne zjawiska zachodzące w polskim eksporcie. Poprawa ta, wzmocniona działaniami promocyjnymi poprzez koncentrację sił i środków – przyczyni się do dalszego pogłębienia tendencji utrzymania wzrostu eksportu stanowiącego siłę motoryczną rozwoju polskiej gospodarki.

XII KEP, mając na uwadze potrzebę optymalnego wzrostu eksportu, deklaruje współdziałanie Stowarzyszenia Eksporterów Polskich z przedsiębiorcami, bankami, instytucjami, organami rządowymi i samorządami w celu wykorzystania potencjalnych możliwości gospodarczych i kadrowych, a zwłaszcza zaplecza naukowo-badawczego na rzecz przyspieszenia tempa proinnowacyjnego i proeksportowego rozwoju polskiej gospodarki.

Warszawa, 20 listopada 2014 r.

WARSZAWSKIE FELIETONY MIKOŁAJA ONISZCZUKA

POLSKA – ŚWIAT

Walory i możliwości wzajemnego partnerstwa

Tak można by określić sejmową debatę w dniu 6 listopada br. na temat kierunków i zadań polskiej polityki zagranicznej na lata 2014 – 2015 i dalsze, które przedstawił nowy Minister Spraw Zagranicznych, Grzegorz SCHETYNA. Temat aktualny i praktycznie potrzebny i pożyteczny społecznie. Żyjemy w świecie „zadymionym” waśniami politycznymi, kryzysami i konfliktami zbrojnymi, agresją i ambicjami imperialnymi oraz fałszem propagandowym, więc czas, by odpowiedzieć na to, w jakim miejscu tego świata jest Polska.

I od razu powiem, że z mojego odczytu informacji, którą wysłuchałem i obejrzałem w przekazie telewizyjnym od „a” do „z” – to dobra wizytówka nowego ministra na nowym stanowisku, jako że było to wystąpienie naprawdę dobre merytorycznie, a także pod względem formy i sposobu prezentacji. Minister mówił krótko, rzeczowo i konkretnie. To rzadkość, wręcz rarytas w praktyce wystąpień sejmowych i partyjnych naszych polityków. Tematyka i treść wystąpienia była szeroka i pojemna. Upowszechnione zostały przez wszystkie media, więc są dostępne i znane. Po prostu są ściśle jawne, co jest też swoistym novum w praktyce wielu naszych resortów i urzędów. Dla przypomnienia tylko, była mowa o roli i znaczeniu naszego 10-letniego członkostwa w Unii Europejskiej i 15-lecia w NATO, o roli stosunków z USA, o Partnerstwie Wschodnim i Trójkącie Weimarskim, o stosunkach z krajami azjatyckimi, dalekowschodnimi i innymi. Oczywiście o stosunkach polsko-ukraińskich i o Ukrainie, ale i o stosunkach z Rosją, Białorusią i Kazachstanem. Mówiąc o Ukrainie minister potwierdził jednoznacznie, że kraj nasz stoi na stanowisku bezwzględnego poszanowania niepodległości i integralności terytorialnej. A w odniesieniu do Rosji stwierdził, że stosunki polsko-rosyjskie mogą być dobre. Będziemy dążyć do utrzymania współpracy tam, gdzie jest ona możliwa.

Kompetentnie, wiarygodnie i zadaniowo wyglądał blok informacji ekonomiczno-dyplomatyczno-polonijnych. Cechowała je zbieżność i spójność, czyli inaczej mówiąc – kompatybilność. I tak – z satysfakcją trzeba odnotować fakt obecności problematyki współpracy gospodarczej Polski z zagranicą. Minister zarysował całą gamę zadań i możliwości w tej materii. Ilustrował je nawet danymi statystycznymi o wzroście PKB, eksportu i inwestycji zagranicznych. A to dane ciekawe i wymowne. Jeżeli w latach 2000 – 2013 PKB Polski wzrósł o ponad

50%, to polski eksport w tym czasie ponad 6-krotnie. Według prognoz tenże eksport ma wzrosnąć o dalsze 55% w latach 2016 – 2020. Napływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych do Polski osiągnął poziom 130 mld euro. Polska ma zagwarantowane z funduszy unijnych do 2020 roku środki w wysokości 120 mld euro.

Stopniowo „doganiamy” kraje unijne pod względem „zamożności”, bo o ile PKB na 1 mieszkańca Polski wynosi aktualnie 2/3 średniej unijnej, to w 2020 r. możemy osiągnąć 75% tej średniej.

Zasadnie i bardziej niż dotychczas racjonalnie potraktowana została działalność informacyjno-promocyjna polskich placówek zagranicznych, w tym ich służb ekonomiczno-handlowych. A nie zawsze były one dostatecznie doceniane. Dyplomacja to nie dekoracja, a odpowiedzialna misja i konkretna działalność na rzecz kraju. Tylko w 2013 roku polskie placówki odpowiedziały na 75 tysięcy zapytań ze strony krajowych przedsiębiorców.

Z należną atencją i powagą potraktowany został temat współpracy ze środowiskiem polonijnym, liczącym ponad 20 milionów osób. To sprawa utrwalania polskości i patriotyzmu, ale i udział w promocji dobrego wizerunku Polski i Polaków w krajach, w których rezydują i pracują. Większą rolę w tym dziele odgrywać mają media polonijne.

Uogólniając – generalnym przesłaniem i zadaniem naszej dyplomacji jest stała i aktywna obecność w świecie, bo nieobecni nie mają racji. Więcej Polski w świecie, ale i więcej świata w Polsce!



ENERGIA DLA ROZWOJU

To było jedno z najważniejszych tegorocznych spotkań o tematyce gospodarczej w naszym kraju. Rzeczowe, konkretne i na czasie. Mowa o Bałtyckim Forum Biznesowym, które odbyło się w dniach 13-15 października br. w Świnoujściu. Wzięło w nim udział ponad 300 uczestników, a więc przedstawicieli biznesu, nauki i polityki, w tym dużych spółek giełdowych, jak też małych i średnich przedsiębiorstw. Byli też przedstawiciele zagraniczni, w tym z Niemiec, Litwy, Ukrainy i Białorusi. Gościem honorowym była Republika Kazachstanu. Jej przedstawiciel zachęcał polskich przedsiębiorców do inwestowania w tym kraju, bo mogą oni korzystać ze zwolnień z płacenia podatków przez 10 lat.

Problematyka obrad Forum – obszerna i pojemna, acz zręcznie ujęta w bloki tematyczne. I tak – w pierwszym dniu obrad omówiono kondycję sektora przemysłowego w Europie, ze wskazaniem na konieczność innowacyjności w gospodarce i potrzebę energooszczędności.

Spory potencjał energetyczny w Polsce tkwi w Jaworznie, Kozienicach i w Opolu. Inwestycje w nich w najbliższych latach pochłoną 100 mld złotych.

W drugim dniu omówiono korytarz gazowy Wschód-Zachód. Pracują nad nim Polenergia i Naftogaz. W skład korytarza mogłyby wejść: gazoport w Świnoujściu, gazociąg Szczecin-Bernau, system przesyłowy Gaz-Systemu, połączenia ze Słowacją i Czechami oraz nowy interkonektor Polska-Ukraina. Wzrosłaby rola Polski jako kraju tranzytowego.

Bardzo interesująca była problematyka trzeciego dnia forum, bo dotyczyła finansowania biznesu w realiach kryzysu, dobrych praktyk w promowaniu żywności, współpracy polskiego przemysłu obronnego z przemysłem państw Partnerstwa Wschodniego i inwestowania na Ukrainie, w ujęciu – kryzys czy szansa.

Nie personifikując i nie relacjonując ciekawych, acz obszernych wystąpień – odnotowałem kilka, dla mnie charakterystycznych informacji czy stwierdzeń. Najbardziej istotnym były jednoznaczne stwierdzenia, że opracowanie i wdrażanie wspólnej polityki energetycznej w skali Unii Europejskiej jest najważniejszym i pilnym zadaniem dla całego ugrupowania i poszczególnych krajów. Bo inaczej będziemy uzależniani od kaprysów politycznych Kremla. A dodatkowo w kuluarach podkreślano, że najważniejszym źródłem energii jest człowiek, tyle, że powinna to być energia twórcza, jak np. u naszych eksporterów.

W pożytecznym dialogu z realnymi sektorami gospodarki aktywny udział brali wysocy rangą przedstawiciele resortów gospodarczych i spraw zagranicznych. Im się też taka oddolna dawka realiów



biznesowych przydaje i zasila w energię pozytywnych działań.

Organizatorami tego Forum byli: Międzynarodowe Stowarzyszenie „Europa-Północ-Wschód”, Polska Agencja Informacji i Inwestycji Zagranicznych, Północna Izba Gospodarcza oraz Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego i Prezydent Świnoujścia. Dobra, pożyteczna inicjatywa i udana realizacja. Tylko z uznaniem – przyklasnąć!

ŚWIAT JAKO ZESPÓŁ SZPITALI BEZ SKUTECZNYCH TERAPII

I właśnie tak można by nieco alegorycznie określić realia, w których żyjemy.

To już nic nowego – to przechowalnie chorych i chorób... bez terapii. To takie globalne i uniwersalne placówki paramedyczne, których pacjentami są ludzie i zjawiska ekonomiczne, polityczne i społeczne, a nawet medyczno-intelektualne. Występują powszechnie w poszczególnych krajach, acz w mniejszej lub większej skali. A ich przejawem są głównie:

- bezrobocie i ich ofiary,
- wzrost cen,
- pauperyzacja,
- bezkresna polityzacja życia,
- deficyty i dziury budżetowe.

Siewcą tych chorób jest przede wszystkim „chora” polityka, a ściślej jej brak, tak w skali makro, jak i mikro. I co paradoksalnie dziwne, że ci, co choroby sięją, usiłują je leczyć. Wygląda na to, że nie da się równocześnie truć – odtruwać. Tak przynajmniej ocenia to opozycja, zwłaszcza skrajna. Terapii z antyterapią nie da się pogodzić. Więc mamy, to co mamy. Ludzie, jak



narzekali, tak narzekają, a politycy, jak gadali, tak gadają...

A patrząc trochę szerzej na świat – w tym na wielkiego sąsiada wschodniego – widać jak na dłoni, do czego prowadzi jego polityka: do destrukcji handlu z krajami europejskimi, dotychczas mu mniej lub bardziej bliskimi. Tu już chyba żaden szpital nie pomoże. A lek jest prosty: wystarczy wycofać się z niepodległej Ukrainy! Bo handel „zgnił” propagandą antyeuropejską czy antyukraińską – żadnemu zdrowiu nie służy.

Ale, żeby nie było wrażenia, że nic się dobrego nie dzieje, a wszystko wraz z pogodą marnieje, to patrząc obiektywnie, mamy dwa niepodważalne plusy:

– to znakomite wyniki w sporcie i pozytywne efekty w polskim eksporcie. A jest to możliwe dlatego, że nie biorą w nich bezpośredniego udziału... politycy.

REWITALIZACJA PRAWD TRWOŻNIE OCZYWISTYCH

Ten temat pojawił się z odczytu kryzysu ukraińskiego. A ten ujawnił je z całą mocą.

Tych prawd jest sporo, więc ograniczę się do wybranych, ale znaczących, z których mogą wynikać wnioski i wywody o praktycznym znaczeniu, na dziś i na jutro. A zatem – ad rem...

– Kryzys – czy to ukraiński, czy inny – to zło i bieda. A ta nie rodzi się sama, a tworzą ją ludzie. Konkretni. Na Ukrainie są znani z imienia i nazwiska. Niektórzy już uciekli, ale biedę i kryzys – zostawili. Wzięli tylko pieniądze, raczej nie własne.

– Lepiej jest mieć wielu mniejszych przyjaciół, niż jednego „wielkiego”, bo ten z natury rzeczy chce nad nami... dominować. Ukraina jest tego przykładem.

– Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Ukraina ma i biedę... i „przyjaciela”.

– Nie trzeba wpuszczać nieproszonych gości do domu, bo mogą się zadomowić na dłużej, a nawet zacząć domem rządzić. Na Ukrainie już tak jest.

– Nie mylić integracji z ingerencją i współzależności z uzależnieniem. W realiach ukraińskich tego zabrakło.

– Nie można odwracać się plecami do świata, a mieć oczy na świat otwarte. Bo inaczej będziemy tworzyć „zaścianek” i „ciemnogród”, a w nim cierpieć na zaćmę intelektualno-mentalną. A tej na rynkach wschodnich nie brakuje. Im dalej od Kijowa czy Moskwy na wschód, tym jest jej więcej. Jest, jak mówią ludzie, też w samej Moskwie.

– Patriotyzm, dbałość o tożsamość narodową – to walory a nie nacjonalizm.

– Głos ludu, to jak głos Boży – najważniejszy! I takim głosem przemawiał Majdan.

– Język ukraiński – językiem ogólnonarodowym. Znajomość języków obcych – potrzebna, ale bez zapędów „rusyfikacji”, czyli kosztem języka ojczystego. Takie „równouprawnienie” nikomu niepotrzebne. Nikt nikomu nie zabrania mówić w obcym języku... byle mówić do rzeczy. A z tym bywa różnie, nawet w nadzwyczaj elokwentnej ostatnio Rosji.

– Bierność, obojętność, bezczynność – to aprobata zła. Potrzebne konstruktywne działanie.

– Nie dać się uśpić w tym, co jest, a patrzeć trzeba do przodu, w przyszłość. Ale w tym marszu do przodu – trzeba działać przezornie, bo przyszłość może też kryć „niespodzianki”, gorzej, gdy przykre. Przed tymi chroni – przezorność.

A na koniec: kryzys kryzysem, ale jak mówi mądrość ludowa: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. I tego się trzeba trzymać! Zwłaszcza, że Ukraińcy są narodem wielkim, przewyższającym moralnie i duchowo zaborców Krymu oraz rusofilów i separatystów z samozwańczych republik – Donieckiej i Ługańskiej na terytorium niepodległej Ukrainy. A tego ducha i morale żadną bronią pokonać się nie da. Na pełną rewitalizację tej prawdy przyjdzie nam wszystkim jeszcze trochę poczekać.

UKRAINA – ŁUP PUTINA

Ten tytuł odzwierciedla stan faktyczny. Stąd zasadne pytania o stan gospodarki ukraińskiej i jej perspektywy. Temat stale obecny w polityce, w mediach i w rozmowach zwykłych ludzi. Nawet w czasie jednej z październikowych konferencji naukowych, bo pod hasłem „Współczesna Ukraina – trwałość czy rozpad?”. Więc jakby w tym szerokim kontekście – kilka myśli do przemyśleń...

A sformułować je można metodą toastów kaukaskich, zwłaszcza gruzińskich, czyli „krótko, szybko... i do dna”. Stan aktualny i jego przyczyny ująć można by

dwuwierszem: *stare głowy – nowe czasy, plus dyktatura... pustej kasy.*

Podobnie – perspektywy: *negatywów rośnie krzywa, a problemów – wciąż przybywa.* A jaka jest tego przyczyna? Podstawowa teraz – agresja Putina!

Dla cywilizowanego świata, to fakt oczywisty. Dla „zaćmy kremlońskiej”, to misja obrony mniejszości rosyjskiej przed rzekomą dyskryminacją władz ukraińskich. A to nic innego, jak obłudny pretekst i próba wcielenia wschodniej, a potem może i całej Ukrainy do imperium rosyjskiego. A to już potwierdzenie arabskiego przysłowia, że *„ambicje są bogactwem biednych”*. I to nie tylko materialnie, a intelektualnie.

Czas na przebudzenie się polityków rosyjskich i odejście od fikcji na rzecz realiów tego świata. Polityków, ale i społeczeństwa, indoktrynowanego ideologią i polityką minionych dziesięcioleci. Upadł mityczny dyktat sowietyzacji obozu krajów socjalistycznych pod egidą ZSRR i Moskwy. Niestety, tkwi on nadal w starym pokoleniu Rosjan, ale i części Ukraińców. I na tym żeruje jeszcze kłamliwa wierutnie propaganda rosyjska. Dopiero kijowski Majdan potwierdził wyraźnie wolę narodu ukraińskiego do bytu niezależnego i niepodległego. Ale ta bariera przestarzałej mentalności jeszcze tkwi i jest barierą w przebudowie starego na nowe. A to opóźnia reformy i marsz proeuropejski.

Stare z nowym zderza się na każdym kroku. W gospodarce ukraińskiej nie dokonano żadnych istotnych zmian strukturalnych. Zmieniają się rządy i czasy, a, jak już podkreślono, rośnie deficyt budżetowej i ludzkiej kasy. Może tym razem będzie inaczej, bo obecny rząd deklaruje chęć zmian, ale w warunkach wojny z okupantem rosyjskim idzie mu to jak po grudzie. Nie widać też skłonności do zmian wśród oligarchów na wschodzie, powiązanych z podobnymi rosyjskimi strukturami. Nie widać na razie polityki prorozwojowej, proinwestycyjnej, proinnowacyjnej czy proeksportowej.

Utrzymuje się, a nawet rośnie, niezadowolenie społeczne, na które liczą współtwórcy biedy i zastoju: Janukowycz i Azarow, upadli promineni, rusofile, a może i Kreml.

Ale jeszcze nie umarła Ukraina – przeżyła Stalina, przeżyje i Putina!

Perspektywa najbliższych lat nie rysuje się różowo. Są liczne problemy do rozwiązania, a wśród nich:

- przezwyciężenie obecnej zapaści i powrót na ścieżkę wzrostu gospodarczego,
- stopniowe wprowadzanie reform systemowych i prawno-ekonomicznych,
- dążenie do przywrócenia równowagi finansowo-płatniczej,
- opracowanie i wdrożenie polityki prorozwojowej i proeksportowej.

To tylko w ujęciu makro. A nieco konkretniej – chodzi m.in. o:

- zwiększenie produkcji materialnej w przemyśle i rolnictwie,
- zwiększenie produkcji paliw i surowców i stopnia ich przetwórstwa,
- zwiększenie eksportu i pobudzenie popytu wewnętrznego,
- zwiększenie nakładów inwestycyjnych, krajowych i zagranicznych,
- modernizację i restrukturyzację produkcji,
- rozwój infrastruktury drogowo-transportowej,
- stosowanie energooszczędnych technik i technologii produkcji,
- poprawę warunków materialno-bytowych ludności,
- rozwój sektora małych i średnich przedsiębiorstw,
- likwidację zjawisk i praktyk patologicznych, powszechnych i obecnych w każdej dziedzinie działalności, życia i bycia. Ot, choćby łapówkarstwo, gdzie obowiązuje zasada *„ne pidmażesz – ne pojidesz”*, po polsku *„nie posmarujesz – nie pojedziesz”*.

A wszystko to razem mieści się w pakiecie europeizacji poprzez przyszłe członkostwo w Unii Europejskiej.

Młode i średnie pokolenie jest tego gwarantem. ■



CHARAKTERYSTYKA POLSKIEJ DIASPORY OBWODU CZERNIHOWSKIEGO

Do 1988 roku na Ukrainie nie istniały żadne zorganizowane formy życia Polaków. Szczątkowe formy działalności zarysowały się z chwilą utworzenia przy Ukraińskim Towarzystwie Przyjaźni i Łączności z Zagranicą Polskiej Sekcji Kulturalno-Oświatowej, która w październiku 1988 r. przekształciła się w Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe na Ukrainie. W grudniu we Lwowie zawiązało się Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej.

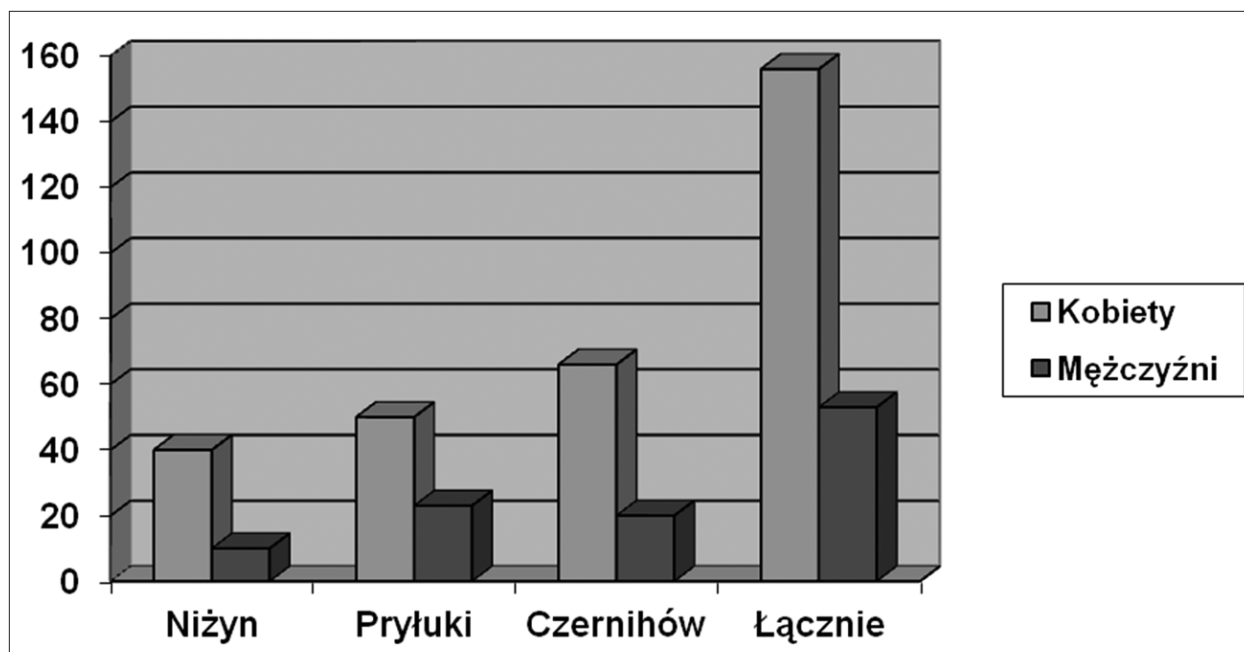
W ciągu dwóch lat powstało wiele stowarzyszeń (Czerniowce, Tarnopol, Stanisławów, Łuck, Równe, Żytomierz, Stryj, Sambor)[1].

Na ziemi czernihowskiej stosunkowo późno w porównaniu z innymi obwodami Ukrainy zawiązały się wspólnoty zrzeszające Polaków. Pierwsze organizacje polonijne na terenie kraju powstawały pod koniec lat 80. i na początku lat 90. XX w. Oprócz wspomnianego Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej i jego oddziałów, na Żytomierszczyźnie w 1989 roku powołano Polskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe im. Jarosława Dąbrowskiego, obecny Żytomierski Obwodowy Związek Polaków na Ukrainie[2]. W obwodzie iwano-frankowskim w 1990

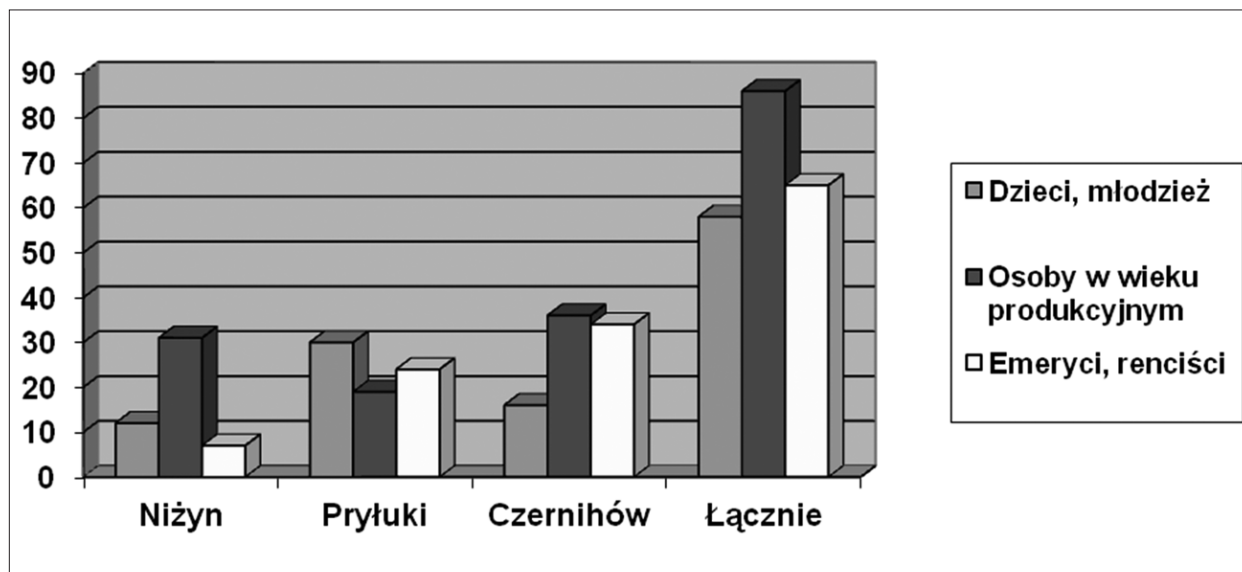
roku powstało Towarzystwo Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego, a następnie w 1992 roku jego oddział w Kałuszu oraz Towarzystwo Kultury Polskiej „Przyjaźń” w Iwano-Frankowsku (1993 r.)[3].

Obecnie w obwodzie czernihowskim funkcjonują trzy organizacje skupiające obywateli ukraińskich polskiego pochodzenia. Są to: Oddział Związku Polaków Ukrainy – Stowarzyszenie „Polska Przystań” w Czernihowie, założony w 1997 roku[4], Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie Polaków „Aster” miasta Nieżyna funkcjonujące od 1999 roku i Kulturalno-Oświatowy Związek Polaków w Prylukach powołany w 2002 roku[5].

W celu dokonania charakterystyki wymienionych organizacji, poznania ich struktury – zwróciłam się do prezesów związków Polaków z prośbą o udzielenie informacji dotyczących płci, wieku i wykształcenia osób zrzeszonych. W marcu i kwietniu 2012 roku uzyskałam odpowiedzi na pytania. Do najliczniejszej polskiej organizacji ziemi czernihowskiej – Stowarzyszenia „Polska Przystań” w Czernihowie należy 86 osób: 66 kobiet, które stanowią prawie 77% ogółu i 20 mężczyzn, co daje 23% członków. Stowarzyszenie Polaków „Aster”



Rys 1. Płeć członków stowarzyszeń polonijnych obwodu czernihowskiego w ujęciu liczbowym



Rys. 2. Wiek członków organizacji polonijnych ziemi czernihowskiej pod względem stosunku do pracy w ujęciu liczbowym

miasta Nieżyna zrzesza 50 osób. Należy do niego 40 kobiet, co stanowi 80% ogółu i 10 mężczyzn, czyli pozostałe 20%. W liczącym 73 członków Stowarzyszeniu Polaków w Prylukach zrzeszonych jest 50 kobiet, które stanowią 68,5% ogółu i 23 mężczyzn, czyli 31,5%.

Łączna liczba kobiet we wszystkich stowarzyszeniach w obwodzie czernihowskim wynosi 156, co stanowi 75%. Z kolei łączna liczba mężczyzn wynosi 53 osoby, czyli 25% ogółu. Powyższe zestawienia pozwalają na stwierdzenie, że w polonijnych organizacjach tych ziem znaczącą większość stanowią kobiety. Taka sytuacja przekłada się na bardziej aktywne zaangażowane kobiet w działalność towarzystw, jak również najprawdopodobniej na wybór lidera spośród pań (prezesami wszystkich trzech stowarzyszeń są kobiety). Jak zauważył W. Osmołowski, liczebna przewaga kobiet nad mężczyznami w stowarzyszeniach polonijnych na Ukrainie nie jest rzeczą szczególną. Jest to charakterystyczny rys ruchu polonijnego w tym kraju[6]. Kobiety bardzo licznie i czynnie biorą udział w organizacjach zrzeszających ludność polskiego pochodzenia, dominują one na zebraniach i imprezach polonijnych. Są aktywne w różnych dyskusjach, przedstawiają wnioski i postulaty, które później realizują[7]. (Rys. 1)

Dla egzystencji w przyszłości każdej z organizacji polonijnej istotne znaczenie ma wiek jej członków[8]. Młode pokolenie zapewnia trwałość oraz ciągłość funkcjonowania stowarzyszenia. Ponadto, jak zauważyła Ewa Karmolińska-Jagodzik, współistnienie różnych generacji prowadzi do komunikacji międzypokoleniowej. Wspólna koegzystencja pokoleń wiąże się z pragnieniem znalezienia wspólnego języka i potrzebą

wymiany doświadczeń. Rzeczywistość współczesna, w której mają rację istnieć ze sobą dwa pokolenia, jest rzeczywistością skazaną na kompromisy, gdyż tylko w takich warunkach można prawdziwie wzrastać i tworzyć[9].

W celu określenia wieku osób przynależących do organizacji zrzeszających obywateli ukraińskiego polskiego pochodzenia w obwodzie czernihowskim zwróciłam się z prośbą do prezesów o określenie przedziałów wiekowych członków według kryterium: dzieci i młodzież (tj. osoby uczęszczające do szkół), osoby w wieku produkcyjnym (tj. pracujące zawodowo i bezrobotni), emeryci i renciści. Liderki towarzystw w ankiecie podały liczby dla poszczególnych grup wiekowych. I tak w Stowarzyszeniu Polaków „Aster” dzieci i młodzież stanowią 12 osób, co daje 24% członków organizacji. Najliczniejszą grupą stowarzyszenia okazały się osoby w wieku produkcyjnym – 31 członków, co odpowiednio daje 62%, emeryci i renciści to zaledwie 7 osób, czyli 14% ogółu.

W Związku Polaków w Prylukach najliczniejszą grupę stanowią dzieci i młodzież szkolna – 30 osób, co daje 41% wszystkich członków. Drugą grupą pod względem liczebności są emeryci i renciści – 24 osoby, czyli 33% ogółu. Liczba członków w wieku produkcyjnym została określona na 19 osób, co odpowiednio stanowi pozostałe 26%.

Do Stowarzyszenia „Polska Przystań” w Czernihowie należy 36 osób w wieku produkcyjnym, co daje 42% ogółu. Emeryci i renciści to 34 osoby, czyli 39% wszystkich członków. Dzieci i młodzież szkolna stanowią najmniej liczną grupę – 16 osób, co odpowiednio daje 19% ogółu. (Rys. 2)

Analiza przeprowadzonych przeze mnie badań wykazała, że polonijne organizacje ziemi czernihowskiej

znacznie różnią się pod względem wieku ich członków. W Stowarzyszeniu Polaków „Aster” miasta Nieżyna i „Polska Przystań” w Czernihowie najliczniejszą grupę stanowią osoby pracujące zawodowo, z kolei w Związku Polaków w Prylukach grupa ta jest najmniej liczna. Dzieci i młodzież szkolna są najliczniejszą grupą w Prylukach – 30 osób, w Nieżynie stanowią drugą grupę – 12 osób, z kolei w Czernihowie są najmniej liczną grupą i jest ich 16. Zestawiając dane dotyczące wieku członków osób zrzeszonych we wszystkich stowarzyszeniach uzyskujemy łącznie liczby: 58 osób uczęszczających do szkół (dzieci i młodzież), które stanowią 28%, 86 osób w wieku produkcyjnym, co daje 41%, emeryci i renciści 65 osób – tj. odpowiednio 31%.

Członkowie organizacji polonijnych w obwodzie czernihowskim, jak zauważyły ich liderki, reprezentują pełen przekrój lokalnych społeczności, są wśród nich osoby z różnym wykształceniem i wielu zawodów m. in.: naukowcy, inżynierowie, przedsiębiorcy, nauczyciele, lekarze, ekonomiści, bibliotekarze, młodzież, studenci, emeryci, itd.[10].

Aby poznać przekrój wykształcenia osób należących do polskich stowarzyszeń w Niżynie, Prylukach i Czernihowie, poprosiłam liderki organizacji o podanie liczb określających poziom edukacji członków.

Prezes Stowarzyszenia Polaków „Aster” Feliksa Bielińska podała, że wykształcenie podstawowe posiadają 2 osoby, co stanowi 4% członków, średnie 8 osób, tj. 16% ogółu, zawodowe 26 osób, co daje 52%, wyższe 14 osób, co stanowi 28% wszystkich członków.

W Prylukach prezes Związku Polaków określiła wykształcenie członków organizacji następująco: podstawowe 10 osób, co stanowi 13,7% ogółu, średnie 18 osób, tj. 24,7% wszystkich zrzeszonych, zawodowe 10

osób, co daje 13,7%, wyższe 35 osób, tj. pozostałe 47,9% członków.

Helena Frankowa – liderka Stowarzyszenia „Polska Przystań” w Czernihowie przedstawiła następujące dane dotyczące wykształcenia osób zrzeszonych w organizacji: podstawowe 5 osób, co stanowi 5,8% ogółu, średnie 19 osób, co daje 22,1%, zawodowe 28 osób, tj. 32,6% wszystkich członków, wyższe 34 osoby, czyli odpowiednio 39,5% ogółu.

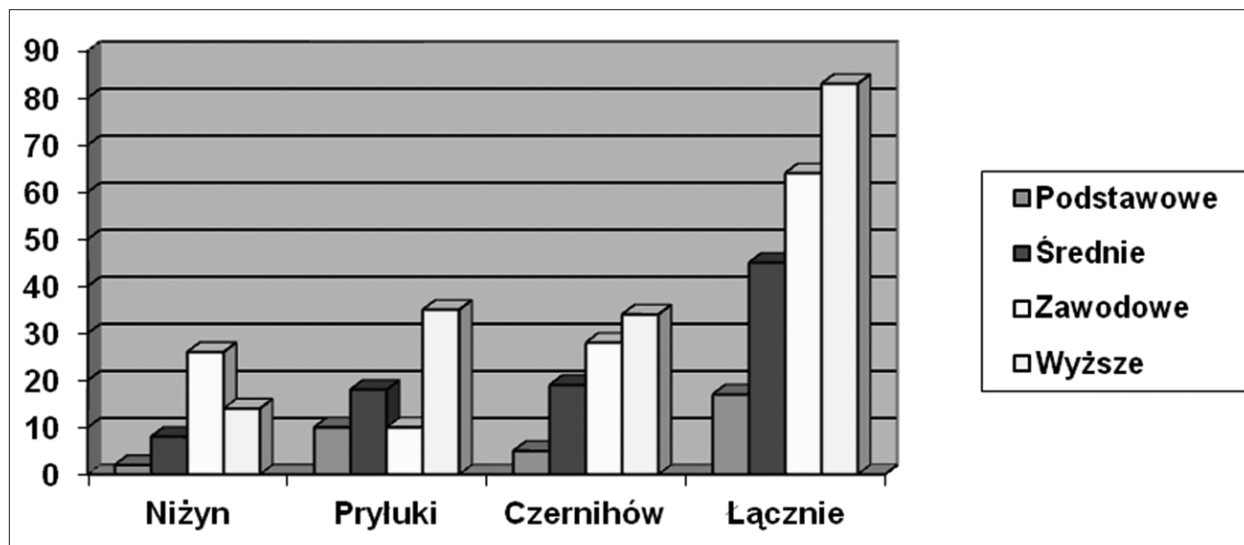
W polskich organizacjach ziemi czernihowskiej najliczniejszą grupę stanowią osoby z wykształceniem wyższym 83 – czyli prawie 40% (39,71%) wszystkich zrzeszonych. Drugą pod względem liczebności grupę stanowią osoby z wykształceniem zawodowym – 64 osoby (30,62%). Wykształcenie średnie posiada 45 osób (21,53%), a podstawowe 17 osób (8,13%).

Otrzymane dane dotyczące edukacji członków stowarzyszeń skupiających ludność polskiego pochodzenia obwodu czernihowskiego pozwalają stwierdzić, że do organizacji należą osoby z różnym wykształceniem, co przekłada się na ich wielorakie doświadczenia zawodowe i pracę w różnych profesjach. Ponadto należy zauważyć, że w grupie osób z wykształceniem podstawowym będą znajdowały się również dzieci, którym możemy przypisać ten poziom edukacji, a w grupie członków z wykształceniem średnim – studenci, którzy są w trakcie uzyskiwania wyższej oświaty. (Rys.3)

Uzyskany dzięki przeprowadzonym badaniom obraz stowarzyszeń polonijnych ziemi czernihowskiej pozwala stwierdzić, że większość członków organizacji stanowią kobiety, osoby w wieku produkcyjnym, z wyższym wykształceniem.

Barbara JANUSZKIEWICZ

Doktorantka URz



Rys. 3. Wykształcenie członków organizacji polonijnych obwodu czernihowskiego w ujęciu liczbowym

Przypisy:

1. A. J. Madera, „*Na bocznych drogach Europy*”, Rzeszów 1994, s. 73.
2. Zob. „*Rok 2014 – rokiem Żytomierskiego Obwodowego Związku Polaków na Ukrainie*” [w:] „*Mozaika Berdyczowska. Charytatywne kulturalno-oświatowe pismo*”, nr 2(115) 2014 r., artykuł dostępny również na stronie <http://mozberd.com.ua/?page=article&article=183> (wejście: 03.10.2014 r.).
3. Zob. <http://www.lwow.msz.gov.pl/resource/b4e4f24f-982d-44be-99f3-2a8ead980c55:JCR> (wejście: 04.10.2014 r.).
4. Zob. <http://www.dk.com.ua/post.php?id=876> (wejście: 01.10.2014 r.).
5. Zob. http://archiwum.wspolnotapolska.org.pl/pip/pbd/potw_dr.php?nr=5881 (wejście: 03.10.2014 r.).
6. Zob. W. Osmołowski, „*Tożsamość młodego Polaka na Ukrainie*” [w:] „*Wielokulturowość na Śląsku Opolskim, Litwie, Białorusi i Ukrainie. Z badań nad pograniczami etnicznymi*”, po red. T. Smolińskiej, Opole 2009, s. 150.
7. Tamże.
8. Zob. Ch. Hann, „*Antropologia społeczna*”, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2008, s. 243.
9. E. Karmolińska-Jagodzińska, „*Komunikacja międzypokoleniowa – rozważania wokół różnic kulturowych*”, Studia Edukacyjne nr 21/2012, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2012, s. 206 artykuł dostępny na stronie: https://repozytorium.amu.edu.pl/jspui/bitstream/10593/4286/1/studia_eduk_21_s_191-210.pdf (wejście: 12.05.2014 r.).
10. Zob. „*Поляки в Ніжині. Культура, освіта, наука*”, Випуск 5, Ніжин 2012, s. 6-7, http://archiwum.wspolnotapolska.org.pl/pip/pbd/potw_dr.php?nr=5881



MICHAŁ KLEOFAS OGIŃSKI – TWÓRCA POLONEZA „POŻEGNANIE Z OJCZYZNĄ”

Książęta na Kozielsku Ogińscy herbu własnego, czyli Oginiec (inaczej Brama), siedzieli pierwotnie przede wszystkim w Ziemi Smoleńskiej. Rurykowicze! Protoplastą gałęzi zadomowionej w Wielkim Księstwie Litewskim był Grzegorz Ogiński, który zostawił po sobie Dymitra, stolnika, oraz Macieja, łowczego litewskiego. W XVII – XVIII w. reprezentanci tego rodu przez branie żon spokrewnili się ze słynnymi rodzinami litewskimi, takimi jak Brzostowscy, Bystrzyccy, Chrapowiccy, Jakuszewscy, Korsakowie, Pieniążkowie, Połubińscy, Rudominowie, Wołłowiczowie, Wyhowscy. Dali też Rzeczypospolitej wielu znakomitych mężów zasłużonych na niwie pracy państwowej, politycznej, kulturotwórczej, że wspomnimy tu przykładowo tylko Michała Kazimierza Ogińskiego (1730 – 1800), hetmana wielkiego litewskiego, zarówno wybitnego polityka, jak i muzyka, któremu niekiedy przypisuje się autorstwo poloneza „Pożegnania Ojczyzny”.

Michał Kleofas Ogiński był jego bliskim krewnym, urodził się (z matki Pauli Szembekówny i Andrzeja, wojskiego trockiego) 7 października 1765 roku w Guzowie, położonym pod Sochaczewem. Pierwsze nauki pobierał u francuskiego nauczyciela domowego Jeana Rolay, któremu wiele zawdzięczał i dla którego zachował miłość do końca życia, wystawiając mu nawet pomnik w swej posiadłości Zalesie na białoruskiej Wileńszczyźnie. Już w dzieciństwie zdobył świetne umiejętności w zakresie języków obcych oraz muzyki. Miał też wysoką kulturę i wykształcenie ogólne. Toteż już w wieku 22 lat po raz pierwszy posłował z województwa trockiego do sejmu, który z kolei mianował go członkiem Komisji Skarbu W.Ks.L. W 1788 r. otrzymał Order Św. Stanisława, a w 1789 – Orła Białego za działalność na niwie państwowej. To już w ówczesnej Rzeczypospolitej najwyższymi nagrodami wyróżniano zdrajców, agentów obcego wpływu, pospolitych „europejskich” półgłówków, wschodnich i zachodnich szpiegów i tym podobne szumowiny. Tradycja żywotna i trwała! W dramatycznych latach rozbiorowych pan Ogiński zajął pozycję propruską, optował za oddaniem Niemcom

Gdańska i Torunia, łudząc się, że ułatwi to ułożenie stosunków między Prusami a Polską.

Po rozbiorach M.K. Ogiński przejściowo wycofał się z polityki i poświęcił porządkowaniu dużych posiadłości ziemskich, które odziedziczył zarówno w zaborze pruskim, jak i rosyjskim. Jego zaś pozycja polityczna ograniczyła się po prostu do lawirowania między poszczególnymi zaborcami i polskimi ugrupowaniami, nawzajem się zaciekle zwalczającymi.

Błękitna krew dała jednak o sobie znać już niebawem. Gdy w 1794 r. ruszyło powstanie przeciwko Rosji, powodowany szlachetnym odruchem serca podążył pan Ogiński do opanowanego przez insuregentów Wilna i w kwietniu 1794 r. – wbrew zresztą własnej wiedzy, gdyż był pewien, że powstanie jest skazane na przegraną ze względu na małoduszność i warcholstwo Polaków – zgłosił akces do rewolucji, a w maju wszedł w skład Rady Najwyższej Litewskiej. Na cele wojskowe ofiarował z własnych zasobów 118 tysięcy złotych, co na owe czasy stanowiło równowartość około 20 mln dzisiejszych, oraz dodatkowo wyekwipował własnym kosztem 500-osobowy oddział strzelców, na którego czele też stanął. Współpracował ściśle z generałem Tomaszem Wawrzeckim i dowódcą powstańczym, szewcem Jakubem Jasińskim. Latem 1794 r. dowodził, niestety nieudaną, wyprawą 200. jeźdźców na Mińsk Białoruski. Potem, na rozkaz T. Kościuszki, podjął kolejną wyprawę dywersyjną na tyły wojsk rosyjskich, tym razem w kierunku Kurlandii i Inflant.

Powiada się, że muzy milczą, gdy grzmiały armaty, a jednak nie zawsze tak jest. Nieraz wśród szczyku broni powstają cudowne arcydzieła literatury, muzyki, rzeźby czy malarstwa, że przytoczymy tu jako przykłady właśnie polonezy Ogińskiego czy Siódmą (Leningradzką) Symfonię Dymitra Szostakowicza.

W maju 1828 r. M. K. Ogiński skreślił krótką historię powstania poloneza „Pożegnania Ojczyzny” oraz pierwotne – jakże chlubne – tegoż dzieła dzieje. Pisał:



Herb rodu Ogińskich

„Było to w ciągu jesieni 1792 roku, kiedy skomponowałem czy też raczej zaimprovizowałem ów polonez w Warszawie, w chwili gdy po raz pierwszy doświadczyłem uczucia miłości, uczucia, które trwało krótko, lecz było ciche, spokojne i szczęśliwe. Był to już drugi polonez przeze mnie napisany. Pierwszy *en si-bémol* miał wiele powodzenia w kołach warszawskich, znajdowano w nim prostotę i smak. Miał on również tę zaletę, że był krótki – licząc wszystkiego, wraz z trio, dwadzieścia taktów. (Polonez ten prawdopodobnie nie zachował się do dziś; znamy wprawdzie trzy polonezy B-dur Ogińskiego, lecz jeden z nich liczy 24, drugi 48 taktów, trzeci zaś 63 takty.) Dostrzeżono również, że potrafiłem kończyć każdą część poloneza i tria frazą odmienną od stosowanych uprzednio, dzięki czemu zniknęło owo zawsze nużące powtarzanie dwu ostatnich taktów poprzedzających reprzykę każdej części.

Mój drugi polonez *en fa-majeur* wraz z trio *en fa-mineur* wywołał jeszcze większe wrażenie i przepowiadano odtąd, że dokonam wielkiej reformy w charakterze polonezów, które dotąd w kraju służyły jedynie jako tańce towarzyskie, a które mogły, zachowując swój narodowy charakter, łączyć w sobie śpiew, wyraz, smak i uczucie.

Wyznaję, że ów drugi polonez i na mnie samego wywarł wrażenie niezwykle i w ciągu wielu tygodni grywałem go z wielką przyjemnością; nigdy jednak nie

przyszło mi do głowy, że będzie on miał tak powszechne powodzenie we wszystkich krajach, gdzie tylko będzie grany, oraz że po upływie lat zachowa jeszcze ową na początku zdobytą reputację.

Gdy w wyniku nieszczęsnej kampanii 1792 roku Rosjanie zajęli Warszawę, mój polonez, który ukazał się niedawno przedtem, przeszedł do Petersburga, gdzie go tańczono na dworze Katarzyny II, zowiąc go «Polonezem Ogińskiego». Aranżowano go na wszelkie rodzaje instrumentów: orkiestry pułkowe wykonywały go przy wszelkich paradach wojskowych, grano go na fortepianie czy też na harfie w czasie wszelkich zebrań towarzyskich w Petersburgu.

Wyznaję, że powszechnemu entuzjazmowi wywołanemu przez ów polonez zawdzięczam w dużej mierze życzliwe przyjęcie, jakie mnie spotkało w Petersburgu w r. 1793, gdy przybyłem tam domagać się zwrotu zabranych mi posiadłości ziemskich. W owym czasie, gdy serce moje było rozdarte przez ból i smutek z powodu nieszczęścia mojej Ojczyzny, ja zaś byłem niemal zrujnowany, myślałem raczej o wielu innych rzeczach niż o muzyce; tymczasem, gdziekolwiek się pojawilem, wpadano w zachwyt nad moim polonezem, we wszystkich zaś salonach, w których tylko był jakiś fortepian, musiałem go grać raz i drugi, aż do prawdziwego zmęczenia.

Opuściwszy Sankt Petersburg po upływie około 2 miesięcy, nie wracałem myślą do tych rzeczy w ciągu wielu lat, to jest w czasie nieszczęsnego sejmiku 1793 roku, jak w dniach insurekcji w r. 1794 i w czasie ośmiu lat mojej emigracji, którą spowodował ostatni rozbiór Polski.

Na krótko ocknąłem się z mojej apatii względem muzyki, gdy w roku 1794, znalazłszy się w szeregach walczących w obronie Ojczyzny, skomponowałem marsz dla mojego oddziału szaserów, wraz ze słowami dostosowanymi do muzyki; marsz ten wykonywano później w wielu regimentach. Ułożyłem również pieśni wojskowe i patriotyczne, które miały wielkie powodzenie, gdyż podniecały odwagę, energię i entuzjazm moich towarzyszy broni.

Wraz z tragicznym końcem naszej insurekcji, którego następstwem było unicestwienie mojej Ojczyzny, wszystkie moje pojęcia uległy wstrząśnieniu. Zmuszony uciekać z ziemi ojczystej, doprowadzony do nędzy, pogrążony w najczarniejszych myślach i nieraz ulegając rozpaczom, nie miałem ani czasu, ani upodobania, ani też ochoty zajmować się muzyką. Jeśli w trakcie moich wędrówek po opuszczeniu kraju natrafiłem przypadkiem w drodze na fortepian, zasiadałem do niego machinalnie i wydobywałem zeń dźwięki smutne, rozdzierające, czasem gwałtowne, jakby natchnione przez jakieś majaczenia; po paru zaś



Michał Kleofas Ogiński

godzinach wodzenia palcami po klawiaturze bardzo złego zazwyczaj instrumentu spostrzegalem ze zdziwieniem, że improwizowalem tematy, fantazje i melodie głęboko melancholijne, które istotom nawet najmniej wrażliwym wyscisnęłyby łzy z oczu.

Trzeba było się znaleźć na moim miejscu, by ocenić wartość owych improwizacji, które następnie zniknęły z mojej pamięci i których żadne pisane ślady nie pozostały. Można o nich sądzić jedynie po kilku polonezach o posępnym nastroju, które zapisałem w wolnych chwilach w Neapolu, Konstantynopolu, a później w Paryżu i Berlinie. Wszystkie one nacechowane są uczuciami przepętniającymi mnie wówczas.

Z początku roku 1797, na usilne żądania wielu moich rodaków, napisałem marsz wojskowy dla legionów polskich w Lombardii. Został on ułożony na wszystkie instrumenty dęte przez słynnego klarnecistę Lefevre'a w Paryżu. Przez kilka dni wykonywano owego marsza w kościele św. Rocha w czasie zebrania stowarzyszenia «Theophilantropes», przy ogromnym napływie i innych słuchaczy. Był on oklaskiwany z najwyższym entuzjazmem; ze wszystkich stron wołano: bis, bis, domagając się powtórzenia. Pierwszy to raz moja skromna miłość własna kompozytora została tak mile pogłaskana; wspomnienie o tym nigdy mnie odtąd nie opuściło.

Wracam jednak do moich polonezów, aby się zatrzymać głównie nad owym en fa. Minęło niemal dziesięć lat od chwili napisania go, kiedy to otrzymawszy zezwolenie powrotu do Rosji z początkiem panowania Aleksandra, przybyłem w roku 1802 do Petersburga.

Kozłowski, który był pierwszym nauczycielem muzyki w moim dzieciństwie, wówczas zaś był dyrektorem Orkiestr Ich Cesarskich Mości we wszystkich teatrach Petersburga i Moskwy, pokazał mi trzy moje polonezy, z owym en fa na czele, które sztychowano w Wiedniu, Berlinie i Lipsku. Zwrócił mi uwagę na to, że moje utwory zostały w druku zniekształcone, zapewne z powodu braku dokładnej kopii manuskryptu. Prosił mnie, bym mu powierzył swoje utwory muzyczne, które zdołałem ocalić, wraz z zezwoleniem wydania ich drukiem na jego koszt, w składzie muzycznym Damasa w Sankt Petersburgu.

Wówczas to po raz pierwszy ukazał się zbiór moich polonezów oraz drugi zbiór melodii francuskich i włoskich, które zresztą – moim zdaniem – nie zasługiwały na publikację. Byłem wielce zmartwiony widząc, na jak złym papierze i z iloma błędami owe dwa zbiory zostały wydrukowane, toteż nigdy nie wybaczyłem sobie, że użyczyłem swych utworów memu staremu

przyjacielowi Kozłowskiemu; jakkolwiek nie mogłem go obwiniać o niedbałość, bowiem w czasie druku moich utworów, ciężko chory, leżał w łóżku kilka miesięcy, wskutek czego nie był w stanie druku sam dopilnować.

Dziewięć dalszych lat upłynęło, w czasie których nie słyszałem nic ani o sławie mojego poloneza en fa, ani też o plotkach, jakie się rozeszły na temat jego autora; wówczas to, w roku 1811, przybył do Petersburga jeden z moich przyjaciół i przywiózł mi z Lipska egzemplarz zawierający trzy moje polonezy, na wstępie których znajdował się długi komentarz w języku niemieckim. Oto jego przekład:

«Chętnie wymyśla się nieraz fikcyjne wieści na temat wybitnych osobistości, znanych publiczności przez takie czy inne utwory, które pozyskały im rozgłos. Wieść odnosząca się do autora tych polonezów zasługuje, by ją tu przytoczyć, a niewątpliwie zabawi ona samego autora. Utrzymywano mianowicie i rozgłaszano tę wieść po całych Niemczech od szeregu lat, że autor pierwszego z polonezów, które tu przedrukowujemy, skomponowałszy go, samobójczo położył kres swoim dniom. Z przyjemnością donosimy, że ten fakt jest zmyślony, że autor bynajmniej z życiem się nie rozstał, że znajduje się obecnie w Petersburgu, że jest Senatoren Cesarstwa Rosyjskiego i że napisał wiele innych kompozycji muzycznych, które pod względem gustu i ekspresji bynajmniej nie ustępują polonezowi, o którym tu mowa».

Pierwszy to raz wówczas słyszałem ową bajkę, którą zmyślono na mój temat i która mogła powstać jedynie w okresie ośmiu lat mojej emigracji, w czasie, gdy zniknąłem z mego kraju i gdy mnie miano za nieżyjącego, podczas gdy pod przybranym nazwiskiem błąkałem się po Niemczech, Włoszech i Konstantynopolu.

Ponieważ w 1811 zaprzątnięty byłem w Petersburgu ważkimi zajęciami, które pochłaniały cały mój czas i uwagę, uśmiechnąłem się jedynie, widząc ów w Lipsku drukowany egzemplarz oraz skwapliwość, z jaką wydawca starał się udowodnić, że ja jeszcze żyję. Nie wiedziałem zresztą, że mój polonez nadal cieszył się względami publiczności, nie zadawałem sobie bowiem trudu, by śledzić tę sprawę.

Przybywszy do Dreżna w styczniu 1823, zacząłem przeglądać stare numery lipskiej gazety muzycznej, ponieważ mnie zapewniało, że była tam o mnie mowa. Znalazłem istotnie szereg artykułów, w których wygłaszano najwyższe pochwały moich romansów i polonezów, a zwłaszcza owego en fa. Redaktorzy owej gazety dopatrywali się w moich kompozycjach geniuszu, gustu, oryginalności i sentymentu. Posuwali się oni aż do

twierdzenia, że dla muzyki narodowej w Polsce jestem tym, czym w Niemczech dzięki swym słynnym menuetom, których żaden artysta nie umiał imitować, jest Haydn.

Owo porównanie mogło być zawrócić mi w głowie; wyznam jednak szczerze, że nigdy nie miałem pretensji uważać się za kompozytora, że zupełnie nie przywiązywałem wagi do mojego marnego talentu, nie czułem się bowiem zdolny do stworzenia czegoś w bardziej wzniosłym rodzaju, zresztą nie miałem nigdy ani czasu, ani ochoty szukać rozgłosu dzięki kompozycjom muzycznym.

W magazynach muzycznych Drezna znalazłem moje polonezy drukowane w Pradze, Berlinie, Wiedniu i w Neuchâtel. Ten ostatni egzemplarz nosił tytuł «*Deux célèbres polonaises de I. P. de Ogiński*». Na innym egzemplarzu, nie wiem, gdzie drukowanym, dodano J. W. P., z czego wniosłem, że kopię wykonano w Polsce, zaś zagraniczni wydawcy, nie wiedząc jak brzmi moje imię, pozostawili litery I. P. – stanowiące skrót polskich słów Imci Pana, co oznacza «*de Monsieur*»; inni zaś umieścili tam litery JWP stanowiące skrót «*S. E. Monsieur*». Kto nie wie, że w języku polskim nie stosuje się wcale artykułu i że imiona własne odmieniają się na równi z wszystkimi rzeczownikami, ze zdziwieniem znajdzie na niektórych wydaniach moich polonezów zamiast «*d' Ogiński*» słowo «*Ogińskiego*», które jest genetiwem mojego nazwiska w języku polskim. Niejeden też raz pobudziło mnie do śmiechu pytanie, czy to są dwa różne nazwiska.

Większość egzemplarzy zawierała jedynie trzy polonezy, z których pierwszy z reguły nosił tytuł «*sławny*» lub «*ulubiony*»; z kolei następował zazwyczaj polonez *en ut mineur*, który nazwałem «*Les adieux*», oraz *en sol*, który ułożyłem na cztery ręce i który przerobiono na dwie ręce jedynie.

Pewnego dnia, przechadzając się po ulicach Drezna, spostrzegłem biuro adresowe, gdzie przez ciekawość też wstąpiłem. Młoda Niemka, która w biurze zastępowała swego ojca, spostrzegłszy, że jestem cudzoziemcem, zapytała o mój kraj... Usłyszawszy mą odpowiedź, że jestem Polakiem, zaczęła wychwalać wierność i odwagę moich współrodaków, których wielu miała sposobność poznać w Dreźnie, następnie zaś zapytała z wielką ciekawością i skwapliwością, czy nie znam owego Polaka Ogińskiego, którego kompozycji poloneza grano wszędzie i którego koniec tragiczny opłakiwano. Uśmiechnąwszy się na takie pytanie, zagrałem owego poloneza na fortepianie, który spostrzegłem w magazynie, zapytując czy o tym właśnie polonezie mówiła. Panienska w odpowiedzi skinęła

głową twierdząc i zaczęła płakać powtarzając, że nigdy nie mogła słuchać tego utworu ani też go wykonywać, nie lejąc też nad losem biednego młodzieńca, który go skomponował.

Gdy ja, ze swej strony, zacząłem się śmiać z całego serca, wyrażając jej wdzięczność za zainteresowanie autorem poloneza, dodając jednak, że niestuszenie go opłakuje, skoro go widzi obecnego przed sobą, panienska cofnęła się z przerażeniem, wołając: «*Jak to!... Czyż to możliwe!... Byłżebyś Pan duchem?... Lecz nie, Pan chcesz mnie pocieszyć... Autor tego poloneza nie żyje; znamy dokładnie szczegóły jego śmierci... Rozgłoszono wieść, że klęski jego Ojczyzny, których nie chciał przeżyć, spowodowały owo samobójstwo; ale jest rzeczą dowiedzioną, że to zawód miłosny i zazdrość doprowadziły go do tego aktu rozpaczny... Biedny młodzian! Nie możemy wątpić w jego zgon. Wszak znamy nawet wiersze, które napisał, zanim sobie śmierć zadał, a są one śpiewane po całych Niemczech*».

Mówiąc mi to wszystko, patrzyła na mnie zarówno ze zdumieniem, jak i z przerażeniem i nic może nie zdołałoby jej wyprowadzić z błędu, gdyby nie wszedł przypadkiem do sklepu generał Bleszyński, adiutant króla saskiego, i nie rozweselił się kosztem strachu i łatwowierności panienski. Zapewnił ją uroczysto, że ja właśnie jestem tym Ogińskim, który ją tyle też kosztował, i dopiero to powtórzone świadectwo, nie rozprasając jej zdumienia, uspokoiło ją i wprowadziło w trudny do opisanego stan zadowolenia. Pobiegła szukać owych niemieckich wierszy, o których mi mówiła i których autorstwo mnie przypisywano; znalazłem je pełne egzaltacji, w rodzaju romantycznym. Obiecała mi je przepisać własną ręką; wreszcie też nabyła pewności, że autor «*Todten-polonaise*» (tak go nazywano) nie jest nieboszczykiem.

Tegoż dnia obiadowałem u Pana de Cannicoff, posła rosyjskiego, wraz z licznymi dyplomatami zagranicznymi. Mówiono wiele o przerażeniu, jakim napętniłem młodą panienskę, przyznawano, że nie ma nic zabawniejszego nad owe po całych Niemczech rozpowszechnione pogłoski na temat tragicznego końca autora poloneza, którym z takim upodobaniem wiarę dawano.

Ambasador angielski na dworze drezdeńskim, nie mogąc przybyć na obiad do Pana de Cannicoff, zjawił się u niego wieczorem i zastał niemal całe towarzystwo, które się jeszcze nie rozeszło; ja jeden musiałem je wcześniej opuścić, by udać się do teatru. Konwersacja powróciła do tematu, który zabawiał zebranych w czasie obiadu, i w obecności ambasadora angielskiego, zdającego się nie znać

tych wszystkich szczegółów, mówiono znowu o muzyce poloneza i o zgonie jego twórcy.

Ambasador wysłuchał opowiadania z wielką uwagą i jak gdyby pogrążony w głębokim zamyśleniu; usłyszawszy jednak na końcu, że autor poloneza bynajmniej nie umarł i że przed chwilą opuścił salon, podniósł się gwałtownie i uderzając ręką w stojący obok stół, powiedział z wielką powagą: «Jaka szkoda, że on się nie zabił!»

Można sobie wyobrazić owe wybuchy śmiechu, które nastąpiły, oraz skwapliwość, z jaką opowiadano mi nazajutrz ten niezrównany rys oryginalności charakteru angielskiego.

Głośny kompozytor Weber, który właśnie ustalił swoją reputację napisaniem «Wolnego strzelca» i który w owej epoce kierował operą teatru królewskiego w Dreźnie, postarał się, by został mi przedstawionym i jak najpochlebniej wyrażał się o moich utworach muzycznych.

Anglik, p. Livius, bardzo wybitny miłośnik muzyki, który wystawił w teatrze londyńskim szereg oper własnej kompozycji, poszukiwał mnie skwapliwie we wszystkich kołach drezdeńskich i prosił usilnie p. de Canicoff, by go ze mną zapoznał. Mówił mi on wiele o entuzjazmie, z jakim spotyka się moja muzyka u jego rodaków, dodając, że uważa za najpiękniejszy w swym życiu dzień, w którym mógł zawrzeć znajomość z autorem słynnego poloneza itd., itd.

Dyrektor Teatru Warszawskiego, Kurpiński, bawiąc przejazdem w Dreźnie w drodze do Paryża i Londynu, usiadł przypadkiem w pobliżu mnie na przedstawieniu opery włoskiej, dowiedziawszy się zaś, od licznych tam obecnych Polaków, kim jestem, wyraził mi całą satysfakcję, którą był przejęty, widząc po raz pierwszy tego, którego kompozycje muzyczne zawsze podziwiał, autora owych pięknych polonezów, zaszczyt przynoszących naszemu gustowi narodowemu i służących za wzór i model wszystkim kompozytorom, chcącym w tym rodzaju tworzyć.

Na zakończenie opowiadania o moim pobycie w Dreźnie dodam, że młody człowiek nazwiskiem Inkermann, który z dużym powodzeniem udoskonalił litografię, prosił mnie usilnie, bym mu dał moje polonezy, romanse, marsze i inne utwory muzyczne mojej kompozycji, poczyniwszy własnoręcznie potrzebne poprawki. Całą tę muzykę opublikował w czterech odrębnych zbiorach elegancko wylitografowanych własnym sumptem i na własny rachunek. Do tytułu każdego zbioru dodał objaśnienie, że ogłasza według oryginalnego egzemplarza, który otrzymał wprost od kompozytora. Później, w czasie mego pobytu w Italii, otrzymałem od Inkermanna listy dziękczynne pełne

TEKST „POŻEGNANIA OJCZYZNY”

Polski kraj, rodzinny kraj
Ojczystej ziemi słyszę śpiew
z mazurskich strzech, kujawskich starych chat
z rodzinnych progów drogi słyszę śpiew.

Z rodzinnych progów słyszę dźwięki poloneza
ten ton, wspomnień dawnych długa nić
w pamięci obraz ziemio twój
turkusy jezior, rzek błękitna mgła
dzieciństwa marzeń błogich
marzeń rój.

Dzieciństwa marzeń moich tony pożegnania
dzieciństwa kraj, młodości znikły dni,
ach dni, lecz wciąż po nocach mi się śni.
Radością w sercu drży, po nocach mi się śni

Rodzinny dom, daleki dom
kochany polski kraj
O, ziemio ma
złocistych pól, zieleni bujnych traw
zastygła bólu i tęsknoty łza
zastygła bólu łza, tęsknoty pożegnania.

Hej, rozbrzmiewa w moich uszach śpiew
to wiatru go rozsiewa wiew
odwieczną piosnkę starych drzew
beskidzkich gór melodia mknie
unosi mnie w rodzinny kraj
w młodości kraj
unosi mnie w dzieciństwa raj
polski kraj
melodia poloneza.

Głos przyszłości słyszę
w sercu radość czuję
pieśń przerywa ciszę
duszę mą raduje
głos przyszłości słyszę
radość serca czuję
ach, jak się rozwija
polski kraj, wolności nam zawitał maj
radosny i promienny maj
rozbrzmiewa pieśń wolności
jak ochoczo śpiewa cały lud
wolności cud
ochoczo śpiewa cały polski lud
melodię poloneza.

Polonez a-moll

Pożegnanie ojczyzny

Michał Kleofas Ogiński
1765-1833

Moderato tristamente

The first system of the musical score for 'Polonez a-moll' by Michał Kleofas Ogiński. It consists of three staves: a treble staff, a bass staff, and a lower bass staff. The treble staff begins with a mezzo-forte (*mf*) dynamic and features a melodic line with slurs and accents. The bass staff provides a harmonic accompaniment with chords and single notes. The lower bass staff contains a simple bass line. The key signature is one flat (B-flat) and the time signature is 3/4.

The second system of the musical score, starting at measure 5. It continues the melodic and harmonic themes from the first system. The treble staff shows a continuation of the melodic line with slurs. The bass staff continues with its accompaniment. The system concludes with a 'Fine' marking at the end of the treble staff.

The third system of the musical score, starting at measure 9. The treble staff features a triplet of eighth notes marked with a '3' and the instruction '*p espress.*'. The bass staff continues with its accompaniment. The system concludes with a repeat sign at the end of the treble staff.

The fourth system of the musical score, starting at measure 13. The treble staff features a melodic line with slurs and a forte (*f*) dynamic marking. The bass staff continues with its accompaniment. The system concludes with a repeat sign at the end of the treble staff.

wyrazów wdzięczności; dowiedziałem się z nich z przyjemnością, że przedsięwzięcie to przyniosło mu poważne korzyści; w dowód wdzięczności przysłał mi szereg utworów muzycznych, które mnie dedykował, jak też i inne próbki swej litografii, którą do takiego stopnia perfekcji doprowadził, że nic już nie pozostawiała do życzenia.

Podczas mego pobytu w Wilnie w 1817 poleciłem wyszytychować własnym kosztem moje polonezy i romanse dość zręcznemu artyście niemieckiemu, który tam bawił przejazdem. Wszystkie egzemplarze przeznaczone zostały na benefis ubogich, utrzymywanych w liczbie około 500 w domu wileńskiego towarzystwa dobroczynnego, którego byłem prezydentem. Dusze miłosierne skwapliwie wykupiły nuty, z czego wynikło zwiększenie funduszu dla ubogich z 600 na 700 dukatów w złocie.

Gdy przybyłem do Italii, Panowie Ricordi, Geni etc. również zażądali manuskryptów moich dzieł, zamierzając je sztychować w odrębnych zbiorach w Mediolanie. Wydali też między innymi sześć moich romansów francuskich wraz z przekładem włoskim pióra hrabiego Scribani.

Ukazały się kolejno drukiem w oficynie Ricordiego: sześć moich polonezów, sześć romansów wraz z przekładem włoskim, 2 polonezy do słów włoskich i jeden nowy romans francuski, 8 moich ostatnich polonezów – «*Odi di un uom che muore*» – romans włoski; «*Le dernier beau jour de l'automne*» – romans; «*Le Reveil*» – romans.

Z końcem roku 1826, we Florencji, mile byłem zdziwiony, słysząc na publicznym koncercie w teatrze de la Pergola w wykonaniu Panny Aliny Bertrand, słynnej harfistki związanej z dworem francuskim, fantazję na harfę ułożoną przez nią na temat poloneza Ogińskiego i sztychowaną najpierw w Paryżu, później w Mediolanie.

Nic jednak nie zdziwiło mnie i nie ubawiło bardziej, jak pewien egzemplarz mojej muzyki, który mi przysłano z Paryża i który nosił tytuł: «*Trois polonaises favorites pour fortepiano ou harpe composées par Ogiński*».

Mimochodem zaznaczę, że dwa pierwsze polonezy są istotnie moje, mianowicie en fa i drugi en ut mineur; zazwyczaj nazywałem je «*Les adieux*». Natomiast trzeciego poloneza nie mogę sobie przypisać i gniewałoby mnie, gdybym był jego autorem. Ma on jednak pewną zaletę szczególną, oto znano go powszechnie pod nazwą: «*ulubiony polonez Kościuszki*». Nie wiem, kto jest jego twórcą, jest to jednak utwór jedynie do tańca i w niczym nie przypomina wszystkich moich polonezów.

Otóż na egzemplarzu owym, nad tytułem, znajduje się duża winieta, dość dobrze wyszytychowana, która po

jednej stronie przedstawia młodego człowieka szykownie ubranego w strój polski, klęczącego nad brzegiem ruczaju wśród gęstych drzew z pistoletem przyłożonym do skroni, w postawie człowieka, który zamierza popełnić samobójstwo. Po drugiej zaś stronie, w głębi, widać salę balową, ozdobioną i dobrze oświetloną, gdzie na trybunie umieszczono orkiestrę, widzowie siedzą na ławkach, zaś młody człowiek tańczący z damą dość zabawnie ubraną, co – jak się zdaje – miało przedstawiać strój polski.

Oto zaś skopiowany dosłownie napis, który widnieje pod ową winietą:

«Zrozpaczony Ogiński widząc swą miłość odpłaconą obojętnością, odbiera sobie życie, podczas gdy orkiestra gra jego poloneza, skomponowanego dla niewdzięcznej kochanki, która właśnie tańczy z jego rywalem.».

Nie będę się rozwodził nad śmiesznością tego wymysłu dla zabawy uczynionego, który dobrze maluje lekkość francuskiego charakteru. W Niemczech ukontentowano się rozpowszechnianiem absurdalnej bajki; w Paryżu drukuje się ją, sztychuje nie próbując odkryć, skąd się wzięła. Potwierdza się wobec publiczności ową wiadomość, która dzięki temu przejdzie do potomnych, ci zaś z kolei dadzą jej wiarę w oparciu o świadectwo wydawców muzyki! Na szczęście «*Le Journal de l'Étoile*» z 6 grudnia 1826, zdając sprawę z moich *Mémoires sur la Pologne*, które właśnie wydrukowano w Paryżu, opowiada w przypisku anegdotę o moim rzekomym samobójstwie, dodając: «a wszak to ten sam Ogiński ogłasza obecnie swoje wspomnienia o Polsce i Polakach!».

Według Niemców miałem przed samobójczą śmiercią odśpiewać ponad czterdzieści strof, bardzo patetycznych. Zapewniano mnie, że pojawiło się także wiele innych, tych jednak nie mogłem zdobyć. Zdaje się, że wierszokleci układali swe strofy, każdy na swój sposób, podług uczuć, które – jak sądzili – należało mieć w chwili, gdy się popełnia samobójstwo z nadmiaru miłości i zazdrości.

Francuzi w swej galanterii umieli przyprowadzić ostatni poryw rozpaczy wyrazami mniej ponurymi, które malują zarazem czułość, boleść i miłość.

Zanim skończę ten i tak już zbyt długi list, trzeba, bym powiedział słów kilka o wrażeniu, jakie sprawiał mój polonez w Genewie, i to w ciągu wielu lat. Gdy w 1825 Pani Szymanowska, pianistka Ich Cesarskich Mości Cesarzowych Rosji, dała tam koncert publiczny, po ogólnych oklaskach cała obecna socjeta głośno domagała się, by wykonać jeszcze polonez Ogińskiego, jakkolwiek nie był on wcale umieszczony w programie koncertu; uprzejma artystka z wdziękiem przychyliła się do życzeń publiczności, zbierając jeszcze liczniejsze oklaski.

W czasie mojej podróży do Genewy ze wszystkich stron słyszałem, że mój polonez znany tu jest od dawna, a słuchacze ciągle nie mają go dosyć. Stary kopista, którego przez wiele miesięcy zatrudniałem przy przepisywaniu na czysto manuskryptu moich memuarów, zapewnił mnie, że w ciągu dwudziestu lat sporządził ponad 500 kopii mojej muzyki. Dowiedziałem się również, że w tym samym czasie wyłącznie tylko do Londynu wyeksportowano wiele setek pudeł o cylindrycznym kształcie różnych rozmiarów, zawierających muzykę mojego poloneza.

Uczony i słynny lekarz genewski, Butini-ojciec, który szczególną miał predylekcję dla mej muzyki, podkładał pod moje polonezy słowa najpiękniejszych elegii. W pewnej czytelni genewskiej po raz pierwszy zobaczyłem anons czasopisma muzycznego, które wychodzi w Londynie pod nazwą «The Harmonicon» i którego pierwsze numery właśnie się ukazały. Mianowicie pośród trzydziestu najwybitniejszych kompozytorów, których utwory muzyczne zamierzano w owym czasopiśmie publikować, obok nazwiska Haydna, Mozarta, Beethovena, Cimarosa, Rossiniego i innych z równym zdziwieniem jak i przyjemnością znalazłem i swoje nazwisko.

Pani Szymanowska, którą już tu wyżej wspominałem, pisała mi w jednym ze swych listów, datowanym z Londynu 28 maja 1825: «Nie mogę się powstrzymać, Panie Hrabio, od grania Pańskich polonezów we wszystkich towarzystwach; nikt się nie nuży ich słuchaniem, wszyscy znajdują je zachwycającymi!» – W innym liście, pisanym w tymże mieście z datą 26 marca 1826, dodaje jeszcze Pani Szymanowska: «Pańskie polonezy czarują całe tutejsze towarzystwo, jestem obligowana grać je, gdziekolwiek się znajdę. Na ogół wszystkie Pańskie kompozycje są lubiane, ale słuchacze przepadają za «la polonaise favorite», który trwać będzie tak długo jak świat... Gram często Pańskie polonezy wraz z harfistką, jedną z elegantek londyńskich, która sztukę gry na tym instrumencie posiadała aż do perfekcji».

Zakończę ten list ciekawostką, którą lubię wspominać: oto ostatni bohater, którego Polska straciła, książę Józef Poniatowski, był entuzjastą mojego poloneza, tego właśnie, o którym tak się rozpisyje: nigdy nie mógł się on go dosyć nasłuchać. Wiem z ust samej Pani Generalowej Kamienieckiej (dawniej Trębickiej), że w ciągu pięciu lat, od 1796 poczynając, musiała ona co wieczór grać owego poloneza w czasie zebrania towarzystwa, które gromadziło się u księcia Józefa w pałacu Pod Blachą, stanowiącym część zamku królewskiego w Warszawie, gdzie książę w owym czasie zamieszkiwał.”

Tyle Michał Kleofas Ogiński o sobie.

Powróćmy jednak do sierpnia 1794 roku, kiedy to hrabia na czele doborowego oddziału złożonego z młodych szlacheckich ochotników powiatów święciańskiego, brasławskiego i wilkomierskiego, rozpraszając oddziały rosyjskie po drodze, przebił się aż do Dyneburga, którego garnizon miasto spalił i właściwie zdobywać nie było czego. Tymczasem powstanie ponosiło w innych miejscach porażki. Pogrzebiono Wilno, w ręce Rosjan wpadły liczne miasta i miasteczka Wileńszczyzny. Ogiński nakazał odwrót, a potem rozproszenie się swym żołnierzom, gdyż moskiewska zaraza rozlała się już była po całej prowincji łotewskiej. Tak się skończyła bohaterska dwutygodniowa epopeja w Łatgalii. Ochotnicy po kryjomu wracali do swych dworów, a dowódcy udało się, omijając posterunki rosyjskie, przedostać do jeszcze broniącej się Warszawy. Ale powstanie dogorywało. Ogiński w przebraniu i pod fałszywym nazwiskiem uciekł do Wiednia, potem z żoną wyjechał do Wenecji. Odrzucił propozycję generalissimusa Aleksandra Suworowa, by wrócić do swych dóbr, położonych już w Cesarstwie Rosyjskim.

Przez dalsze kilka lat poświęcał się działalności organizacji polskich w Galicji, Turcji, Francji, Rumunii. Usiłował godzić zaciekle nienawidzące się różne odłamy emigracji polskiej, prowadzone zresztą na pasku przez wywiad austriacki, niemiecki, angielski, francuski i in. Nadaremnie. W 1797 r. wielokrotnie spotykał się z Napoleonem Bonapartem, usiłując przekonać go do sprawy polskiej, napisał nawet na jego cześć operę. Nadal łożył z własnej kieszeni znaczne kwoty na cele narodowe. Ale nawet to stanowiło pretekst do szaleńczych ataków prasowych na jego osobę. Tylko głupiec mógłby w tej sytuacji nadal poświęcać się służbie temu zbuntowanemu motłochowi. W 1798 r. Ogiński zrezygnował z działalności politycznej i poniechał wszelkich prób godzenia i jednoczenia rodaków. Zajął się sprawą odzyskiwania majątków skonfiskowanych na rzecz skarbu państwa rosyjskiego, a wysiłki te musiały trwać przez wiele lat i dopiero w 1810 r. zostały uwieńczone sukcesem. Spotkał się wówczas z carem Aleksandrem I, pozyskał jego szacunek i zaufanie, otrzymał nominację na senatora i tajnego radcę cesarskiego, jak też order Św. Włodzimierza i Aleksandra Newskiego. Za deklarację lojalności uzyskał pewne ulgi, a nawet przywileje dla szlachty Litwy. Pod względem politycznym zachowywał się lojalnie w stosunku do państwa rosyjskiego, podobnie jak tłumnie przebywający przy dworze cesarskim w Petersburgu Radziwiłłowie, Czartoryscy, Kamieńscy, Pużynowie, Wiśniowieccy, Czarnieccy, Skirmuntowie, Kiersnowscy, Strawińscy, etc., etc.

Życie osobiste nie układało się panu Ogińskiemu pomyślnie. Z pierwszą żoną, Izabelą Lasocką, miał dwóch synów dwojga imion: Tadeusza Antoniego i Franciszka Ksawerego, którzy obaj byli uzdolnionymi kompozytorami. Mając 62 lata rozwiódł się z żoną i poślubił o ponad trzydzieści lat młodszą włoską śpiewaczkę Marię Neri, wdowę po Kajetanie Nagórskim, panią niezbyt statecznej konduity, która co prawda urodziła mu córkę Amelię, zdolną kompozytorkę, ale też – jak pisali niektórzy polscy biografowie – powiła syna i dwie dalsze dziewczynki, których ojcem pan Ogiński ponoć już nie był. Może to jednak jest tylko plotka (o bardzo lubianym w Polsce wątku).

Przez około dwadzieścia lat M.K. Ogiński mieszkał z nową rodziną w Zalesiu na Wileńszczyźnie, gdzie zbudował piękny pałac (wg projektu profesora Uniwersytetu Wileńskiego Michała Szulca), założył oranżerię, ogród angielski, zgromadził przebogatą bibliotekę francuskojęzyczną.

W Zalesiu było wówczas dymów 109 (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 1, nr 1015, s. 14). Miejscowość ta stała się jedną z najpiękniejszych rezydencji na Białorusi i Litwie. Mieszkając tu hrabia Ogiński poświęcał się jednocześnie pracom na rzecz rozwoju nauki, kultury i dobroczynności w Wilnie. Był człowiekiem szanowanym, autorem w tym czasie nie tylko wielu cenionych dzieł muzycznych, ale też tworzonych z talentem tekstów wspomnieniowych, pisanych przeważnie po francusku, a wydawanych w wielu krajach europejskich.

Michał Kleofas Ogiński był też autorem z wielką kulturą napisanych „Listów o muzyce”, w których wypowiedział się o niektórych ważnych aspektach filozofii i historii muzyki. Wyznawał o sobie:

„Wszystko co mam, to dobre ucho, głębokie poczucie harmonii i smak, który sobie ukształtowałem słuchając i uprawiając często dobrą muzykę. Jeśli kilkakrotnie zdarzyło mi się skomponować jakieś drobiazgi, które amatorzy muzyki, a nawet i artyści najznakomitsi zaszczytli swoimi pochwałami, jeśli wzruszyło się nimi parokrotnie serce czule, o wibracjach zgodnych z drganiem mojego serca, jeśli wreszcie człowiek miotany gwałtownymi namiętnościami odnajdywał spokój i uciszenie wykonując jeden z moich polonezów czy też śpiewając mój romans – nie mogę tego przypisywać ani znaczniejszym uzdolnieniom, jakich nigdy nie miałem, ani też głębszej znajomości muzyki. Nie znaczy to, bym zaniedbywał reguły kompozycji i bym w dzieciństwie nie poświęcał dostatecznej ilości czasu na ćwiczenia generalbasu i na studium teorii muzycznej, nakazywano mi bowiem to czynić; wyznam jednak, że nie zasmakowałem w tej pracy,

mając ją za nudną, uciążliwą i męczącą podobnie jak praca człowieka, oddającego się badaniom przedmiotów abstrakcyjnych, których użyteczności nie rozumie, a które pochłaniają całą jego uwagę, nie dając żadnej rozrywki. Zdarzało mi się odtąd wiele razy zasiadać do fortepianu z głową napełnioną regułami muzycznymi oraz tym wszystkim, co tylko najuczciwszego wyczytałem u autorów niemieckich, francuskich i włoskich. Mniemałem, że jestem zdolny wznieść mój geniusz na wysokość Haydna, Mozarta etc., etc... Otóż najczęściej odchodziłem od mego instrumentu, żadna bowiem szczęśliwa idea nie zjawiała się w mojej imaginacji. Codziennie też przekonywałem się coraz bardziej, że samo studium reguł nie wystarcza, aby komponować, ani też natchnień nie rodzi. W podobnej sytuacji znalazłem się przy grze w szachy, do której miałem zdecydowaną skłonność i wiele naturalnych dyspozycji od wczesnego dzieciństwa. Jak długo grałem na swój sposób, podług pierwszych zasad tej gry, których mnie nauczono, grałem szybko, moje rachuby były niemal zawsze trafne, plan ataku mocny – i wygrywałem nieraz partie z silniejszymi ode mnie przeciwnikami. Odtąd jednak przyszła mi fantazja przeprowadzić naukowe studium tego, co dotąd służyło mi jako rozrywka, i pobierać systematyczne lekcje u małego Żydkę, gracza w szachy w Paryżu, odtąd zwłaszcza zabrałem się do pilnego studiowania Philidora, Algayera i tylu innych, którzy dzieła na temat szachów ogłosili, moje pojęcia pogmatwały się i, miałem czynić postępy, stwierdzałem, że umiem wiele mniej, niż umiałem dotychczas. Dopiero gdy książki na bok odłożyłem, by odtąd własnej jedynie rady zasięgać i by wrócić do dawnej metody gry, odnalazłem w sobie po wielu latach pewien talent, który dziś pozwala mi rozgrywać partie szachów z najsilniejszymi graczami.

Daleki jestem od potępiania tych, którzy studiują dzieła wielkich nauczycieli gry w szachy, a tym bardziej tych, którzy swe utwory fortepianowe układają za pomocą uczonych teoretyków muzyki, jestem jednak przekonany, że nie można dobrze grać w szachy, jeśli się nie ma głowy odpowiednio zorganizowanej, oraz że nie można oceniać i odczuwać piękności muzyki, a tym bardziej być kompozytorem, jeśli się rodząc nie przynosi ze sobą na świat pierwotnych dyspozycji muzycznych.

Nigdy nie komponowałem na zamówienie; nigdy nie przyszła mi do głowy myśl stworzyć kompozycję wystudiowaną i uczoną i poświęcić jej wiele godzin. Poryw entuzjazmu, uczucie miłości czy przyjaźni, wzruszenie, a czasem ból czy też smutek głęboki, dyktowały mi rodzaj dźwięków i modulacji, które malowały wszystkie te różnorodne emocje i wiernie kreśliły stan mojej duszy. Rzadko zdarzało mi się czynić zmiany w mojej pierwszej improwizacji. Poprawki zresztą, które próbowałem wprowadzić, «na zimno», w niczym nie przysparzały smaku ani wyrazu uczuć i nieraz z przyjemnością widziałem, że moi przyjaciele

rozpoznawali, doceniali i dzielili ze mną owo pierwotne poruszenie, które mi było natchnieniem”.

W 1823 r. razem z rodziną hrabia wyjechał do Włoch i osiadł na stałe we Florencji. W 1828 r. napisał tutaj tekst, w którym skreślił zarys swej filozofii muzyki:

„Muzyka jest prawie tak stara jak świat, wynalezienie jej przypisuje się jednemu z synów Kaina (Tubal Kain). Trudno wyrobić sobie trafne pojęcie, czym była ona w owej epoce. Przypuszcza się, że pierwsi ludzie usiłowali naśladować świergot ptaków, beczenie owiec, ryk bydła rogatego, wydając dźwięki odmienne od tych, którymi się posługiwali w mowie artykułowanej.

Pierwszą znaną muzyką był bezwątpienia śpiew. Wkrótce też pojawiła się piszczałka i fletnia, gdyż sporządzenie tych instrumentów nie było trudne, a pozwalały one z łatwością naśladować naturę.

Gwizd wiatru rozbrzmiewający pod sklepieniami głębokich jaskiń, różne dźwięki, które wiatr wydaje wymykając się przez szczeliny wśród skał, prując tan zboża czy też poruszając gęstym listowiem drzew w lesie – wszystko to nasunęło człowiekowi myśl, by wydobyć z płuc dech sztuczny, który, przechodząc przez słomkę czy trzcinę, pozwoli usłyszeć dźwięki czarujące jego ucho.

To właśnie kazało poecie Lukrecjuszowi powiedzieć:

*«Et zephyri cava per calamarum sibila primum
Agrestes decuere cavas inflare cicutas...»*

(A najpierw zefiry, przebiegając ze świstem przez wydrążone trzciny, nauczyły wieśniaków dąć w wydrążone piszczałki. Lukrecjusz «De rerum natura».)

Tak więc powstały pierwsze pasterskie instrumenty muzyczne.

Z czasem zamiast słomki i trzciny wzięto bukszan oraz inne krzewy o łatwej do wydrążenia łodydze i tak powstał flet, obój, klarnet itd. Przypadek spowodował odkrycie, że wysuszone kiszki zwierzęce uderzone zaczynają drgać wydając dźwięki: to dało początek instrumentom strunowym. Według legendy wylew Nilu, który zalał niemal cały Egipt, pozostawił w wielu miejscach szczątki pozbawionych życia skorupiaków, między nimi zaś skorupę żółwia, w której zachowało się jedynie kilka ścięgien napiętych i wysuszonych skwarem słońca; otóż dźwięk wydany przez owa skorupę, trąconą przypadkiem nogą, miał nasunąć Merkuremu pomysł sporządzenia podług tego modelu liry.

Trudno zresztą określić epoki, w których powstawały poszczególne instrumenty. Pewnym jest, że w Piśmie Świętym jest mowa o trąbach, przy dźwięku których na oczach Gedeona runęły mury Jerycha. W tym samym źródle mamy wiadomość, że Dawid grał na harfie tańcząc przed Arką Przymierza i że melodyjnymi dźwiękami uspokajał szaleństwa Saula.

Jeśli z kolei sięgniemy do mitologii, to wśród bóstw starożytnych znajdziemy Apollina z lirą, bożka Pana z fletem, zobaczymy Orfeusza schodzącego do piekieł oraz Amfiona wznoszącego mury miasta przy dźwiękach instrumentów.

Pasterze mieli najwięcej czasu wolnego, by sporządzać sobie instrumenty, największą też ich odczuwali potrzebę, służyły im one bowiem, by zwoływać stada rozproszone po wzgórzach czy głębokich dolinach. Z kolei, zaraz po muzyce pasterskiej, zjawia się muzyka sakralna.

Od czasów najdawniejszych ludy głosiły chwałę czczonych przez siebie bóstw. Kapłani Cybeli oddawali część tej bogini śpiewem i tańcem przy dźwięku instrumentów. Egipcjanie, Syryjczycy i Chaldejczycy w świątyniach swoich posługiwali się muzyką wokalną i instrumentalną. Dawid skomponował muzykę do psalmów, których słowa sam ułożył; niektórzy uczeni (wśród nich ojciec Martini) twierdzą, iż jest to ta sama muzyka, która przetrwała aż do naszych dni. Salomon, aby przydać blasku kultowi boskiemu, ustanowił określoną liczbę muzykantów, którzy kolejno mieli pełnić służbę w Świątyni Pańskiej. Jak podają, było ich cztery tysiące obojga płci, wśród nich 288 nauczycieli, resztę stanowili uczniowie.

Muzyka wojenna znana jest, odkąd tylko ludzie związani w społeczeństwa, lecz podzieleni na plemiona czy szczepy, zaczęli czy to bronić swych granic z konieczności odparcia nieprzyjaciół, czy też napadać na drugich z chęci poczynienia zdobyczy oraz z naturalnej do rzemiosła wojennego skłonności. Użytek bębnow, kotłów i trąb należy do najdawniejszej starożytności.

W najdalszych nawet okolicach odkrytych przez Europejczyków w ciągu przeszło trzech stuleci znaleziono wszędzie różnorodne instrumenty służące muzyce tanecznej lub też podniecające walczących wojowników.

Wszelkie melodie narodowe nie zawsze to samo wywierają wrażenie na słuchaczy obcych; mają one jednak jakieś szczególne zabarwienie sprawiające, że odróżniamy je od innych kompozycji, w których dopatrujemy się więcej sztuki niż bezpośredniej naturalności.

Któż nie odczuwał słodkiego poruszenia, podróżując po Szwajcarii i słysząc rozbrzmiewający wśród gór śpiew szwajcarskich pasterzy bydła, ten śpiew, tak miło przypominający każdemu mieszkańcowi owych okolic wolność, którą się cieszy, oraz malujący pogodę spokojnego i niezależnego żywota? Któż może bez głębokiego wzruszenia słuchać smutnych i melodyjnych pieśni szkockich? Jest jednak rzeczą zadziwiającą, że i w krajach o bardzo ostrym klimacie znajdujemy melodie narodowe przepojone prawdziwym uczuciem. Takie są na przykład pieśni rosyjskie, które mają w sobie coś wzruszającego i żalotnego, co napawa słodką melancholią, podczas gdy ich melodie

taneczne i pieśni żołnierskie są bardzo hałaśliwe i o wesołości wprost niespotykanej w innych krajach.

Muzykę rosyjską przypominają melodie szwedzkie, nieraz też są one tylko jej naśladownictwem. Melodie kozaków zamieszkujących Ukrainę i Podole, tak zwane «dumki», są to zazwyczaj skargi miłosne, które muszą wzruszać i podobać się. Są inne, bardzo wesołe i ożywione, należą do nich zwłaszcza te, które wraz z dźwiękami ich narodowego instrumentu, teorbenu, towarzyszą krokom kozaka. Taniec ten, z ich kraju pochodzący, jest tak wdzięczny, że publiczność paryska w ciągu wielu lat rozkoszowała się nim w wykonaniu pierwszych tancerzy i tancerek Wielkiego Teatru Opery. Z ruchami i zwinnością, których ten taniec wymaga, łączyli oni cały wdzięk, jaki tylko potrafią rozwinąć artyści. W swoim czasie tańczono kozaka również i w Warszawie na balach towarzyskich. Z reguły należał on do programu ówczesnej nauki tańca, a piękna Polka, która tańcząc kozaka z lekkością kroków łączyła smukłą kibić i czarującą twarz, mogła być pewna, że niechybnie zwróci w głowie wszystkim widzom.

Muzyka tańca polskiego wywiera zazwyczaj bardzo przyjemne wrażenie na cudzoziemcach z wszelkich krajów. Gra się ją na trzy; nie ma ona ani powolności menueta, ani też szybkości walca. Kompozytorzy włoscy umieszczali ją niekiedy w operach; aria alla pollacca zawsze wypadła bardzo efektownie. Inni posługiwali się nią jako tematem ronda w koncertach; motyw te, artystycznie ułożone i wariowane, niezawodnie wywoływały oklaski publiczności, zwłaszcza gdy temat przy swych dalszych powtórzeniach był udatnie wprowadzony.

Bale dworskie w Warszawie i Petersburgu rozpoczynano polonezem. Od trzynastu czy czternastu lat obyczaj ten przyjął się i na innych dworach Europy. Mazurek, który Francuzi nazywają mazourka, to inny taniec narodowy, bardzo wesoły i ożywiony. Przypomina on trochę walca swym rytmem: jest jednak coś, sam nie wiem co, w sposobie grania i w pociągnięciach smyczka – którym się trzeba posługiwać, by zaznaczyć takt – co sprawia, że nawet dyletanci, zwłaszcza jeśli są Polakami, z łatwością dostrzegą różnicę, jaka istnieje między muzyką tych dwóch tańców.

Żołnierze polscy, którzy po utworzeniu Wielkiego Księstwa Warszawskiego poszli za Napoleonem, pierwsi wprowadzili mazurki na bale paryskie. Tańczono je w wielu towarzystwach w 1809 i 1810. Były one w modzie i dość powszechnie podobały się elegantkom stolicy, nie tyle zapewne dzięki wrażeniu, jakie czynił sam taniec, ale dlatego, że spopularyzowali je bardzo lubiani oficerowie lansjerów polskich gwardii cesarskiej. Zresztą tylko Polacy i Polki umieli tańczyć mazura, cudzoziemcy obu płci zawsze zmieniali kroki na swój sposób, kładąc w ruchy wiele afektacji.

Od restauracji Królestwa Polskiego przez cesarza Aleksandra mazur przeszedł do Rosji – gdzie dotąd nie był w użyciu w towarzystwie – oraz do wielu innych krajów. W czasie mego pobytu we Florencji, od roku 1823 aż do chwili, gdy piszę ten list, nie widziałem ani jednego balu czy to na dworze, czy u księcia Borghese, czy u dyplomatów zagranicznych, czy też w rezydencjach Anglików, gdzie by nie domagano się skwapliwie mazura. Było w dobrym tonie tańczyć ten taniec i należało do edukacji młodych Angielek, a czasem i Włoszek, umieć zagrać na fortepianie mazura i znać jego kroki i figury.

Niemcy na całym swym obszarze dają nam tylko jeden taniec narodowy – walca, którego winniśmy nazywać oryginalną nazwą niemiecką – walzer. Nie mówię tu o menuecie, co do którego panuje powszechne przekonanie, że pochodzi z Niemiec, który jednak stał się wspólną własnością wszystkich krajów, odkąd został uznany za danse d'etiquette na wszystkich dworach oraz odkąd zaczęto z reguły menuetem otwierać bale towarzyskie. (Tutaj Ogiński się myli, prawdziwą bowiem ojczyzną walca była Anglia – uwaga J.C.) Menuet wyszedł z mody. Nie będę tu też wymieniał allemandy – tańca, który poprzedził walce i który całkowicie wyszedł z użycia. Walce wiedeńskie, a zwłaszcza tyrolskie, są oryginalne i po większej części miłe dla ucha: jest to taniec może najmniej przystojny, ale najbardziej rozpowszechniony w Europie.

Fandango, bolero, tarantela, la manfrine, la frullana, le trescone i la hongroise – wszystko to tańce narodowe, których tak muzyka, jak i ruchy, kroki i figury powszechnie podobają się cudzoziemcom, swoi zaś wprost za nimi przepadają. Nie będę się zatrzymywał nad weneckimi barkarolami ani też nad melodiami narodowymi, które są śpiewane w różnych prowincjach Francji czy też w wielu regionach Anglii.

Któż nie zna czarujących weneckich barkarol, które nigdy nie wyjdą z mody? I któż nie doświadczył tych wprost magicznych wrażeń, jakie wywierają one, gdy się je słyszy śpiewane, zwłaszcza w Wenecji!..

[...] Jedynie muzyka prawdziwie kunsztowna nie starzeje się; mam na myśli owe sonaty i fugi Bacha, których nauka była dla mnie tak uciążliwa, dziś zaś znajdują je na fortepianach wielu młodych panienek”.

Trzeba przyznać rację wielu ideom Ogińskiego, szczególnie dotyczącym etnicznych cech tkanki muzycznej; nie od dziś przecież wiadomo, że można mówić o dialektach i językach muzycznych dokładnie tak, jak się mówi o gwarach językowych. O ile sugestywna moc literatury opiera się na wyrażającej sile słowa, to inne działy sztuki korzystają w celach artystycznej hipnozy z innego materiału. Cyganie –

naród niezwykle pod względem muzycznym uzdolniony – nazywają muzykę „szczerą mową”, czyli taką komunikacją międzyludzką, która z istoty swej wyklucza fałsz i zawsze jest tym, czym jest.

W muzykologii przyjęty jest pogląd, że sztuka muzyczna bazuje na intonacji, ponieważ „muzyka to przeważnie sztuka intonacyjna”. Źródłem intonacji muzycznej jest informacja językowa. Któż nie wie, że intonacja mowy należy do najklarowniejszych środków wyrazu i przekazywania ludzkich uczuć. To samo zdanie, wypowiedziane z różną intonacją, zyskuje odmienne znaczenie emocjonalne i sens intelektualny. Zresztą muzyczna intonacja pozostaje w ścisłej więzi z językową w takich dziedzinach sztuki, jak pieśń, opera, chociaż od bardzo dawna zyskała też istnienie samoistne i samodzielne. Muzyka, wywołując te czy inne „emocje intelektualne”, posiada zadziwiającą zdolność przenikania do najgłębszych pokładów psychiki ludzkiej. Zupełnie słusznie pisał Giuseppe Mazzini w swej „Filozofii muzyki”, że ta odmiana sztuki jest „służbą” Bogu i ludziom, wyraża harmonię, do której ucieka ludzki umysł i serce w chwili rozpacz. *„Muzyka to jedyny język, który jest wspólny wszystkim narodom, jedyna mowa zdolna do tego, by wyraziście przekazać przeczucia ludzkości, a nie czymś, co ma służyć za rozrywkę garstce bogatych próżniaków, gdy nie mają oni czym się zająć”*. Muzyka potrafi wyrazić jednocześnie delikatne brzęczenie pszczoł nad wiosennymi kwiatami i dudnienie zbliżającej się letniej burzy, rozżarzony dzwon sierpniowego upału i jęki zimowej wichury, radość i rozpacz serca ludzkiego, ostatnie westchnienie umierającego człowieka i krzyk rodzącego się właśnie nowego życia, wychodzącego z ciepłego łona matki i przerażonego tym, że trafia oto na szorstkie i twarde dłonie tego świata. Rytm w szczególności funkcjonuje na pograniczu świadomości i podświadomości, łączą się w nim zarówno kosmiczny bieg czasu, okresowość procesów biologicznych, jak też cykliczność prac i innych zdarzeń życia ludzkiego. Nie przypadkowo rytm obecny jest w tej czy innej postaci we wszystkich odmianach twórczości artystycznej. Często muzyka, szczególnie ludowa, odwołuje się do archetypów pamięci socjalnej, skumulowanej w ciągu tysiącleci.

W 1727 r. Paradis de Moncrief opublikował panegiryczny traktat naukowy pt. „Koty”, w którym gloryfikował subtelność kotów, ich dyskrecję, „kulturę”, poczucie humoru i muzykalność. Przewrotny Francuz uważał też, iż kocia muzyka w niczym nie jest gorsza od ludzkiej, choć przez ludzi nie jest właściwie rozumiana, z której to okoliczności zresztą nic nie wynika, bo wszak i ludzie się nawzajem nie rozumieją: *„Muzyka ludów azjatyckich – pisał de*

Moncrief – wydaje się nam, Europejczykom, co najmniej śmieszna. Oni z kolei w naszej nie znajdują żadnego sensu. Oskarżamy się więc wzajemnie o miauczenie. Pod tym względem jest więc każdy naród «kotem» dla każdego innego; i to z pełną wzajemnością”.

Może zresztą być tak, że muzyka ma pochodzenie zwierzęce, podobnie jak język ludzki wyłonił się ze znaków dźwiękowych ptaków czy ssaków. Być może istnieją jakieś archetypy dźwiękowe o określonej melodyce i rytmie, odpowiadające pewnym emocjom, wspólnym zarówno dla zwierząt jak i dla ludzi. Nikogo nie trzeba uczyć, co znaczy przyjazne mruczenie kota, gniewne ujadanie psa czy złośliwe syczenie żmii. Każde zwierzę i każdy człowiek rozumie ten podstawowy język natychmiast, instynktownie, a to przecież świadczy o istnieniu jakiegoś uniwersalnego języka przyrody, zrozumiałego, być może, dla wszystkich istot ożywionych. Dokładnie to samo można powiedzieć o muzyce, wywodzącej się ze śpiewu zwierzęcego, że wspomnimy o jakże wyrazistym miauczeniu kotów, o wspaniałych kantylenach słowików czy rondach wiosennych szpaków itd., itp.

Co więcej, widocznie pierwotnie muzyka i język były tym samym: środkiem uniwersalnej komunikacji, sięgającym najgłębszej istoty świata i ją wyrażającym. W harmonii dźwięków odbija się harmonia całego świata, jako uładzonego systemu, owa przysłowiowa „muzyka sfer”, a człowiecza muzyka prawdopodobnie stanowi tylko szczególną odmianę uniwersalnej harmonii. Wszystko więc jest muzyką, czyli pięknem, ładem, logiką i harmonią ustanowioną przez Boga.

Ale jest chyba i szatańska antyharmonia. Badania laboratoryjne wykazały, że muzyka rockowa wywołuje w mózgu człowieka powstanie impulsów bardzo podobnych do tych, które występują podczas ataku epilepsji. Nie przypadkiem ruchy indywiduów tańczących pod tą muzykę są bliźniaczo podobne do spazmów padaczkowych. Jest to stan osobowy przeciwny do stanu harmonii i wewnętrznego ładu.

Dźwięk to widocznie zjawisko nie tylko fizyczne, ale i – być może, przede wszystkim – metafizyczne. W szczególności zaś śpiew. Przecież *„na początku było Słowo”*, czyli ubrana w dźwięk myśl. To zastanawiające, że większość istot ożywionych śpiewa, a najbardziej rozśpiewanymi istotami są stworzenia najszlachetniejsze i najsubtelniejsze, czyli ptaki i ludzie. Być może rodzi się, by śpiewać, a każdy śpiew jest hymnem i modlitwą skierowaną do Boga. (W 2007 roku naukowcy znaleźli w jaskini Hohle Fels na terenie południowo-zachodnich Niemiec kilka 20-centymetrowych fletów wykonanych w kształcie litery „V” z kości sępa. Ustalono, iż te najstarsze w

dziejach ludzkości instrumenty muzyczne mają co najmniej 35 tysięcy lat, a więc już w tak odległych czasach ludzie korzystali z muzyki widocznie w celach ludycznych, religijnych, rekreacyjnych, wojennych.)

Kompozytor i zoomuzykolog Francois Bernard Mache za główną funkcję muzyki uważa „*pojednanie kultury z jej naturalnymi podstawami*”. (Niejako na marginesie przypomnijmy, że przekazywanie dzieł muzycznych, jako stałych wytworów kultury, z pokolenia na pokolenie stało się na dobre możliwe dopiero z momentem wynalezienia zapisu nutowego. Gamma nut od „do” do „si” została w XI wieku wprowadzona do użytku przez mnicha benedyktyna Gwido d’Arezzo i początkowo była... modlitwą:

*„Ut queant laxis
Resonare fibris
Mira gestorum
Famuli tuorum
Solve polluti
Labbii reatum
Sancte Ioannes”.*

Tę modlitwę do św. Jana Chrzciciela można w przybliżeniu przetłumaczyć jak następuje: „*Daj nam czyste usta, Święty Janie, abyśmy mogli siłą swego głosu świadczyć o dokonanych przez Ciebie cudach*”... W XVII wieku pierwsza nutka „ut” przekształciła się w bardziej otwarte „do”. Gwido d’Arezzo był też wynalazcą „ręki Gwidona”, pomagającej dyrygować chórem kościelnym.)

Arthur Schopenhauer w pierwszym tomie zbioru „*Parerga i paralipomena*” notował:

„Melodia wyraża wszystkie poruszenia woli, tak jak dają one o sobie znać w ludzkiej samowiedzy, tj. wszystkie afekty, uczucia itd.; natomiast harmonia oznacza szczeble obiektywizacji woli w pozostałej przyrodzie. W tym sensie muzyka jest drugą rzeczywistością, która biegnie w pełni równolegle do pierwszej, skądinąd jednak jest zupełnie innego rodzaju i ma inny charakter, czyli jest z nią w pełni analogiczna, ale bez żadnego podobieństwa. Muzyka jako taka istnieje tylko w naszych nerwach słuchowych i w naszym mózgu; na zewnątrz, czyli sama w sobie, składa się z samych stosunków liczbowych, po pierwsze, mianowicie, wedle swej ilości, pod względem taktu, po drugie, wedle swej jakości, pod względem stopni na skali, które polegają na arytmetycznych stosunkach wibracji, lub innymi słowy, tak w swym elemencie rytmicznym, jak harmonicznym. Zgodnie z tym można więc wyrazić całą istotę świata, zarówno jako mikrokosmosu, jak i makrokosmosu, w zwykłych stosunkach liczbowych, a więc sprowadzić ją do nich”...

Nie przypadkiem starożytni mędracy (Pitagoras, Empedokles, Platon, Plotyn i in.) pisali o „muzyce sfer”, o harmonii Wszechświata, która była dla nich czymś ewidentnym. W zasadzie też możemy się domyślać, kto tę wielką Symfonię Kosmosu skomponował i kto ją utrzymuje w tej nieskończonej harmonijnej i pięknej postaci. Muzyka, jak widzimy, o ile jest muzyką prawdziwą, jest – jak modlitwa czy medytacja – jedną z dróg prowadzących bezpośrednio do Boga. Platon zaś w „*Timajosie*” powiadał, że muzyka została ludziom dana przez bogów jako twórczyni ładu i harmonii, a nie gwoli łechtania uszu i rozkoszowania się. Mniej więcej w tymże nurcie myśli europejskiej mieszczą się też rozważania o muzyce autora „*Pożegnania Ojczyzny*”.

Znakomity kompozytor i pisarz M.K. Ogiński zmarł we Florencji 15 października 1833 roku. Został pochowany początkowo na cmentarzu przyklasztornym Santa Maria Novella, a potem ciało jego umieszczono w grobowcu z pomnikiem w bazylice Santa Croce.

W ciągu ponad dwustu lat od ich napisania polonezy i marsze tego twórcy cieszyły się ogromną popularnością i nic nie wskazuje na to, by coś w tym względzie miało zmienić się na gorsze. Naprawdę znakomite dzieła sztuki żyją własnym życiem i trwają bez porównania dłużej niż ziemską podróż ich twórców. Jak pisał poeta rzymski: „*Exegi monumentum aere perennius*”... Ulotne i nieważkie, eleganckie i śliczne dźwięki ujęte w nieskazitelnie harmonijną całość mogą być trwalsze niż zwały ciosanego marmuru i granitu nad grobami „bohaterów”. Kto wie, może sama wieczność to też coś nieuchwytnego, przeźroczystego, trwającego sekundę, lekkiego, a jednak nie mogącego się rozsypać w piach z biegiem tysiącleci, coś, co jest jak nic, jak nicość. Ale nicość śpiewna i melodyjna, jak „*Pożegnanie*”... Nic, które jest Wszystkim.

Może warto jeszcze dodać, że dziś niektórzy badacze historii muzyki – jak zaznaczyliśmy na początku tego szkicu – twierdzą, iż polonez „*Pożegnania Ojczyzny*” skomponowany został przez innego Ogińskiego: Michała Kazimierza.

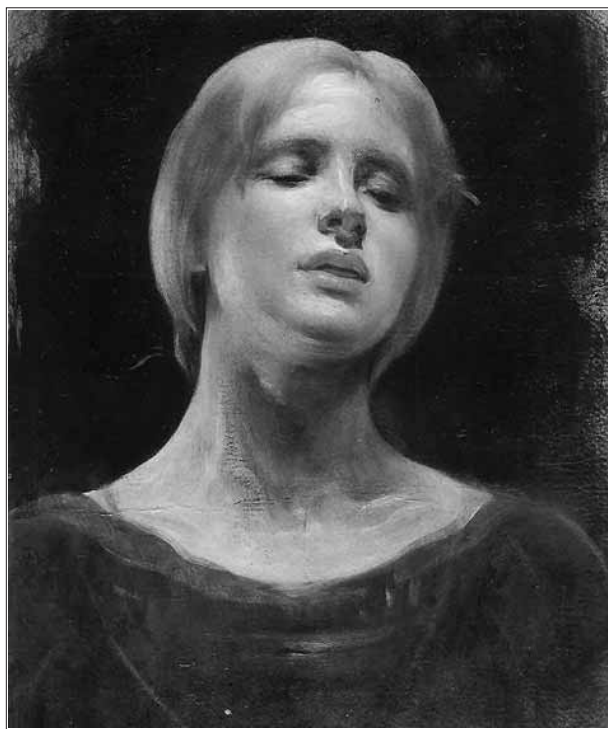
Dr Jan CIECHANOWICZ

FRANCISZEK ŻMURKO – MALARZ PIĘKNYCH KOBIET

Urodził się w 1859 roku we Lwowie, kształcił pod kierownictwem Jana Matejki w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, a następnie u Aleksandra Wagnera w Monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zaś jeszcze później doskonalił umiejętności artystyczne w Wiedniu, Rzymie i Paryżu. Od 1882 roku na stałe mieszkał w Warszawie. Jego malarstwo nacechowane jest ideałem piękna klasycznego, w którym dominuje harmonia, ład, precyzyjna kolorystyka, idealna kompozycja, co świadczy o wartości. Jak bowiem trafnie odnotował Fryderyk Nietzsche w dziele „Götterdämmerung”:

„Z fizjologicznego stanowiska, wszystko co brzydkie osłabia i zasępia człowieka. Przypomina mu upadek, niebezpieczeństwo, bezwład; jakoż istotnie traci on przy tym na siłach. Oddziaływanie brzydoty da się oznaczyć siłomierzem. W ogóle przygnębienie idzie u człowieka w parze z poczuciem zbliżenia się czegoś «brzydkiego». Jego przeświadczenie o własnej mocy, jego wola mocy, jego duma i odwaga – wszystko to wzbiera pod wpływem piękna, opada pod naciskiem brzydoty [...]».

Brzydotę pojmuję się jako zapowiedź i oznakę zwyrodnienia: to, co bodaj z daleka trąci degeneracją, wywołuje w nas sąd «brzydkie». Wszelki przejaw wyczerpania, ciężkości, starczości, znużenia, każdy rodzaj niewoli, bezwład czy kurczowe drgawki, zaś przede



Studium do obrazu „Laudamus feminam”

wszystkim woń, barwa, forma zgnilizny i rozkładu, chociażby nawet rozcieńczona do nikłości symbolu – wszystko to skłania nas do jednakiego odruchu, do orzeczenia wartości «brzydkie». Przebija w nim nienawiść: i cóż nienawidzi tak człowiek? Toć to jasne: zanik swego typu. Nienawiść jego wypływa z najgłębszego instynktu rodzaju ludzkiego, w nienawiści tej jest lęk, czujność, głębia, przenikliwość – i nie ma nienawiści zawziętszej...”

Niewątpliwie sztuka Żmurki jest sztuką „rasową”, zdrową, szlachetną i pod tym względem podobna jest do twórczości Henryka Siemiradzkiego. Jest też niewątpliwie sztuką „europejską”, w dobrym i właściwym tego pojęcia sensie, co zresztą nie zaskakuje, gdyż całe malarstwo polskie od XVIII wieku było właśnie takie.

Sztuki plastyczne mają w Polsce tradycję długą i chlubną. Profesor Feliks Koneczny słusznie konstatawał:

„Malarstwo znane Polsce od epoki rzymskiej, przeszczepiane od Zachodu i od Wschodu, posiada piętno sztuki ogólnoeuropejskiej. Obrazy cechowe XV i XVI wieku posiadają względną oryginalność. Ich ogólny charakter jest zbliżony do niemieckiego, ale tryptyki krakowsko-śląskie różnią się od niemieckich większą prostotą pomysłu, rysunku i ornamentyki snycerskiej, a ich obrazy odznaczają się siłą kolorytu, może nieco jaskrawego i krzykliwego, tudzież typami i strojami, które często odtwarzają widocznie modele, brane z ludności miejscowej. Niemcy, Niderlandczycy, Włosi działają u nas aż do końca Rzeczypospolitej, obniżając jednak u nas często poziom artystyczny; po prostu z czasem stają się rubaszni. A potem malarstwo nasze XVIII wieku, choć wykazuje pewną ilość swojskich talentów, nosi piętno kosmopolityczne”.

Wiek XIX i XX przyniosły w tym względzie istotne urozmaicenie, lecz Żmurko był niewątpliwie naszym prawdziwym Europejczykiem, szczególnie jeśli chodzi o tematykę jego twórczości. Do najsłynniejszych arcydzieł, które wyszły spod jego pędzla należą: „Pieśń wieczorna”, „Sphinx”, „Neron”, „Sallambo”, „Poeta”, „Dama w futrze”.

Sława Franciszka Żmurki dotarła też do Ameryki. W roku 1894 artysta otrzymał złoty medal za obraz „Pieśń wieczorna” na wystawie w San Francisco i tamże korzystnie sprzedał swój inny słynny obraz „Dama w futrze”.

Historycy sztuki uważają, że F. Żmurko był znakomitym mistrzem portretu, czyli tego rodzaju malarstwa, który, jak żaden inny, jest otoczony tajemniczymi legendami.

Są książki, w których opowiada się o żywych portretach, które odbierają życie oryginałom, o tym, jak oko

malarza wyciąga energię życia z modelu i przekazuje ją portretowi. Piękna żona Rubensa, Izabella, model wszystkich jego portretów, zmarła z nieznanых powodów w wieku zaledwie 35 lat; za to jej podobizny są do dziś „jak żywe”. Cudna księżna Alba zmarła w parę lat po tym, jak Goya namalował jej promieniujące życiem obnażone ciało i błyszczące oczy w postaci portretu „Mai” – tylko na tyle starczyło jej resztek energii witalnej. Gdy Rembrandt namalował „Danae” i „Florę”, do których pozowała mu pełna sił i zdrowia jego żona Saskia, zaledwie 30-letnia kobieta zmarła po paru latach z wycieńczenia, choć nie musiała pracować ponad siły. Trójka dzieci tegoż malarza zmarła w kilka miesięcy po tym, jak ojciec uwiecznił ich na kilkunastu portretach. Za „czarnego proroka” uchodził rosyjski malarz Ilja Riepin; znany kompozytor Musorgski i chirurg Pirogow zmarli na drugi dzień po ich sportretowaniu przez tego artystę. Minister Stołypin zginął, a pisarz Garszin odebrał sobie życie nazajutrz po zakończeniu ich portretów przez Riepina. Pani Łopuchina zmarła wkrótce po tym, jak jej portret wykonał Włodzimierz Borowikowski. Chłopczyk Wasia zmarł w trzy lata po tym, jak Pierow zakończył swój obraz „Trójka”, do którego dzieciak pozował. Nawiasem mówiąc, matka chłopca zabraniała synowi pozowania, mówiła, że na skutek tego syn straci życie. Miała rację. Wybitny rosyjski malarz Ilja Głazunow wiele razy malował swą żonę, zanim nie odebrała sobie życie. Dokładnie tak, jak uczyniły to dwie kolejne żony – modelki Pabla Picassa. Aleksandr Sziłow wiele razy malował swą piękną i kochaną córeczkę Maszę; uwiecznił ją na obrazach, ale dziewczę zmarło w wieku 16 lat, a najlepsi lekarze nie potrafili ustalić żadnej przyczyny śmierci. Władimir Wysocki, wielki poeta i bard, zmarł w dwa tygodnie po sportretowaniu go przez malarza Edwarda Drobickiego, obecnie wiceprezydenta Rosyjskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Być może rzeczywiście malarz w procesie tworzenia portretu głęboko przenika do świata wewnętrznego człowieka i albo powoduje w nim jakieś fundamentalne zakłócenia, albo wyciąga z niego energetykę życia, przekazując ją następnie obrazowi. I być może to oddziaływanie jest szczególnie silne wówczas, gdy artysta jest geniuszem: wówczas oryginał po odebraniu mu sił życiowych niebawem umiera, a powstały obraz wywiera nieodparte wrażenie „żywego”... W każdym bądź razie portret żyje potem swym własnym mistycznym życiem jako osobna istota. W niektórych krajach zresztą uważa się, że między człowiekiem, a jego przedstawionym wizerunkiem istnieje tajemnicza więź, której charakter i konsekwencje są nie do przewidzenia. Być może też dlatego w kulturze judaizmu i islamu przez wiele wieków obowiązywał zakaz przedstawiania ludzi na obrazach i rysunkach...

Znakomity malarz F. Żmurko zakończył życie w roku 1910, mając lat pięćdziesiąt. Wiele z tego, co mógł jeszcze swą twórczością wyrazić, na zawsze pozostało niedopowiedziane.

Dr Jan CIECHANOWICZ



Franciszek ŻMURKO (ur. 18 lipca 1859 we Lwowie, zm. 9 października 1910 w Warszawie) – polski malarz salonowy. Tematyką jego obrazów były portrety, pójakty, głowy kobiet, kompozycje antyczne, scenki egzotyczne, historyczne, religijne i symboliczne. Popularny głównie jako twórca aktów i zmysłowych portretów kobiecych, utrzymanych w ciepłym kolorystyce.

Franciszek Żmurko był synem Wawrzyńca Żmurki, profesora matematyki na Uniwersytecie Lwowskim. Pierwsze lekcje rysunku pobierał u Franciszka Tepy we Lwowie. W 1876 rozpoczął edukację w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych pod kierunkiem Jana Matejki, następnie wyjechał do Wiednia, gdzie początkowo studiował w Akademii, a później samodzielnie. Pod koniec 1877 wyjechał do Monachium, gdzie przez pół roku kształcił się w tutejszej Akademii pod kierunkiem Sándora Wagnera. W 1880 zamieszkał w Krakowie. W 1882 osiadł w Warszawie.

Swoje prace wystawiał w Salonie Aleksandra Krywultra (1881, 1883), galerii Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie (1880, 1888, 1894-1895, 1900, 1902) oraz na wystawach międzynarodowych w Paryżu, Londynie, Chicago, San Francisco.

Franciszek Żmurko był ceniony nie tylko w Polsce. Inspiracją do jego twórczości były kobiety. Jego obrazami zachwycala się cała Europa, a zamówienia przychodziły nawet z dalekiej Ameryki.

Na jego wystawie pośmiertnej w TZSP (1911) pokazano ponad 150 obrazów.

*Pieśni polska, tyś jak rosa,
Co na spieklą duszę spada!
[...]
Szczęsny, ponad czyją głowę
Skrzydło swoje tyś rozpięła,
Gdy mu z piersi rzucisz słowo:
„Jeszcze Polska nie zginęła!”*

Władysław Bełza



U źródeł hymniki polskiej (IV) „BOŻE, COŚ POLSKĘ” ALOJZEGO FELIŃSKIEGO (część 1)

Bieg życia hymnu Felińskiego

1. Któż z przeciętnych śpiewaków „Boże coś Polskę” wie lub pamięta o „skandalizującej” historii macierzystego tekstu tego hymnu? Jego zasłużonej popularności i narodowo-kościelnej dostojności nie mogą umniejszyć nawet najbardziej sensacyjne – w naszym pojęciu – historyjki genetyczno-obyczajowe. Dziejowy bieg życia tej pieśni obfituje w tak wielkie wydarzenia, służebności oraz zasługi narodowe, iż przysłoniły one nieomal w całości pamięć o wiernopoddanym charakterze pieśni Felińskiego. Warto przecież poznać jej początki. Są one bowiem tak skomplikowane, jak nasza historia narodowa. Sam tekst, mimo że przechodził „setne” przeobrażenia, w dzisiejszej swej lekcji jest najbardziej zbliżony do pierwodruku (tj. macierzystej wersji) hymnu Felińskiego. Fakt ten zobowiązuje nas również do poznania losów pieśni od jej początków.

Dla jasności syntetyzującego ujęcia biegu życia hymnu przeprowadziliśmy zasadniczą selekcję w doborze i przywoływaniu materiałów źródłowych. Jest ich bowiem ogromna liczba, także z zakresu rozmaitych lekcji, przeróbek, trawestacji, naśladowań pieśni. Ograniczyliśmy się tylko do naszkicowania zasadniczych i najistotniejszych węzłów jej życia. Wobec obfitości materiałów takie rygory muszą być bezwzględnie przestrzegane, mimo iż usłużni krytycy dorzucą ważne – w ich słusznym przekonaniu – źródła tutaj nie uwzględnione.

W stosunku do rozgłosu, jakim się cieszy ten sfolkloryzowany już wcześniej hymn, wobec jego intensywnego udziału w życiu narodowym (omal na równi z „Jeszcze Polska nie zginęła”, wiemy o nim mniej niż o „Mazurku Dąbrowskiego”. [...])

Trzeba wszakże podkreślić, iż wątki stan badań, szczególnie profesjonalnych (głównie w zakresie analizy tekstu), nie idzie w parze z obfitą obecnością hymnu w różnego rodzaju zbiorach antologicznych, książeczkach do nabożeństwa, w twórczości literackiej czy publicystycznej, na rozmaitych prawach jego funkcjonowania artystycznego jak i poza-artystycznego. Wzmoczone rytmy zainteresowań tym hymnem – z przyczyn, o których będzie mowa później – zapewniają mu trwałe i reprezentatywne miejsce w naszym repertuarze pieśni narodowo-kościelnych. Warto natomiast zauważyć, iż specyficzna drażliwość badań tego hymnu, wynikająca z ideologii jego macierzystego tekstu i historii powstania, tłumaczy chyba w pewnym stopniu ostrożność badaczy w podejmowaniu tego zagadnienia, a także tendencyjność czy „cenzuralną” wybiórczość jego realizacji.

2. Hymn Alojzego Felińskiego (1771 – 1820), głośnego autora „Barbary Radziwiłłówny”, opublikowany w 1816 r., stanowi „zarodny” (określenie Lelewela) utwór znanych nam dziś tekstów „Boże coś Polskę”. Ta inicjalna informacja niech będzie prologiem do skomplikowanej i sensacyjnej historii życia hymnu.

Powstał on w klimacie powszechnych omal nadziei i ufności w poczynania i obietnice króla polskiego – cara Aleksandra I; wiary w najbardziej ówczesnie liberalną konstytucję Królestwa Polskiego, która mogła budzić marzenia o odbudowie całej państwowości polskiej. Patronowały im m.in. koncepcje słowianofilskie (np. Staszicowska o pobratymstwie z Rosjanami posiadającym sankcje boskie) oraz mesjanistyczne. Te złudzenia dzielali najpopularniejsi w wierzytelności narodowej luminarze polscy.

Owocześnie prasa Królestwa Polskiego, z pierwszych lat jego istnienia, przynosi wybijające się miejscem i szczegółami informacje o rozmaitych i rozlicznych uroczystościach związanych z okazjonalnymi wydarzeniami państwowymi zarówno Królestwa, jak i Cesarstwa oraz z świętami, np. imieninowymi cara i rodziny carskiej. Uroczystości te miały charakter państwowo-kościelny, to znaczy, iż odbywały się na placach publicznych z mszami polowymi (np. na placu Saskim) i w świątyniach. Rytuał państwowych paradnych nabożeństw (grano na nich zwykle – w czasie modlitwy za króla – angielski hymn „God save the King” po Elsnerowskim „Te Deum”) nie posiadał jeszcze w ówczesnym repertuarze takich tekstów polskich pieśni hymnicznych, które w pełni byłyby godne aktualnej sytuacji Królestwa. Musiały zatem one powstać jako paradna oprawa lojalistycznych kazań państwowych wygłaszanych z tych okazji przez różnych polskich dostojników kościelnych. Zapewne taka m.in. refleksja nawiedziła Felińskiego, który przybywszy do Warszawy z głuchej prowincji wołyńskiej miał chyba różnorakie powody do wkupienia się w łaski państwowo-kościelne, nie naruszając przy tym swej reputacji narodowo-artystowskiej. „Myśl” literacką „podała” mu – o czym będzie mowa później – „*pieśń ulubiona ludu angielskiego: «God save the King» (Boże, zachowaj króla)*”. Reprezentatywna okazja (a może nawet zamówienie?) wnet się nadarzyła, mianowicie rocznica ogłoszenia Królestwa Polskiego (20 czerwca 1816 r.).

Feliński realizuje swój zamiysł w pełnej zgodzie ze swym sumieniem i etyką obywatelską. Taka bowiem postawa nie była ani wyjątkowa, ani patriotycznie naganna w owym czasie. Miała ona wiele znakomitych sojuszników wzorców, nieraz osobiście bliskich pocie. Wielki „*święty narodowy*”, rozstawiony w sfolkloryzowanych pieśniach patriotycznych i cieszący się wówczas ogromnym zainteresowaniem ludowy bohater Tadeusz Kościuszko dawał w materii aktualnych postaw patriotycznych przykład do naśladowania. Gdy „*wskrzesciela Polski*” caro-króla

Aleksandra uczczono w Warszawie wzniesieniem tryumfalnej bramy, sam Kościuszko pośpieszył na ten cel ze swym „wdowim groszem”. (W tymże czasie zbierano także – z oficjalnym pokwitowaniem – składki na pomnik ks. Józefa Poniatowskiego.)

Jeśli zatem w sposób oficjalny, ostentacyjny, obwieścił Kościuszko (i nie on jeden) krajowi wiarę w intencje króla Aleksandra I, jeśli zadeklarował dla niego swój wysoki autorytet zaufania, to czyż możemy się dziwić, iż Feliński, który w czasie insurekcji pełnił funkcję jednego z sekretarzy Kościuszki (nb. wcześniej był, jako „wolterzysta”, entuzjastą Wielkiej Rewolucji Francuskiej, choć w 1815 potępia „nieszczęsny” jakobinizm) i jemu poświęcał pochwalne wiersze, uległ podobnemu złudzeniu? Czy możemy go potępić za to, w co wierzyło wówczas wielu znakomitych działaczy i twórców?

Z okoliczności przyjazdu „*w cichości*” do Warszawy Najjaśniejszego Pana gazety warszawskie opublikowały petersburski „okólnik” sekretarza stanu hr. Karola Nesselrodego, w którym czytamy m.in., iż cesarz przybędzie do Warszawy „*dla zapewnienia tamże pieczołowitością swoją biegu nowo zaprowadzonej administracji; niemniej dla potrzebnego rozwinięcia zamiarów swoich, ażeby pod opieką pokoju i wskutek zawartych w Wiedniu układów przysłało szczęście nowych Jego poddanych, oprzeć na trwałych podstawach*”. W tej wierze wielu znakomitych i ostatnich artystów polskich czciło go pochwalnymi wierszami (nie tylko z okazji tego przyjazdu), dedykowało mu utwory muzyczne, operowe, dzieła malarskie.

Pod koniec 1815 r. Feliński przyjechał do Warszawy dla interesów zarówno literackich, jak i pozaliterackich. Tu przygotowuje do druku tom 1 „Pism własnych i przekładań wierszem” (Warszawa 1816), czyta w Towarzystwie Przyjaciół Nauk fragmenty entuzjastycznie odbieranej „Barbary Radziwiłłówny”, jest przyjmowany z wielką i gorącą estymą. Wówczas też, jak wspomniano, rodzi się pomysł uczczenia rocznicy „*wskreszenia narodowego bytu Polski*” (20 czerwca 1816). Hymn „Boże, coś Polskę” musiał powstać tuż przed datą owej rocznicy. Utwór z kilku względów nie zdołał już uświetnić uroczystego obchodu zorganizowanego przez wielkiego księcia Konstantego. Jak donosi bowiem prasa warszawska, na galówce kościelnej odegrano Elsnerowski „Te Deum”, a potem w czasie modlitwy za króla muzyka grała pieśń „God save the King”. Hymn Felińskiego nie posiadał jeszcze wówczas melodii, a więc nie mógł obsługiwać rocznicowej celebracji.

Autor z całą pewnością osobiście ofiarował swój tekst wielkiemu ks. Konstantemu, a zapewne przesłał i

Alojzy Feliński „HYMN”

Boże! coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
I tarczą swojej zasłaniał opieki
Od nieszczęść, które przywalić ją miały;

Przed twe ołtarze zanosim błaganie,
Naszego Króla zachowaj nam, Panie!

Ty, coś ją potem, tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczącą za najświętszą sprawę
I chcąc świat cały mieć jej męstwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył jej sławę;

Przed twe ołtarze itd.

Ty, coś na koniec nowymi ją cudy
Wskrzesił, i sławne z klęsk wzajemnych w boju
Połączył z sobą dwa braterskie ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju;

Przed twe ołtarze itd.

Wróc nowej Polsce świetność starożytną
I spraw, niech pod Nim szczęśliwą zostanie;
Niech sprzyjażnione dwa narody kwitną
I błogosławią Jego panowanie;

Przed twe ołtarze itd.

*„Gazeta Warszawska” nr 58, Warszawa 20.07.1816 r.,
s. 1321. Jest to pierwodruk utworu Alojzego
Felińskiego, poprzedzony informacjami m.in. o
okolicznościach powstania i funkcjonowania tej pieśni.
(tekst macierzysty – F.)*



carowi-wskrzesicielowi. Cesarzewicz raczył zadbać o ułożenie stosownej melodii do słów, którą skomponował podporucznik i wolnomularz Jan Kaszewski, za co otrzymał pierścień od w.ks. Konstantego. A czym obdarowany został Feliński? Czyżby orderem (czasopisma tego faktu nie odnotowują) albo nie przyjętą zresztą propozycją objęcia katedry literatury polskiej przy organizującym się Uniwersytecie Warszawskim? „Wojskowa aranżacja” tego hymnu wymagała również określonego czasu, odsuwając datę prawykonania od daty uroczystości rocznicowej, na którą zresztą caro-król nie przybył! O tych wszystkich szczegółach piszą ówczesne gazety warszawskie.

Zanim jednak przytoczymy interesujące nas materiały, trzeba sprostować błędną informację, jakoby pierwodruk hymnu Felińskiego ukazał się w V tomie „Pamiętnika Warszawskiego” z sierpnia 1816 r. (nr 20, s. 455 – 456) pt. „Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa Polskiego z woli naczelnego wodza wojsku polskiemu do śpiewu podany. Wiersz Alojzego Felińskiego, muzyka Jana Kaszewskiego”. Już 20 lipca 1816 r. tekst opublikowany został po raz pierwszy w „Gazecie Warszawskiej” (nr 58), a we wrześniu tegoż roku w „Gazecie Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego” (nr 74). Oba teksty zamieszczone w owych gazetach poprzedzono niezwykle cennymi notami informacyjnymi. Przydają one wagi i splendoru hymnowi Felińskiego, z wyraźną tendencją do spopularyzowania tekstu. Zawierają one informacje o genezie utworu, jego koneksjach literackich, przyjęciu przez w.ks. Konstantego, autorstwie melodii, o sposobie wykonywania pieśni oraz miejscu i okolicznościach jej śpiewania.

W czołowej rubryce „Wiadomości krajowych – Z Warszawy” donosi „Gazeta Warszawska”: „Wspomniana nieraz w gazecie naszej pieśń ulubiona ludu angielskiego: «God save the King» (Boże, zachowaj króla) podała myśl znanemu w literaturze ojczystej J. Panu Alojzemu Felińskiemu do napisania w tymże duchu pieśni narodowej w języku polskim. Umieszczamy ją poniżej. Jego Cesarzewicowska Mość W. Książę Konstanty raczył z powodu tego oświadczyć autorowi ukontentowanie swoje. J. Pan kapitan Kaszewski z pułku 4-go piechoty zrobił do tego hymnu stosowną muzykę, podług której dobrane spomiędzy wojskowych różnego stopnia głosy odśpiewują co niedziela ten hymn podczas kościelnej wojskowej parady w kościele ks. ks. karmelitów, a reszta wojska śpiewa chór kończący każdą strofę.[...]”

Bezpośrednio po tym wprowadzeniu wydrukowany został hymn Felińskiego.

Możemy nawet określić datę i okoliczności prawykonania hymnu Felińskiego. „Gazeta War-

szawska” (nr 63) donosiła „Z Warszawy”, iż „dnia 3 bm. (tj. sierpnia), a 22 lipca według ruskiego kalendarza, obchodziła stolica tutejsza imieniny N. Cesarzowej Marii Teodorówny, matki najukochańszego monarchy naszego. Po złożeniu powinszowania było nabożeństwo w kościele greckim, po którym gwardia cesarsko-rosyjska przyciągnęła na dziedziniec pałacu Saskim zwanego, gdzie już stała gwardia piesza i wojsko liniowe polskie, a jazda i artyleria w przyległych ulicach, ogółem kilkanaście tysięcy ludzi. (Był pewnie na tej uroczystości zarówno autor jak i kompozytor, być może, iż na honorowym miejscu? W. ks. Konstanty od 13 lipca bawił w Petersburgu. – przyp. B. Z.) Tam na środku, pod rozbitym i na wszystkie strony odstąpionym namiotem wzniesiony był ołtarz, pięknie przystrojony i rzęśsto oświecony, przed którym miał mszę biskupim obrzędem J. W. biskup Malinowski, otoczony wyższym i niższym duchowieństwem. Podczas mszy dobrane głosy z wojskowych śpiewały przy muzyce wojskowej pieśń «Boże, zachowaj króla», tę samą, którąśmy w numerze 56 *Gazety naszej* umieścili. Śpiewano potem «Te deum» (Elsnera) przy 101 wystrzałach z dział rozstawionych na wzgórku miejsca zwanego Nassauskim [...]».

Również w Krakowie obchodzono uroczystości imieniny „Matki Opiekuna ludów i Błogosławionego Monarchy Aleksandra I”. Na solennym nabożeństwie w katedrze „śpiewano nową pieśń narodową” (Dodatek do „Gazety Warszawskiej”, nr 64).

Zwracamy uwagę, iż hymn nazwano już „*pieśnią narodową*”. Odtąd była ona stałym i kulminacyjnym aktem rządowych uroczystości kościelnych (jak długo, nie umiem odpowiedzieć). Śpiewały ją np. na placu Saskim przy obchodzie imienin cara (11.09.1816 r.) „*dobrane głosy*”. Z tej okazji „Gazeta Korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego” (nr 74), relacjonując uroczystość i śpiewanie hymnu Felińskiego „*przy odgłosie muzyki wojskowej*”, przedrukowała ów hymn opatrując go innym tytułem: „Pieśń”. (Tekst utworu jest identyczny z tekstem zamieszczonym wcześniej w „Gazecie Warszawskiej”). Notatka poprzedzająca tekst przynosi dwie cenne dla nas informacje: o koneksjach utworu Felińskiego z hymnem angielskim (określono je trafnie w sensie terminologii) oraz o coniedzielnym sposobie śpiewania „Boże, coś Polskę”, co w sposób istotny popularyzowało tę pieśń.

Ale główny adresat pieśni – „Anioł pokoju” – jeszcze nie uczestniczył w tej celebrze mszalnej uświetnionej przez Felińskiego. Przybył do Warszawy dopiero 30 września, witany m.in. lawiną pochwalnych wierszy. W niedzielę, 6 października, car wraz z w. ks. Konstantym uczestniczył w „*paradzie kościelnej*”, w mszy wojskowej u Panien Wızıtek, i tu –

BOŻE! COŚ POLSKĘ...

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Okrytą blaskiem potęgi i chwały
Nagle spod swojej usunął opieki
I wzniośł te Ludy, co Jej służyć miały.

Przed Twe Ołtarze zanosim błaganie,
Naszą Ojczyznę racz nam wrócić, Panie!

Ty! coś ją potem, tknięty jej upadkiem,
Wspierał walczącą za najświętszą sprawę
I chcąc świat cały mieć Jej męstwa świadkiem,
Wśród samych nieszczęść pomnożył Jej sławę.

Przed Twe – itd.

Niedawnoś zabrał wolność z Polskiej ziemi
A też, krwi naszej popłynęły rzeki;
Jakże okropnie to być musi z temi,
Którym ty wolność odbierzesz na wieki.

Przed Twe – itd.

Jedno Twe słowo, wielki gromów Panie!
W chwili nas z prochów wskrzesić będzie zdolne,
Gdy znów zasłużym na Twe ukaranie.
Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne!..

Przed Twe – itd.

AGAD, *Kanc. Nowos.* 564, s. 172. Tekst otrzymałem dzięki uprzejmości dr Wiesława Pusza. Tekst jest składanką „Hymnu” A. Felińskiego (2 pierwsze strofy i refren) oraz „Hymnu do Boga o zachowaniu wolności” A. Goreckiego (2 dalsze strofy). (Tekst składanki – F.G.)



jak sędzę – po raz pierwszy usłyszał hymn mu poświęcony.

W 1818 r. wydano osobno hymn Felińskiego pt. „Pieśń narodowa za pomyślność Króla. Wiersz Alojzego Felińskiego, muzyka K.(!) Kaszewskiego, ułożona na cztery głosy z towarzyszeniem organu przez W. Gorączkiewicza w Krakowie”. Jest to – jak mierniam pierwsza publikacja nut tej pieśni, której tekst, tj. 1 strofa i refren podpisane pod nutami, jest identyczny z tekstem pierwodruku Felińskiego (nie licząc oczywistej pomyłki: „*I tarczą swojej zastawiał pieki*”).

Pierwiastkowa melodia hymnu – jak wiemy – skomponowana przez J. Kaszewskiego do tej pieśni, nie ostała się długo. Takie są prawa folklorystycznych przemian popularnych pieśni: zarówno w zakresie ich tekstu jak i melodii. Gdy pieśń Felińskiego zaczęła służyć coraz częściej ceremoniom kościelno-patriotycznym, przybrała popularniejszą melodię kościelną: „*Bądź pozdrowiona, Panienko Maryjo*”, a potem – najbardziej spopularyzowaną melodię, odpowiadającą jej błagalnemu charakterowi – „*Serdeczna Matko*”.

„*I tu – pisze T. Szyma – największa, zabawna dość niespodzianka. Muzykolodzy zauważyli, że ta szczeropolsko dziś brzmiąca melodia zapożyczona została z opery... komicznej «Le Secret», francuskiego kompozytora Jean Pierre Solié'go (1755 – 1812). Dokładnie: jest identyczna z arią «Qu'on soit jalouse». Ciekawe, że niemiecka Kriegslied «Wer will die Heimath» w swojej drugiej części również zbiega się melodycznie z tymi pieśniami. Śpiewniki kościelne, np. ks. Jana Siedleckiego, datują powstanie tekstu «Serdeczna Matko» na wiek XVIII. Czy od początku opiewany był tak jak obecnie? Operę Solié'go grano w Warszawie około 1806 r. Wiadomo, że popularne melodii religijne ulegały wielu zmianom, niejednokrotnie też różne teksty rozbrzmiewały na tę samą nutę. Na przykład osiemnastowieczną antyfonę «Bądź pozdrowiona, Królowo Niebieska» śpiewano w układzie «Serdeczna Matko». Nasz hymn wykonywano początkowo także na wzór: «Bądź pozdrowiona, Panienko Maryjo» – identyczny z układem: «Bądź pozdrowione, Serce mego Pana». Oczywiście, pochodzenie melodii hymnu zostało rychło zapomniane, z czasem natomiast zaczęto mylnie sądzić, że to właśnie on użył muzyki maryjnym śpiewom. Zrozumiałe przeto, iż w latach sześćdziesiątych XIX wieku rząd rosyjski, zakazując śpiewania hymnu, nakazał zarazem przywrócić «właściwą» melodię serdecznej pieśni do Bożej Matki*”.

Można było w 1816 r. akceptować, tolerować względnie usprawiedliwiać wiarę Felińskiego – autora hymnu, w przychyłność dążeń caro-króla wobec

narodu i Królestwa Polskiego. Ale już wówczas niepokoił chyba fakt, iż całą koncepcję ideowo-artystyczną hymnu oparł on na problemie „spółki” opatrnościowej władzy nad Polakami: Boga i Cara. Najuniżeńsi pochlebcy woleli przywoływać w tych paralelach antycznych bogów z Olimpu albo operować aluzyjną tylko emblematyką boską.

W owym klimacie politycznym, jak zauważa Juliusz Willaume w pracy pt. „Jeszcze Polska...”, „*«Pieśń Legionów» została zepchnięta na drugi plan*” przez hymn Felińskiego. Ale czyż można ów problem tak interpretować w aspekcie urzędowego funkcjonowania „Boże, coś Polskę”? Pamiętajmy również, iż hymn ten jest pośrednio świadectwem anty-napoleońskich tendencji politycznych, zawiedzionych nadziei po upadku cesarza, że przeciwstawia się żywej legendzie napoleońskiej i bierze jakby udział w aktualnych sporach na jej temat.

Badacze sygnalizując rychłe bankructwo złudzeń Polaków wobec polityki Aleksandra I twierdzą, iż „*wskutek zmiany atmosfery politycznej hymn w pierwotnej wersji szybko się zdezaktualizował (sam Feliński nie umieścił go w swym zbiorze poezji z 1818)*”. Stwierdzenie drugie jest błędne, ponieważ taki zbiór nie ukazał się w ogóle!

W tomie 1. „Pism własnych...” (Warszawa 1816) hymn nie mógł się jeszcze pojawić, a w tomie 2. wydanym już po śmierci poety staraniem jego żony i przy współpracy Gustawa Olizara (Warszawa 1821) edytorzy nie zamieścili owej pieśni.

3. Jak wiadomo, nie wszyscy poeci wówczas wierzyli cytowanym słowom cara. Dowodzi tego, w sposób znamieny, bo polemizujący pośrednio z pieśnią Felińskiego, wiersz Antoniego Goreckiego pt. „Hymn do Boga o zachowaniu wolności” zamieszczony w tymże samym „Pamiętniku Warszawskim” z lutego 1817 r., a więc w pół roku po druku hymnu Felińskiego. Nieprzypadkowo spotkały się oba utwory na łamach tego samego czasopisma. Utwór Goreckiego, spełniając polemiczną funkcję szczególnie w stosunku do refrenu pieśni Felińskiego, podkreśla swój związek z nią jakże czytelnym zabiegiem stylizacyjnym, pastiszowym.

Wydaje się, iż wcześniej niż mamy na to archiwalne świadectwa, anonimowy twórca (często się tak dzieje w obiegu folklorystycznym popularnych pieśni, a właśnie taki status folklorystyczny wówczas uzyskuje analizowana poniżej składanka) zaczął gospodarować w obu tekstach: Felińskiego i Goreckiego, scalając fragmenty obu hymnów w jeden utwór. Aby uzyskać jednolitość ideową w tej składance, wybrał dwie pierwsze strofy z hymnu

Felińskiego pozostawiając taką ich kolejność oraz dodał do nich dwie ostatnie strofy z utworu Goreckiego. Tym czterem strofom przydał słynny refren z pieśni Felińskiego, rezygnując z refrenów Goreckiego. Ale wers drugi refrenu Felińskiego: „*Naszego Króla zachowaj nam, Panie!*” uzyskał (bo musiał uzyskać) wersję: „*Naszą Ojczyznę racz nam wrócić, Panie!*” Nastąpiły także inne dość istotne zmiany tekstowe, które charakteryzujemy w analitycznej części tej pracy. Anonimowy przerobiacz złożył tekst, w którym nie było śladu ani wiernopoddania wobec caro-króla, ani obecności owego „*Anioła pokoju*” pozostającego w spółce z Bogiem Polaków (pojawiają się oni w strofach 3 i 4 hymnu Felińskiego). W przeróbce nie tylko zrezygnowano z tych tendencji, ale pośrednio, wyraziście, w czytelnym kamuflażu polemizowano z ową naczelną koncepcją Felińskiego.

Sądzę, iż owym anonimowym twórcą składanki był ktoś z patriotycznej młodzieży studenckiej, akademickiej w Warszawie. Są tego istotne przesłanki. Potwierdza to np. Aleksander Kamiński, znakomity znawca historii związków młodzieżowych, omawiając jeden z owoczesnych śpiewników studenckich. Natomiast hipoteza T. Szmy, jakoby ową przeróbkę utworu, a zwłaszcza jego refrenu, przypisać można Góreckiemu, któremu – być może – „*właśnie zawdzięczamy sugestię bądź inspirację późniejszych zmian «Pieśni ... za pomyślność króla», zwłaszcza jej refrenu*” – hipoteza ta nie ma uzasadnienia (piszemy o tym szerzej w wersji naukowej tego tematu).

Pierwszy rękopiśmienny przekaz omawianej składanki mamy z roku 1820, co nie znaczy, iż wówczas powstała! Mianowicie – jak stwierdza W. Pusz – „*w dokumentach kancelarii Nowosilcowa (znajduje się) odpis śpiewnika Ignacego Chrzanowskiego znaleziony przez policję (krakowską) w jego papierach w sierpniu 1821 r.*”. Chrzanowski za swą działalność konspiracyjną został relegowany z Uniwersytetu Warszawskiego w marcu 1821 r. i policyjnie wydalony z Warszawy. Śpiewnik ten zawiera 21 tekstów, a otwiera go hymn Ignacego Krasickiego „Święta miłości kochanej ojczyzny”. Pod numerem 6 znajduje się „Boże, coś Polskę”, w następującym sąsiedztwie: tekst 5 – „Zaśpiewać trzeba”, tekst 7 – „Sam Noe dowiódł już tego dość”.

Zamieszczony tutaj hymn „Boże, coś Polskę” jest właśnie ową omawianą przez nas składanką, która powstała mniej więcej w cztery lata po napisaniu utworu Felińskiego i Goreckiego, zaświadczać o wielkiej popularności pieśni. Nie możemy sobie odmówić refleksji literackiej: Nowosilcow wertując skonfiskowany śpiewnik studencki natrafia na tekst,

Alojzy FELIŃSKI (ur. 1771 w Łucku, zm. 23 lutego 1820 w Krzemieńcu) – polski poeta, dramatopisarz, tłumacz, historyk i teoretyk literatury.

Pochodził z rodziny szlacheckiej Felińskich herbu „Farensbach”. Był synem Tomasza Felińskiego (sędziego ziemskiego), bratem Gerarda Felińskiego, szwagrem Ewy Felińskiej i stryjem św. Zygmunta Felińskiego. Młodość spędził w rodowym majątku w Wojutyniu pod Łuckiem. Od lat dziecięcych był przyjacielem, poznanego w Porycku, Tadeusza Czackiego.

Kształcił się w kolegium pijarów w Dąbrowicy oraz w szkole powiatowej we Włodzimierzu Wołyńskim. Od 1788 roku pracował jako dependent w kancelarii prawnej w Lublinie, a poprzez tamtejszą palestrę zbliżył się do K. Koźmiana. Wkrótce porzucił palestrę, wyruszył do T. Czackiego i wraz z nim w roku 1789 wyjechał na sejm do Warszawy. W latach 1789 – 1792 przebywał w Warszawie i uczestniczył w obradach Sejmu Czteroletniego. W tym okresie pisywał bezimiennie broszury polityczne i tworzył swe pierwsze poważniejsze utwory literackie. Bywając w domu kanclerza Jacka Małachowskiego poznał wielu ówczesnych pisarzy i poetów. Wespół z Michałem Wyszowskim, K. Tyminieckim, M. Dzieduszyckim czynnie uczestniczył w spotkaniach kółka dyskusyjnego młodych literatów warszawskich, nad którym pieczę sprawował O. Kopczyński. W roku 1790 wraz z T. Czackim przebywał w Krakowie, a kilka miesięcy później (1791 r.) objął rolę nauczyciela jego siostrzeńca Jana Tarnowskiego. W tym okresie często przebywał w Warszawie oraz w należącej do rodu Tarnowskich Dzikowie.

W 1794 roku podczas insurekcji pełnił funkcję sekretarza do korespondencji francuskiej i adiutanta Tadeusza Kościuszki oraz komisarza porządkowego wołyńskiego. Po upadku powstania na krótko zamieszkał u Tarnowskich w Dzikowie. Począwszy od lutego 1795 roku mieszkał w Wojutyniu, gdzie administrował rodzinnym majątkiem i prowadził dzierżawę Klepaczu. W roku 1800 poślubił Józefę Omiecińską i osiadł we wsi Osowa (pow. Nowogród Wołyński), którą zarządzał już od maja roku 1796.

W 1809 roku został wybrany członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W 1815 roku zamieszkał w Warszawie i związał się z grupą pseudoklasyków. W 1818 roku został profesorem literatury i dyrektorem Liceum Krzemienieckiego. W 1819 roku otrzymał członkostwo honorowe Uniwersytetu Wileńskiego.

Pierwsze utwory zaczął pisać w latach 1788 – 1789 będąc kancelarzystą (dependentem) w Lublinie. Większość swoich dzieł napisał jednak w latach 1800 – 1815 podczas pobytu w Osowej.

Jego najsłynniejszym utworem jest pieśń hymniczna „Pieśń narodowa za pomyślność króla” (1816 r.), która w wersji Antoniego Goreckiego zyskała popularność w okresie XIX wieku jako hymn patriotyczny i kościelny „Boże, coś Polskę”. Poza tym był autorem dramatu „Barbara Radziwiłłówna” (1811 r.) i pieśni: „Pochwała Kościuszki” (1792 r.) oraz „Pieśń ochotników” (1794 r.). W 1816 roku opublikował pracę na temat ortografii.



Alojzy Feliński

wprawdzie przerobiony, ale jakże mu znany z kościelno-państwowych galówek, w których uczestniczył, najbliżej caro-króla i w. ks. Konstantego!

Śpiewnik służył patriotycznym studentom warszawskim działającym w konspiracyjnym Związku Wolnych Polaków (1819 – 1821) w ramach Gospody Akademickiej. Pieśni te śpiewano na burszowskich komersach, np; w kawiarniach „Pod Barankiem” czy „Pod Saturnem”, przeplatając nastroje (nieraz frywolno-pijackie), oraz uroczystych obchodach rocznic narodowych (np. 3 Maja). Do ich obrzędowego wykonawstwa przywiązywano ogromną wagę w całym zresztą świecie burszowskim, ale u nas szczególnie – w aurze patriotycznych i niepodległościowych dążeń. Urzędowo-kościelny, lojalistyczno-procarski hymn państwowy przeistoczył się w pieśń antytetyczną: w pieśń młodzieży konspiracyjnej i walczącej o wolność Polski. Za śpiewanie tej pieśni groziły procesy, więzienia. Tym droższa zatem była ona dla studentów, bo okupiona cierpieniem za naród. Jej skuteczność mobilizowania do walki odmierzana jakby była akcjami represyjnymi wobec śpiewających. Student Benedykt Kalinowski, współtowarzysz Chrzanowskiego, oświadczył: *„Do śpiewnika większą przywiązywałem wagę niż do samej konstytucji (związku studenckiego)”*.

Omal w dziesięć lat później tekst tej składanki z rękopiśmiennego „Śpiewnika studenckiego”, opatrzonej już tytułem „Do Boga”, znalazł się w „Pieśniach ojczystych” wydanych przez Kazimierza Władysława Wójcickiego *„w Warszawie oswobodzonej”* 1830 r. Wydawca w przedmowie do swoich towarzyszy z Gwardii Narodowej życzył sobie, aby *„zabrzmiały te pienia, które dawniej nuciliśmy”*.

W lipcu 1832 r., w pierwszym awiniońskim numerze „Barda Nadwiślańskiego nad Brzegami Duransy i Rodanu” (redagował go emigrant Antoni Alfons Starzyński) zamieszczono na tytułowym miejscu hymn „Do Boga”. Ten 4-zwrotkowy tekst z podaniem autorstwa A. Felińskiego jest omal identyczny z anonimowym tekstem drukowanym w „Pieśniach ojczystych”, które pojawiły się u początku Powstania Listopadowego.

W trzy lata później ukazał się litografowany druk, w 8-ce podłużnej (należący dziś do białych kruków), zdobiony interesującymi przerywnikami oraz przedtytułową ryciną (K.W. Kielisińskiego) pt. „Śpiewy burszów polskich, z muzyką na trzy głosy ułożoną”, Philadelphia 1835 (miejsce edycji fikcyjne!). We wstępie do „Śpiewów” czytamy, że były one pisane *„około 1820 roku, wiele przeto wyrażen ściągają się do tej epoki. Wychodzą teraz na publiczny widok nie dlatego, aby wznowiać burszostwa (jest to jakby przyznanie się*

tych organizacji studenckich do własności owych pieśni!), bo obecne nieszczęścia narodu naszego sił niej pobudzają ducha sprawiedliwej zemsty [...]. Wydawca miał jedynie na celu uratować od zaguby ten piękny zbiór”. Zawiera on 41 pieśni – na s. 4 otwiera go „Modlitwa”, tj. „Boże, coś Polskę”, której strofę pierwszą umieszczono pod nutami. Nie podano autora tekstu i melodii. Wersja tekstowa hymnu zamieszczonego w „Śpiewach” jest omal identyczna ze skonfiskowaną wersją „Śpiewnika studenckiego”.

Mamy również cenną informację K. Bartoszewicza, nie dysponując niestety tekstem hymnu, że jego przeróbka obejmująca 3 zwrotki znalazła się w zbiorze Józefa Reyznera wydanym w Poznaniu 1828 r., opatrzona zezwoleniem cenzora Pawła Czwaliny. *„Reyzner podawał nowy refren: «Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, / Ojczyznę naszą racz zachować, Panie!»”*. A więc już przed Powstaniem Listopadowym hymn rozpoczął swą służbę na ziemi wielkopolskiej.

Omawiany przez nas składany tekst „Boże, coś Polskę”, mimo iż ukazał się drukiem w początku Powstania Listopadowego, nie zdobył w jego historii takiej popularności (również poprzez swe potomstwo literackie) jak np. „Jeszcze Polska nie zginęła”. Szczególnie w okresie radosnego zrywu i nastrojów zwycięskich walk jego błagalny dramatyzm, korne liczenie tylko na miłosierdzie, opiekę, pomoc opatrnościową Boga dla wybranego narodu – nie odpowiadały żołnierskiemu charakterowi czynu, nawet w alternatywie *„umrzem lub zwyciężę”*. [...]

Jednak w liryce Powstania Listopadowego problem *„stosunku do Boga stanowi jeden z najbardziej ważkich składników zasadniczych”*. Góruje w nich ilościowo koncepcja *„Boga ojców naszych”* (sformułowanie Jana Pawła Woronicza), jak też traktowanie go jako jedynego sędziego, sprzymierzeńca i opiekuna wybranego narodu. Poświadczają to liczne hymny i korne modlitwy, błagalne oczekiwania cudu, wiersze i pieśni opatrzone stereotypowymi tytułami: „Do Boga”, „Hymn do Boga”, „Do Boga prośba Polaków” itd., a więc apelujące błagalnie, jak w hymnie Felińskiego.

Jest wprawdzie i *„Bóg wolności”*, ale nie taką jego koncepcję reprezentuje większość powstańczych wierszy o religijnym tonie. Pośrednią jakby polemiką z hymnem Felińskiego-Goreckiego są niektóre wiersze Seweryna Goszczyńskiego (*„Antychryst wolności”*) czy Stefana Garczyńskiego (*„Modlitwa obywatelska”*). [...]

W latach popowstaniowych śpiewano hymn Felińskiego w kościołach wielkopolskich, a w 1843 r. uzyskał on aprobatę kościelną, wydany – w

5-zwrotkowej wersji – w słynnej Księżce do nabożeństwa, „Duninówce”, u Walentego Stefańskiego w Poznaniu 1850 r. Ów ważny fakt w sfolkloryzowanym już życiu pieśni, przyczyniając się do jej obrzędowego uwierzytelnienia oraz uświęcenia, był jakby pierwszą próbą (skądinąd daremną!) kościelnego skodyfikowania tekstu, który później zresztą – o czym będzie mowa – przeszedł surową cenzurę prewencyjną lojalistycznych i konformistycznych władz kościelnych.

Dużą popularnością cieszył się analizowany utwór w dogasającej Wiośnie Ludów, której służyły wiersze nasycone religijno-martyrologicznymi i pokutniczymi nastrojami żywej jeszcze i ciężącej tragizmem tak zwanej rabacji galicyjskiej. Wówczas hymn ten nieraz z lekka przerabiano, adaptowano, wydając go w druczkach ulotnych wspólnie z innymi pieśniami religijno-patriotycznymi; głównie z „Chorałem” Kornela Ujejskiego („Z dymem pożarów ...”), który odtąd będzie stale omal towarzyszył różnorakim edycjom „Boże, coś Polskę”, współubiegając się nawet o zaszczyt stania się hymnem narodowym. W tego typu edycjach „Boże, coś Polskę” zamieszczano na czołowym miejscu.

Warto przypomnieć popularną czterostronicową ulotkę wydaną we Lwowie w 1848 r. przez Ossolineum, którą otwiera „*Hymn za Ojczyznę naszą (tj. «Boże, coś Polskę»), poprawiony przez Wincentego Smagłowskiego roku zbawienia 1848*”. Został on opublikowany z dwoma innymi religijnymi hymnami, które również „poprawił” i przerobił dla aktualnych potrzeb ów „poetka” galicyjski. W swej przeróbce – rzecz znamienita – korzystał: Smagłowski wyłącznie z macierzystego tekstu Felińskiego.

Zasadniczy i historyczny ingres omawianej pieśni do obrzędowości patriotyczno-religijnej obserwujemy w okresie warszawskich manifestacji religijno-patriotycznych z lat 1860 – 1861. Mamy nawet historyczne poświadczenie tego ingresu z konkretną datacją, mianowicie w M. Berga „Zapiskach o polskich spiskach i powstaniach”: „*W pamiętny dzień rocznicy listopadowego powstania, 29 listopada 1860 roku, akademicy umyślili urządzić małą manifestację. [...] Między szóstą a siódmą godziną wieczorem, przed figurą Matki Boskiej na Lesznie (tj. w pamiętnym miejscu „martyrologii narodowej”) zebrał się ogromny tłum ludu, przyniesiono stół, zapalono lampy i gdy modlący się padli na kolana, (Karol) Nowakowski (student warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych), chłop duży i obdarzony tubalnym głosem, zaintonował hymn «Boże, coś Polskę», starą i zapomnianą pieśń, napisaną przez Alojzego Felińskiego [...] w zupełnie innym celu i warunkach. Wywołało to niesłychane wrażenie; obecni z*

rozrzewnienia płakali... Był to pierwszy śpiew hymnu tej Marsylianki 1863 roku”.

Śpiew ten rozprzestrzenił się po kraju i zapoczątkował stały zwyczaj uroczystego wykonywania hymnu podczas rozmaitych manifestacji ulicznych i obrzędowych, np. w kościołach, przy pogrzebach, potęgując kulminację patriotyczno-religijnych wzruszeń. Stał się – jak zauważa M. Janion – niezwykle służebny wobec tych okoliczności, gdyż „*lepiej niż inne popularne pieśni patriotyczne odpowiadał nastrojom nurtującym społeczeństwo przed Powstaniem Styczniowym*”. Ale także i w czasie Powstania, którego perspektywy finalnego zwycięstwa były pesymistyczne, znikome, co wyzwało irracjonalne nieraz nadzieje związane z liczeniem na pomoc Boga, jego opiekę i interwencję. A więc śpiewano pieśń również „*przy święcie kul, grzmocie dział, „gdy śmierć groziła ze wszystkich stron*”. Łatwiej bowiem było zwyciężać i ginąć, ufając sprawiedliwym wyrokom boskim. Hymn ten odpowiadał zatem owoczesnym nastrojom i był jakby drogowskazem ku nadziejom, wzmagając i podnosząc uczucia patriotyczne do potęgi religijnych. Szukano również w tej pieśni ratunku, otuchy, pomocy Opatrzności i miłosierdzia Bożego dla narodu polskiego, który w mesjanistycznych koncepcjach był ciągle jeszcze wybranym narodem, mającym odegrać wyjątkową rolę w niesieniu wolności ujarzmionym także ludom (również w Rosji carskiej). Bóg z tej pieśni, w jej wersjach z lat 1860., karząc naród polski za jego grzechy, potrafi również przebaczać i dźwignąć ów naród – oczyszczony, z niewoli. Ta sprawiedliwość Boska wobec wybranego narodu, który w przeszłości historycznej Bóg „*otaczał blaskiem potęgi i chwały*”, umacniała wiarę powstańców w słuszność sprawiedliwej walki. Dlatego pieśń cieszyła się wówczas tak dużą popularnością. Jej miarą były również liczne przedruki tekstu, parafrazy, trawestacje oraz owoczesne tłumaczenia na większość języków europejskich. Przekłady te, np. francuskie, włoskie, angielskie, drukowane nieraz w antologiach pieśni, cieszyły się sporym wzięciem sakralizując sprawę Polski.

Restrykcje cenzuralne wobec „Boże, coś Polskę” i zakazy wykonywania pieśni pochodziły nie tylko od władz zaborczych, ale i kościelnych. Wiadomo np., iż ultralojalny wobec Prus arcybiskup gnieźnieński-poznański Mieczysław Halka Ledóchowski wydał w 1866 r. zakaz śpiewania hymnu. Natomiast jego poprzednik, arcybiskup Leon Przyłuski, pertraktując (we wrześniu 1861 r.) z królewską regencją w Poznaniu

na temat hymnu, nie tylko zarekomendował i wyłuszczył (wcale drobiazgowo, acz nie bez pomyłek) jego lojalistyczne pochodzenie macierzyste, ale zabrał się do... ocenzurowania tekstu, aby uzyskać jego akceptację od władz pruskich. [...] Podstawę do jego pracy cenzorskiej stanowił jakiś tekst najbardziej zbliżony do wersji pt. „Modlitwa za Ojczyznę”, opublikowanej w: „Śpiewy nabożne polskie”, 1861.

„Za niedopuszczalną uznał strofę:

*Boże Najświętszy, od którego woli
Istnienie świata całego zależy,
Wyrwij lud polski na zawsze z niewoli,
Wspieraj zamiary szlachetnej młodzieży.*

*Co do refrenu (odśpiewu) uważał za dopuszczalny
«Reyznerowski»:*

Ojczyznę naszą racz zachować, Panie.

Nie miał nic również przeciw opuszczeniu w modlitewnikach zwrotki o połączeniu narodów polskiego i rosyjskiego «Pod berłem Anioła pokoju». Natomiast upowszechniły się dwie nowe zwrotki, przeciw którym z punktu widzenia kościelnego nie miał nic do zarzucenia.

Do wyjaśnienia swego dołączył arcybiskup odpis całej pieśni w brzmieniu, które uznał za dozwolone. Wszystkich innych zmian («Veränderungen») zabronił.

Tekst dozwolony przez Przyłuskiego składał się z dwu pierwszych zwrotek Felińskiego i trzech następujących:

*Przywróć Ojczyźnie świetność starożytną itd.
Boże, którego ramię sprawiedliwe itd.
Boże Najświętszy, przez Twe wielkie cudy itd.*

Widzimy więc, że Przyłuski zupełnie usunął popularne zwrotki wzięte z «Hymnu do Boga» Goreckiego. Ostatnią z dozwolonych przez siebie zwrotek gotów był, jak wiemy, usunąć na życzenie Regencji».

Tak więc Przyłuski, najogólniej mówiąc, wytrzebił z tekstu znamienitsze realia i aluzje patriotyczne dotyczące niewoli, ofiar i cierpień narodowych oraz akcenty niepodległościowe.

Czterostrofowy, składankowy hymn w czasie Powstania Styczniowego ulegał nowym przeróbkom oraz zasadniczemu powiększeniu objętości o dalsze 6 lub 7 strof. Tę ostatnią najrozleglejszą wersję prezentuje tekst pt. „Modlitwa za Ojczyznę”, zamieszczony w litografowanym zbiorze „Śpiewy nabożne polskie, 1861”. Zeszyt pierwszy (Warszawa

1861). Otóż interesujący nas tekst 11-zwrotkowy poświadcza rozmaite jego transformacje według trybu folklorystycznego obiegu. Ograniczymy się do wskazania najistotniejszych cech. Tekst ten wykorzystuje wszystkie 4 strofy macierzystego utworu Felińskiego, zmodyfikowane nieraz dość zasadniczo i występujące w nieco innej kolejności. Oczywiście, drugi wers refrenu z macierzystego tekstu został tu zmieniony: „*Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie*”. Natomiast z tekstu „Hymnu do Boga” Goreckiego zaczerpnięto zwrotkę 3 (modyfikując ją), która w przeróbce jest strofą 9. Finalną zwrotkę 4 Goreckiego, nieco zmodyfikowaną, choć zachowującą aforystyczną myśl: „*Obróć nas w prochy, ale w prochy wolne*”, umieszczono również w finale, jako 11.

Na egzemplarzu tekstu, z którego korzystałem w Bibliotece Ossolineum, owoczesny(?) czytelnik pozostawił odręczną atramentem pisaną informację; wzdłuż lewego marginesu objął klamrą zwrotki 6, 7 i 8 opatrując je wyjaśnieniem: „*Te trzy strofy dodane w r. 1861(?) przez Romana Zmorskiego*”. Informacja ta jest nieprawdziwa.

W tym aktualnie poszerzonym kształcie pieśń uzyskiwała istotnie akcentowany lamentacyjno-martyrologiczny charakter, co pozwoliło Janowi Lorentowiczowi dość jednostronnie nazwać ją pieśnią „*rozpaczy i niemocy*”. Pogłębiła również swe mesjanistyczne tendencje, tak charakterystyczne dla niepodległościowych koncepcji religijno-patriotycznej poezji schyłku romantyzmu. Jest to znamienity etap jej ewolucji ideowej (zapoczątkowany już w Wiośnie Ludów) i charakterystycznego oddziaływania na psychikę narodową, etap formalnie zakończony w dobie odzyskania niepodległości Polski. Ogromna popularność tej pieśni w okresie Powstania Styczniowego wyniosła ją wówczas omal do rangi hymnu narodowego, a wspomniany wyżej charakter jej zadecydował, iż sąsiadowała zwykle z „Chorałem” Ujejskiego.

Podobną wersję (przy wymieszaniu zwrotek i nieobecności 10.) opublikowała „Lutnia lipska 1865 r.”, z podaniem autorstwa Felińskiego. Bezpośrednio po tym tekście zamieszczono w owej popularnej antologii „Boże, coś Rosję”, odsyłając do „Dziennika Literackiego” (z 01.10.1861 r.), w którym ta niezwykła parafraza ukazała się po raz pierwszy z fikcyjną informacją w podtytule: „(Przekład z rosyjskiego)”. Dora Kacnelson w swej książce „Z dziejów polskiej pieśni powstańczej XIX wieku” (Wrocław 1974) dowiodła dużej popularności tej pieśni anonimowej, zarówno w postępowych środowiskach polskich, jak i rosyjskich, wskazując na wariantowe redakcje tekstu, tytułu i podkreślając jej

„wielką rolę polityczną [...] w latach 1861 – 1863”. Pieśń błagalna, której podmiot liryczny występuje w imieniu narodu rosyjskiego, powstała z tendencji pełnego solidaryzowania się Rosjan z Polakami walczącymi o wyzwolenie się z tyraństwa caratu, o wolność ludzką, społeczną, narodową, polityczną, w okolicznościach masowych manifestacji przedpowstaniowych, tłumionych krwawo przez carat. Obszerny utwór 12-zwrotkowy z refrenami, których tylko wers pierwszy jest niezmienny („*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie*”), w początkowych 4 strofach dotyczy losu ciemżonego i upodlonego narodu Rosji, któremu Bóg zesłał już „*mężów wolności*”:

*Ty, coś niedawno tknięty jej spodleniem
Zesłał nam mężów, co światła promienie
Rzucili na kraj i wolności tchnieniem
Przygotowali z kajdan uwolnienie.*

*Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Pestłów, Hercenów daj nam więcej, Panie!*

Ta sytuacja narodu rosyjskiego została tak inicjalnie zaakcentowana dla uzasadnienia jego solidaryzmu z narodem polskim. Za jego cierpienia i męczeństwa niewoli ponosi winę carska Rosja, napiętnowana hańbiącymi zbrodniami kainowymi. „*Lud Rosji*” w błagalnych refrenach prosi Boga zarówno o wybawienie z tyraństwa, o wolność, jak i o przebaczenie, o odpuszczenie zbrodni wobec Polaków, o oczyszczenie Rosji „*z podłych służalców*” i „*wyrodných synów*”. Anonimowy autor (Henryka Pustowójtówna??) miał szczególne powody, aby wybrać do parafrazy hymn Felińskiego, który propagował właśnie połączenie „*dwu braterskich ludów*”: „*Niech sprzyjażnione dwa narody kwitną*”, oczywiście „*pod jednym berłem Anioła pokoju*”.

Te występujące w obu pieśniach dwa narody prezentują diametralnie różne koncepcje owego braterstwa, w dwu przeciwstawnych sobie orientacjach ideowych. Ale nawet Bóg, adresat tych błagalnych modlitw, jest również w obu utworach antagonistycznie różny: u Felińskiego panuje poprzez swego pomazańca i namiestnika; natomiast w pieśni anonima jest to Bóg rewolucji i wolności ludów ujarzmionych wspólnie przez jednego ciemżęcę, wyróżniający wprawdzie naród polski. Antonimiczna koncepcja Boga w obu przyrównywanych pieśniach nie jest zjawiskiem wyjątkowym w życiu i ewolucji tego typu głosnych utworów.

Z Powstania Styczniowego pochodzi także wariantowy refren pieśni, niezwykle znamieny dla

palącego problemu uwłaszczenia chłopów: „*Pańszczyznę wolną racz nam wrócić, Panie*”.

Najbardziej chyba drapieżną satyrycznie parodią „Boże, coś Polskę” (wśród innych) jest „Hymn liberalny na rok 1880 w oczekiwaniu konstytucji” (pierwodruk: „Proletariat”, 1883 nr 2), pióra Wacława Świącickiego – proletariatyka i autora słynnej „Warszawianki”. Świącicki przeprowadza w tej parodii szyderczy atak zarówno na lojalistów pozytywistycznych (leczących rany narodowe „*plastrami z pracy organicznej*”), jak i na ugodowców „konstytucjonalnych”, hołdowniczo służących i wychwalających cara Aleksandra II oraz obiecujących mu bezwzględna walkę z buntującymi się socjalistami. Autor posługuje się parodystycznie potraktowanym zbiorowym podmiotem lirycznym, który zanosí, przedstawia wiernopoddające prośby i zapewnienia, będące przedmiotem tego ataku. Każda z 6 strof kończy się refrenem powtarzającym błagalnie groteskową prośbę litanijną modlitwy liberalów: „*Do Twego tronu zanosim błaganie: Daj konstytucję, Najjaśniejszy Panie!*” Utwór Świącickiego, nie pozbawiony komizmu słownego, jest łatwo czytelną parodią popularnej hymnicznej konwencji literackiej, szczególnie słynnego i przerabianego tak licznie refrenu oraz ideowo-artystycznej problematyki pieśni Felińskiego, która powstała – przypomnijmy – z lojalizmu poety wobec caro-króla, dawcy liberalnej konstytucji, wielkiego słowianofila, łaskawego władcy „*sprzyjażnionych dwu narodów*”. Te właśnie elementy adoracji i apoteozy cara ze strony wiernopoddających lojalistów z pieśni Felińskiego zostały pryncypialnie podjęte przez Świącickiego w ich parodystyczno-groteskowym zaktualizowaniu. Natomiast w jego utworze jest w pełni nieobecny najważniejszy aktor z hymnu Felińskiego, mianowicie Bóg związany z „*Aniołem pokoju*”.

„Boże, coś Polskę” w narodowo-kościelnym życiu społeczności polskiej dziewiętnastowiecznej był hymnem jednoczącym idee niepodległościowe Polaków nieraz przeciwstawnych poglądów i działań. Nie tylko dlatego, że tekstem pieśni można manipulować (szczególnie refrenem!), ale głównie z tych przyczyn, iż ów hymn sprawnie i masowo mobilizował nieświadomiony często politycznie i społecznie patriotyzm wielu wykonawców tej pieśni, ukierunkowując go według potrzeb. Posługiwanie się pieśnią głoszącą najwyższy autorytet Boga, opiekuna i sędziego narodu polskiego, było rękojmą wiarygodności idei, o które walczone.

Do popularyzacji hymnu „Boże, coś Polskę” przyczyniły się walenie edycje pieśni w wielonakładowych książeczkach do nabożeństwa oraz

w śpiewnikach narodowych, cieszących się dużą popularnością, wydawanych w kraju i w zagranicznych skupiskach polonijnych. Żmudne badania fonograficzne z tego zakresu przyniosłyby kapitalne materiały, podobnie jak przebadanie roli tej pieśni w różnorodnych organizacjach działających zarówno w kraju, jak i na wychodźstwie. Wypada jednak wspomnieć o wielkich zasługach wydawniczych Franciszka Barańskiego, autora antologii pieśni patriotycznych i narodowych pt. „Jeszcze Polska nie zginęła!”; śpiewnika o wielu wydaniach w kraju i za granicą, który towarzyszył licznym pokoleniom Polaków.

Analizowany hymn ze swymi wariantami i znaczniejszym potomstwem literackim był zamieszczany tutaj w trzeciej kolejności antologicznej, po „Mazurku Dąbrowskiego” i „Modlitwie codziennej”.

Wielokrotnie podkreślaliśmy eksponowane miejsce „Boże, coś Polskę” w różnorodnych śpiewnikach i antologiach, w całej historii hymnu, w rozmaitych regionach kultury narodowej. Fakt ten poświadcza nieodmiennie wysoką lokatę pieśni w narodowo-kościelnym repertuarze melicznym. Przykładów dowodnych – z materiałów przez nas posiadanych – można by przytoczyć mnóstwo. Warto jednak wybrać z nich i te, które formują refleksję dotyczącą dodatkowej jakby roli hymnu na ziemiach polskich wcześniej oderwanych od Macierzy. Otóż pieśń ta, np. na Śląsku i Mazurach, rozbudzała świadomość narodową, poczucie historycznej więzi z ojczyzną, z Kościołem polskim.

Ścisły związek pieśni z wydarzeniami historycznymi uzyskał potwierdzenie nawet w roku 1905, w październikowych demonstracjach. „W wielotysięcznych pochodach ulicznych – jak pisze Kacnelson – śpiewano *«Boże, coś Polskę»* wspólnie z *«Jeszcze Polska nie zginęła»*, za co dekret carski z 31.10.1905 r. groził surowymi karami” Maria Dąbrowska wspomina (zob. „Warszawa naszej młodości”), jak w pochodach manifestujący lud warszawski śpiewał wówczas „Boże, coś Polskę” razem z „Chorałem” Ujejskiego, „Czerwonym sztandarem” Bolesława Czerwieńskiego oraz z pieśnią „Na barykady”.

W literackim obrazie manifestacji ulicznej w Kalińcu („Noce i dnie”) „*dźwięki dwu pieśni skłóciły się, lecz brzmiały razem dalej*”. „Na barykady” śpiewała „*zwarta grupa ludzi o młodych twarzach*” krocząca pod „*czerwoną płachetką*”; część pochodu – „Boże, coś Polskę”, pod egidą „*białego orła*”.

To braterstwo pieśni antagonistycznych w swej istocie oraz w rzeczywistości historycznej poświadcza

wiodący od pokoleń autorytet hymnu, zaufanie do jego tradycyjnej roli narodowej, religijnej.

Akcentowano wszakże, szczególnie z pozycji lewicy, iż ów hymn ubezwładnia czynny patriotyzm zdaniem się na cud Opatrzności Boskiej. Gustaw Daniłowski pisał w „Strofkach” pełnych ekspresyjnego liryzmu:

*Boże, coś Polskę! ... modlą się do cudu,
Zwłok Jej szukają w wiedeńskich traktatach...
A Ona żywa drży w więziennych kratkach,
Pod szubienicą, w bohaterstwie ludu.*

Śpiewniki żołnierskie z okresu pierwszej wojny światowej, powstań śląskich, wielkopolskiego i z lat nieco późniejszych zamieszczają hymn często w jego obszernej wielozwrotkowej wersji, nieraz na eksponowanym miejscu: po „Bogarodzicy”, a przed „Mazurkiem Dąbrowskiego”. Owa wysoka ranga i niezwykła żywotność meliczna dokumentują tendencje po 1914 r., by utwór stał się faktycznym hymnem narodowym. Pretendowały do tej roli – na różnych zresztą prawach – inne głośnie pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Warszawianka” Delavigne’a – Sienkiewicza, „Chorał” i „Rota”, a nawet Krasickiego „Święta miłości kochanej ojczyzny”. Zanim zapadły oficjalne decyzje, toczył się przez wiele lat dość krewki spór, którego reprezentantami byli polemici o antagonistycznych orientacjach politycznych. Np. konserwatywno-klerykalny „Przegląd Warszawski” (1914, nr 2) lansował „Boże, coś Polskę”. Opozycyjne stanowisko głosił Andrzej Niemojewski, redaktor „Myśli Niepodległej”, opowiadając się za „Mazurkiem Dąbrowskiego”. Argumentacji dostarczyły przeciwnikom zarówno treści ideowe tych pieśni, jak i ich role w narodowej tradycji.

Oba hymny uzyskiwały w tej polemice jakby status żywych organizmów opiniotwórczych w zakresie postaw narodowych, politycznych, religijnych. W pewnym czasie obie pieśni traktowane na prawach hymnu narodowego zdystansowały wspomniane konkurentki.

Niektórzy lansowali „Boże, coś Polskę”, widząc w nim dostojne wartości narodowe manifestujące się również w odbiorze międzynarodowym, radzili jednak poddać tekst „*głębokim retuszom*”, szczególnie w sferze idei „*okolicznościowych*”, które dotyczą zamkniętych już dziejów. Zwyciężyła ostatecznie koncepcja hymnu optymistycznego, o świeckim charakterze, a jej zwolennicy przewidywali, iż „Boże, coś Polskę” (np. według opinii Wacława Rogowicza) „*zejdzie ... do roli historyczno-uczuciowego dokumentu lat niewoli*”. Jednak sprawy hymnu narodowego nie rozstrzygnęła

konstytucja uchwalona 17 marca 1921 r. Jak pisze J. Willaume, monografista „Mazurka Dąbrowskiego”, *„związany ze środowiskiem skrajnie prawicowym marszałek sejmu Wojciech Trąmpczyński w swoim przemówieniu wygłoszonym z okazji uchwalenia przez sejm konstytucji posłużył się cytataми z refrenu błagalnej pieśni Felińskiego, a następnie pieśń tę odśpiewali wszyscy posłowie. [...] Ostatecznie tę sporną sprawę załatwiono poza sejmem, po przewrocie majowym w 1926 r.”* Decyzją Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z 1926 r. oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (z 1927 r.) ustalono hymn państwowy.

Fakt ten pośrednio wyznaczył analizowanej przez nas pieśni inną rolę, nie osłabił wszakże jej naturalnego biegu życia i okazjonalnych potrzeb narodowych; życia pozbawionego nakazów oficjalnej obrzędowości państwowej. Jest to znamienym dowodem, iż hymn Felińskiego posiada specyficzne i uniwersalne wartości narodowo-kościelne, patriotyczno-religijne, które gwarantują mu żywotność w narodzie przywiązanym do tego typu wartości dziedziczonych z tradycji i pielęgnowanych przez Kościół. Ową żywotność intensyfikują (nieraz spontanicznie) dramatyczne wydarzenia narodowe, państwowe, w które obfituje nasza historia. Nie ma racji J. Stręciwilk, gdy w podsumowaniu swej pracy twierdzi, iż pieśń ta *„od 1926 stała się pieśnią kościelną o charakterze patriotycznym”*.

W dwudziestoleciu międzywojennym pieśń wróciła, oczywiście, zarówno do świeckiej jak i kościelnej obrzędowości, nie bez wahań i odstępstw tekstowych, szczególnie w refrenie, które znamionowały m.in. opozycje polityczne w wirze walk stronnictw i organizacji społeczno-politycznych. Już wówczas, w praktyce melicznej, tekst ograniczony był do dwu pierwszych strof macierzystej wersji Felińskiego, choć nieraz dołączano jeszcze trzecią strofę, nowo dorobioną, akcentującą status wskrzeszonej Ojczyzny.

Żywotność pieśni w ciągach pokoleniowych zapewniały również szkoły (szczególnie jedno-wyznaniowe) – w rytmie codziennych zajęć, licznych obchodów rocznic narodowych i w obrzędowości zbiorowej szkolno-kościelnej.

Lata okupacji – pełne nieludzkiego tragizmu, martyrologii, konspiracji, walk partyzanckich, beznadziejnego oczekiwania, rezygnacji – sprzyjały szczególnie życiu tej pieśni błagalnej, zarówno w kraju jak i na wygnaniach, nieraz w kościołach, obozach, na tajnych zebraniach, biwakach partyzanckich itp. Historia powtórzyła jej obrzędową rolę patriotyczno-religijnej konsolacji, jednak w warunkach nierównie

tragiczniejszych czasu nieludzkiego; konsolacji, która wyzwała różne pragnienia i wiary, łącznie z mesjanistycznymi profecjami, z buntem lub uległością wobec „polskiego Boga”, zawsze przecież i nieodmiennie mobilizując nasz patriotyzm i jego więź z tradycją narodową.

W latach okupacji pieśń zdystansowała w sposób znamieny nasz hymn narodowy witalno-optymistyczny, i to nie dlatego, iż w kraju władze okupacyjne zabroniły go śpiewać. Ten jej bezwzględny omal prymat obserwujemy w obozach, na zesłaniach czy w środowiskach emigranckich, a nawet w wojskach polskich, wszędzie tam, gdzie nostalgiczne pragnienie wolności dla Ojczyzny przybierało formy kultu narodowo-religijnego, deklarowało głęboką wiarę i ufność w Opatrzność Boską.

Po drugiej wojnie światowej hymn – w pewnym okresie – schronił się do kościołów, śpiewano go wówczas często ze specyficznie przerobionym refrenem o aktualnej dla wielu wymowie. Sprzeczności lekcji refrenicznych występujące jednocześnie pośród uczestników obrzędów mszalnych, były jakby świadectwem polaryzacji ideowych. Protestowano w tej sprawie także oficjalnie, np. z okazji pielgrzymek częstochowskich lub innych kompanii odpustowych, tj. przeciw takim przeróbkom refrenicznym, które manifestowały: *„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, / ojczyznę wolną racz powrócić, Panie!”*.

W określonych latach, gdy pieśń musiała zejść „do podziemi” kościelnych, jej życie akcentowało także gniewny protest światopoglądowy przeciw zdarzeniom i nakazom oraz ideologiom, które dyskryminowały jej wyznawców lub tylko sojuszników religijno-politycznych. Wyzwalała ona śpiewających z przymusu podporządkowania się nakazom, niwelowała jakby lęk, budząc odwagę religijnym sprzeciwem. Stawała się po prostu – wbrew jej klimatowi semantycznemu – omal pieśnią buntu, szukającego pomocy Boga, gdy innej realnie znaleźć nie było można; buntu, który nawarstwiał protesty i dążył do przemian.

Te gniewno-religijne emocje nieliczne, wpływające nieraz wyłącznie z nastrojów światopoglądowych, dynamizowały protest śpiewających o... uległości i posłuszeństwie wobec wyroków najwyższego autorytetu, sprzymierzeńca i sędziego Ojczyzny – Boga.

Renesans pieśni zarówno świeckiej jak i kościelnej (nb. Kościołowi zawdzięcza się obecnie powszechniejszą znajomość tekstu) oraz jej ponowne „małżeństwo” z hymnem narodowym „Jeszcze Polska nie zginęła” wystąpiły w niedawnych zrywach protestacyjnych i przemianach. Była ona bowiem w

jakimś stopniu ich duchowym współtwórcą i sztandarowym przywódcą. Zarówno podczas manifestacyjnych pochodów i tragicznych wydarzeń, jak i w praktykach obrzędowych różnych organizacji, szczególnie zaś „Solidarności”, która do swego hymnicznego repertuaru przyjęła te dwie właśnie pieśni, w ich braterstwie, które dla rzeczywistości historyczno-literackiej jest jak połączenie ognia i wody, a dla „czysto polskiej” tradycji narodowej stanowi jedność w sprzecznościach.

Nie interesują nas w tej pracy tekstologiczno-edytorskie dzieje hymnu, nie zajmujemy się od tej strony ani transformacjami tekstów, jakby programowo niestabilnych, ani problemem przemieszczania, kolejności, wyboru czy eliminacji wersów lub strof, co powoduje „bałamutne” burzenie ładu historycznej faktografii utworu; ani stałym omal przystosowywaniem go do rozmaitych okoliczności i wydarzeń, ani jego egzystencją aforystyczną itd. (Oczywiście, podejmujemy owe problemy tylko w aspekcie biegu życia hymnu.) Cały ten proces jest bujny, złożony i trwały w biografii pieśni. Warto jednak zaznaczyć, iż jest on znamieny dla folklorystycznego życia tego hymnu, które reprezentuje również – jak wspominaliśmy – stale aktualizująca się wariantowość refrenu: według moich obliczeń posiada on około 20 sfolkloryzowanych wariantów(!), a także przebogate i różnorakie potomstwo tekstowe – prawe i bastardowe. Czynniki te uniemożliwiają (tak jak w folklorze tzw. literackim) ustalenie kanonicznego tekstu oraz nie pozostają bez wpływu na jego rozumienie i recepcję wśród przeciętnego odbiorcy (tajemnicze sakralne realia).

Badacze, którzy nie dostrzegają lub nie rozumieją folklorystycznego statusu życia tej pieśni, zgłaszają nieraz nieuzasadnione pretensje, np. iż nie wyjaśniono dotąd w pełni sprawy najobszerniejszej wersji hymnu, lub – jak Lorentowicz, znawca zagadnienia – podkreślają „niedorzeczności” tekstowe: *„Warunki cenzuralne – pisze on – które zakazywały śpiewać «Boże, coś Polskę» od r. 1862, sprawiły, iż nikt dotychczas tekstu hymnu narodowego nie rewidował(?) i pozostały w nim wszystkie niedorzeczności, jak «berło Anioła pokoju» (tj. Aleksandra) wzięte z Celińskiego”*.

Współcześnie śpiewa się w kościołach i na różnych uroczystościach przeważnie strofę pierwszą „Boże, coś Polskę”, a wyjątkowo tylko drugą. W książeczkach do nabożeństwa wydawanych obecnie drukuje się na ogół dwie pierwsze zwrotki. Tekst śpiewany i drukowany aktualnie nie odbiega wielce (poza drugim wersem refrenu) od pierwodruku hymnu Felińskiego. Ostały się zatem, po przeszło półtorawiekowym życiu pieśni, jakże wielorako przerabianej i poszerzanej, tylko dwie

pierwsze strofy i refren autorstwa Felińskiego. Podkreślamy, iż tej inicjalnej funkcji nie traciły one nigdy! Ale nie jest to oczywiście zwycięstwo utworu Felińskiego z 1816 r., choć sugestywność tych dwóch strof o niezmienniej w zasadzie strukturze literackiej, operujących popularną i chwytliwą topiką historyczno-narodową, przyczyniła się waleń do ich żywotności. Obserwujemy bowiem zjawisko nie podlegające filologicznej analizie tekstu, który w takiej aktualnie śpiewanej wersji „częstkowej”, to znaczy oderwanej definitywnie i bezpamiętnie od macierzystej, zdobywa samoistną całość, uzyskuje własną autonomiczną strukturę ideową. Tekst ten wchłania jakby w siebie – zgodnie z narodową świadomością jego wykonawców i odbiorców – wszystkie te najdramatyczniejsze wydarzenia patriotyczno-religijne, którym pieśń ta towarzyszyła i przewodziła.

Ów modlitewny hymn błagalny, w zasadzie akceptujący posłusznie wyroki Boskie, posiada nieustanną żywotność, którą mu zapewnia szczególnie dramatyzm i charakter naszych wydarzeń historycznych. To one, w różnych czasach i sytuacjach, decydują o wybuchach żywotności pieśni, o natężeniu fali jej powrotów bijącej o „ołtarze narodowe”, operującej najświętszymi hasłami: Bóg i Ojczyzna; hasłami utwierdzonymi wiarą w historyczne przymierze Boga z wybranym i jednocześnie doświadczanym przez niego narodem polskim. Akcentując ufność narodu w opiekę Boga, posiada jednocześnie wartości konsolacyjne, szczególnie cenne w czasach najcięższych rozczarowań, klęsk i żałoby. Wartości te mają moc – lub uzyskują ją – w czynnym patriotyzmie mobilizującym do walki sprawiedliwej, najświętszej.

Taka bogata struktura (także pozatekstowa!) emocjonalnych oddziaływań hymnu, najistotniejszych dla życia narodu, sprawia m.in., iż pieśń zdobyła wyjątkową, szeroką, długowieczną i niezniszczalną popularność. Jej hasła wywoławcze: „Bóg i Polska” (pojmowana jako państwo w aspekcie historycznym) szeroko ugruntowane i rozrosłe w tradycji mają najwyższy autorytet narodowy. Hymn jest zatem sztandarowym *sacrum* narodowym o niezniszczalnej mocy oddziaływania.

Bogdan ZAKRZEWSKI

CDN

„CZÓŁNEM SŁOWA”

Poezja Teresy Paryny

PRZYSTANEK POEZJA

Witajcie –
stygmatycy piękna
wyznawcy nieśmiertelności
umarłych krajobrazów.

Przysiądźcie –
wytrwali poszukiwacze słów
zaklinacze wersów
by się zmieściło całe życie...

Spocznijcie –
którzy się nałykali pośpiechu
by zdążyć
przed odwrotem weny.

Tylko tu
możecie ucałować płatek wzruszenia
wieczne pióra
zanurzyć w obłokach...

CODZIENNOŚĆ

Wierszu
racz usprawiedliwić mnie
gdy na poetyckie strofy
wykipi mleko

gdy w starym garnku
przypałą się metafory...

Moja codzienność
bura wyleniała
niewiele ma z poezji –
odgrzewa
naciąga
sztukuje
by pod wieczór
doprowadzić puentę
do słodkiego chrapania.

CZÓŁNEM SŁOWA

Zawrócić czołnem słowa
do brzegu dzieciństwa

to nic
że szorstkie razowe
jak ojcowe dłonie.

Pobiec
dotknąć
zajrzeć
w piegowate dni.

Stanąć pośrodku
niczym strach na wróble
i wypatrzeć
tamte wschody i zachody.

Zastygnąć
pierwszym zdumieniem

wziąć na barki
pierwszy ból

a nade wszystko
ucałować dłonie Matki.

Niczego nie poprawiać
nie prostować
nie zmieniać.

Sprawdzić czy w polu
zakwita już gryka
i przemycić
zieloną świeżość jabłek.

NA BIEGUNACH WSPOMNIENI

W starych dostojnych lipach
całe galaktyki pszczelich rojów
światłne lata miodne.
Zapach przeciera mleczne drogi.
Pulsują kwiatozbiory...

Głos Jana z Czarnolasu
zaprasza pożółkłą strofą
– Matko odpocznij, spójrz! –
cień do zenitu się wspiął
„Pozdrowieniem anielskim”
modli się wiejski dzwon.

Matka młoda
cała z niebieskiej mgły
z muzyki złotej...

Rozgrzane powietrze
pręży się, drga.
Na zmęczone powieki
sfruwa sen jak motyl.

Kołysze się sad
na biegunach wspomnień...

TAK SAMO

Coraz częściej odczytuję
w moim głosie Twój głos –
w moim geście Twój gest –
Matko powtórzona we mnie
niedokładnie
a przecież genialnie...
Coraz bliższa
zza taflí śmierci
gdy siwieją lata
kiedy ręka płacze
i tak samo boli
i tak samo samotnie...

WSZYSTKO PRZEPADŁO

Pamięci Ryszarda

– Sam widzisz, wszystko przepadło!..
A mieliśmy tak ładnie się zestarzeć
i zimą razem ziółka parzyć,
człapać w ciepłutkich bamboszach,
drzemać z okularami na nosach,
pogodzić się ze sztuczną szczęką,
co wypada akurat wtedy, kiedy nie wypada.
Przemijać cichuteńko, na paluszkach
jak przemijają po wtorkach zwykłe środy...

KONFITURY CIOCI FRANI

Gdy wymawiam jej imię
zdjęte z ewidencji żywych –
czuję na języku
wyrafinowaną słodycz konfitur
zielonych jak oko malachitu.
Może je teraz smaży
samemu Panu Bogu?..
Wszak tę słodką tajemnicę
poniosła za próg grobu
jak i cały swój świat
z pępkiem Lwowa, którego ułamek

Teresa PARYNA urodziła się w Sośnicy Jarosławskiej, mieszka w Przemyślu.

Zadebiutowała w 1987 r. w „Zielonym Sztandarze”. Swoje wiersze publikowała w ponad 40. almanachach, antologiach oraz prasie ogólnopolskiej i polonijnej. Laureatka wielu konkursów poetyckich.

Jej wiersze są tłumaczone na języki: angielski, arabski, białoruski, czeski, niemiecki, rosyjski, rumuński, słowacki i ukraiński.

Pisze również opowiadania, prozę poetycką i felietony. Jest członkiem Związku Literatów Polskich. Posiada tytuł „Człowiek Podkarpacia 99”, odznakę „Zasłużony Działacz Kultury” oraz „Zasłużony dla NSZZ Solidarność Region Ziemia Przemyska”.

Oprócz poezji zajmuje się twórczością plastyczną (rysunek, akwarela, rękodzieło artystyczne). Swoje prace wystawiała w Przemyślu, Gorlicach, Rzeszowie, Szczecinie i Poznaniu.

Dwukrotna stypendystka Prezydenta Miasta Przemyśla. Jej biografia twórcza została zamieszczona w 11 tomie leksykonu „Who is who w Polsce”.

Opublikowane zbiory wierszy:

„Ziarnkiem prochu” – Przemyśl, 1992 r.

„Dotknąć nieba” – Przemyśl, 1996 r.

„Obok milczenia” – Szczecin, 1998 r.

„Tylko osty” – Rzeszów, 2000 r.

„W kwadraturze dni” – Starachowice, 2002 r. (Literacka Nagroda „Złote Pióro”).

„Z niebieskiej mgły” – Szczecin, 2003 r.

„Cienie bliskie i cienie dalekie” – wybór wierszy, Rzeszów, 2004 r.

„Z białej ciszy” – Jarosław, 2009 r.

„Szlakiem Piętej Ewangelii” – Jarosław, 2009 r.

„Od bólu do nadziei” – Jarosław, 2010 r.

„W porze jaśminowej” – Jarosław, 2010 r.

„Piękniejsze od wiersza” – Przemyśl, 2012 r.

„Błogosławiony czas” – Przemyśl, 2012 r.

„Z paletą dobroci” – Przemyśl, 2014 r.

„Szlakiem Piętej Ewangelii” – wydanie II – Przemyśl, 2014 r.

„Wydmę czasu” – w przygotowaniu.

z fotografii en face
patrzy teraz brązowo
na dwudziesty pierwszy wiek.

CIOTKA MARYNKA

Spod obwisłych powiek –
oczu pozorna surowość.
Policzki jak dwa podpłomyki
wypieczone błado.
Wszystko owinięte chustką dubetową
kupioną u Żyda we Lwowie.
Potem kaftanik, co pewnie pamiętał
Franciszka Józefa
i brązowy szmer spódnic...

Panna z przyczyny
której nikt nie rozwikłał.
Całe swoje serce oddała piernikom –
pulchnym, pachnącym świętami.

Nie lubiła kotów.
Hodowała truskawki.
I na „Singerze” ściegiem płaskim
zszywała chude powojenne lata...

CIOTKA JÓZEFKA

Na życie roztrzęsione
chorobą Parkinsona
patrzyła spode łba...
Zwiastunka mglistych świtów –
nosiła wielki fartuch
i zęby dwa
oparte na dolnej wardze
w zgryzie króliczym.
Złeppek ułamków:
bliźniaczki
wieśniaczki
półpolskiej
półruskiej krwi.
Wśród istot żywych
najbliższa inwentarza
co gdakał, gęgał
gulgał i piał...
Choć odprowadzała nowenny, posty –
nie była święta!

Więcej nie pamiętam.

W KORYTARZACH SNU

Śnie wszechmogący
śnie łaskawy –
podprowadzasz
pod zamknięte powieki
umarłe krajobrazy
mieszasz puzzle czasu...

Babci wracasz zęby
dziadkowi czuprynę
dla brzydkiej panny chowasz
ślicznego królewicza...

Bądź błogosławiony
za nieboszczki jaskółki
którym na nowo
przypinasz skrzydła.

Za świętej pamięci dusze
dawno ściętych kwiatów.

Za senne korytarze
którymi bliscy wracają...

WIERZĘ

Pamięci Jana Pawła II

Wierzę,
że często tu wracasz
by z duchem Tatr
odśpiewać Godzinki.

Na zboczu Ojczyzny pomilczeć
o bolesnych sprawach.

Zejsć długim różańcem śladów
w ludzkie doliny...

Od wróbla szarego przyjąć
szczery pacierz pokory.

By otrzeć łzę co się kręci
wokół Twojego Imienia

i pobłogosławić
nasze ścieżki dobra.

PAMIĘĆ I WIARA

Stoją wysoko ponad czasem
i mają cudowną moc.
Wiara przenosi góry,
przenika kraty,
stroni od pytań.

W kadrze pamięci może ożyć
wesoly Lwów
z ciotką w seledynowym kapeluszu,
ze Szczepkiem, Tońkiem,
z bandą batiarów,
z kresową gwarą ...
W bliznach pamięci –
odłamki wojny ...
Pędzi na śmierć transport pokoleń
przez Katyń, Charków,
Ostaszków, Miednoje,
przez stacje Syberii ...

Gdy wiara zamyka oczy,
pamięć ciągle widzi –
łuny pożarów,
Orlęta, krzyże ...

Pamięć i wiara
wołają przez łzy:



Teresa Paryna

«– Bądź wola Twoja ...
i odpuść nam,
jako i my...»

DOŁOŻYŁ BOJKO ŚLIWKĘ

Przeszedł Bojko
z gawędy Pankiewicza
do mojego wiersza ...
Przeszedł jak stal:
w barankowej czapce,
z powagą długich wąsów,
z kwartą śliwek
przyniesionych z gór.
Chudy, skośnooki,
z całym urokiem skąpstwa.

Znów swojsko gra
wschodni targ.
Nie przeczuwa wojny,
co z wysokich gabinetów
wytoczy czołgi
na świętą ziemię Kresów.
I wiatr się nie spodziewa –
nurkuje w fałdach ciężkich spódnic,
tarmosi białe chustki bab,
które na liściach chrzanu
rozkładają tłuste ośelki masła.
Targ zajęty sobą –
liczy, sypie, nalewa,
przebija, mierzy

na łokcie, korce i mendle.
Chmurny Bojko
nagle się uśmiecha –
kto wie,
może dołoży śliwkę ...
Ale czas już się nie targuje –
brutalnie trąca garnuszek Bojka –
rozsypują się śliwki,
rozpada się świat ...

JAK PODCIĘTE RÓŻE ...

Nad Zadwórzem pożłota sierpniowa.
Rocznicowy szelest sztandarów.
Smutna tkliwość w gestach i słowach.
Marsz żałobny, pamięci ogarek ...

Każda śmierć przychodzi nie w porę.
Każda śmierć zjawia się za wcześnie.
A tu młodość w świeżych kolorach.
A tu życie jak pierwsze czereśnie ...

Broczy krwią wojenna rocznica.
Pruje błękit cmentarna blizna ...
Słodka śmierć, co przywraca życie
świętym słowom: „Bóg, Honor, Ojczyzna”.

Kurhan, krzyże – tu chłopcy zabici ...
– Śpij spokojnie kochany rodaku!
Bóg zwyciężył, bo ty dałeś życie –
wróg się potknął na męstwie Polaków.

W polskie barwy stroi się Zadwórze,
choć rozdziela nas obca granica ...
Tutaj chłopcy jak podcięte róże,
tutaj śmierci wieczna tajemnica.

Tutaj wiatry po polsku się modlą
pieśnią chwały spopielałych kości.
I choć nuta ma barwę żałobną,
jednak może cieszyć się wolnością.

Czasem w niebo szybują pytania
zdjęte bólem – dlaczego tak?!
Cisza ... Piołun w gorzkim zadumaniu ...
Polską krwią zakwita mak.

W KRZEMIĘNCU

Na górze Bony pokoleniami
porozkładały się wieki...
W splątanych grzywach traw
szukam świętej pamięci śladów.
Wysłuchane legendy butwieją
porastają chwastami.
W dole barwna mozaika miasta
pisze swoją historię...

Dla kogo teraz śpiewają słowiki?
Komu maj dyktuje swój biały wiersz?

Przez łuny rdzawe
zbozcem urwiska
na małomiasteczkowość
pełnie wieczór –
fałszuje kształty
gasi kolory
rozsiewa ciszę.
Zapamiętany wiersz Juliusza
zszywa dzień z nocą...

W muślinowych snach
w beczasie
w beztęsknocie
jak fale lkwę miękko płynie
wiotki cień Salomei
i księżycowa bladeść Juliusza...

Tu wszystko namaszczone Jego poezją.
Tu kwiaty gwiazdy
wciąż przemawiają po polsku.

DO ŚWIĘTEJ TERESY Z LISIEUX

Wybacz
że Cię nie rozpieszczęm

słowem inkrustowanym
moja Patronko
od krzyża i róż.
Spuszczam wzrok
bo znów
wypada ze wstydu się spalić...
Zawsze bardziej mnie wabił
fason kapelusza
niż Twój świetlisty nimb.
Ciągłe tkwię
wbita pazurami w życie
zwłaszcza w lipcu
kiedy dojrzewa dzikość ziół...

DO ANIOŁA STRÓŻA

Aniele Boży stróżu mój
wiernie przyklejony
do mojego cienia

bez twarzy
którą czas rozdrapie

bez pięty
co boli od kręgosłupa.

Uboższy o uśmiech
kiedy w marcu z zasy
wyjrzy pierwszy krokus.

Pozbawiony zachwyty
gdy szalony maj
modli się
do świętej konwalii.

Aniele bez zmarszczki bólu
kiedy po „Zielonej”
lato się kruszy
popiołem barw.

Który nigdy
nie klóciłeś się z Bogiem
o zakazaną miłość
za przedwczesną śmierć...

Mimo to
pochyl nisko
swą świętą przezroczystość
nad cudem człowieczeństwa.

WYZNANIE WIARY

Nigdy nie byłeś
abstrakcyjnym bytem

pustą hipotezę
puentą pięknej baśni...
Ty wyznaczasz bieguny
nadajesz kierunek
prowadzisz zegary.
Poza Tobą nie ma

najmniejszej pewności.
Ty trzymasz w ręku wahadło
początku i końca.

W DRODZE DO BETLEJEM

Kolędo ojczysta
przymarznęta do zimowej szyby,
melancholio biblijna

w polskiej śnieżnej zaspie –
otwierasz mi przestrzeń,
gdzie twarze wygasłe
wracają Droga Mleczną
dzielić się opłatkiem.

Melodio szeleszcząca skrzydłami anioła,
pachnąca choinką i dzieciństwem jasnym –
kładziesz się na sercu
wspomnień miodnym plastrem.
W tobie pokoleń
pulsujące światło ...

Dzisiaj, gdy dom pusty
zamilkł w beznadziei –
przecieraj mi i prostuj
drogę do Betlejem.

Czym jest dla mnie poezja

Ktoś kiedyś powiedział: „Jeśli chcesz rozweselić Boga, przedstaw Mu swój plan”. No właśnie... To na pewno nie był mój plan. Rozkochana w literaturze, zwłaszcza pięknej, podziwiałam wielu poetów, pisarzy, jednak ani nie miałam ambicji literackich, ani tak śmiałych marzeń. Owszem, coś tam sobie zawsze w wielkiej konspiracji zapisywałam, właściwie nie wiadomo po co... Dzisiaj wiem, że oprócz wielkiego poczucia humoru Bóg potrafi zaskakiwać i być na sposób Boski wspaniałomyślny. Przy tym często wybiera i posługuje się parametrami, które w żaden sposób nie przystają do ludzkich.

Tak z perspektywy lat patrzę na to, co się dokonało w moim życiu, by ocenić miejsce, w którym obecnie się znajduję. Piszę o tym w tak podniosły sposób, gdyż mój plan na życie był pospolity, prozaiczny, a dar jaki otrzymałam jest prawdziwym Uśmiechem Boga. Każda twórczość, w tym literacka, jest niejako współdziałaniem w Jego stwórczym dziele i smakowaniem radości dzielenia się sobą. Lubię podejmować ten trud: próby wyrażania słowem tego, co tak naprawdę niewyrażalne. Nie chcę, by to była sztuka dla sztuki. Staram się, by moje poetyckie słowo zmuszało do refleksji, poruszało, wzruszało, niósło prawdę, wyrażało piękno... Tematy podsuwa samo życie, wciąż bogate w wydarzenia. Wiele moich wierszy to powroty w świat dzieciństwa, młodości; poetyckie portrety osób bliskich, kreślone po latach. Prezentowane tu wiersze, wybrane z kilku tomików, są tego małą wizytówką.

Teresa Paryna

Redakcja „Krynicy” prezentuje czytelnikom pierwszy, pilotowy fragment powieści „Pod żaglami „Zawiszy”. Don Kichoci z „Cietrzewia”, opartej na autentycznych, pełnych bohaterstwa i jednocześnie tragicznych wydarzeniach. Autor powieści – kapitan żeglugi wielkiej Piotr Dymitr WISZNIEWSKI jest kresowianinem z dziada pradziada. Urodził się na Wołyniu i tam spędził dzieciństwo. W wieku 16 lat związał swoje życie z morzem. Pracował na 40 statkach pod banderami; RFN, Wielkiej Brytanii, Panamy, Cypru, Hondurasu. Nadal czynny zawodowo, dowodzi katamaranem „Jantar” pod banderą RP.

Piotr Dymitr WISZNIEWSKI

POD ŻAGLAMI „ZAWISZY”. DON KICHOCI Z „CIETRZEWIA” (Opowieść prawdziwa)

Motto:

„...Nie ma w literaturze światowej przykładu tak bolesnej rozpacz człowieka, który widzi jak rozpada się w jego kraju wszystko, co stworzyli przodkowie, co kochał i do czego był przywiązany. Zdeptane zostają więzi przyjaźni i pokrewieństwa, szczerść, otwartość, szacunek do tradycji. Te bezcenne wartości zastępuje gangrena przystosowania, podyktowana strachem przed więzieniem, deportacją do gółgu czy rozstrzelaniem...”

(Fragment recenzji książki „Droga do nikąd” Józefa Mackiewicza, napisanej przez Czesława Miłosza o sowieckiej okupacji Wileńszczyzny w latach 1940-41.)

Dnia 3 maja do portu Nex na Bornholmie wchodzi szkuner „Zawisza Czarny” – flagowy żaglowiec polskich harcerzy. Manewrując w wąskim kanale uderza zaobleniem dziobowej części swego kadłuba w lewe nadburcie katamaranu „Jantar”, zacumowanego przy terminalu pasażerskim a należącego do Kołobrzesckiej Żeglugi Pasażerskiej. Trwa akurat embarkacja pasażerów. O godz.18.00 „Jantar” odcumuje i wyruszy w podróż do Kołobrzegu. Po „stłuczcze” kapitan „Zawiszy”, pan Marek Ihnatowicz, przybył na mostek „Jantara”, aby – zgodnie z procedurą dobrej praktyki morskiej – podpisać „list obciążający”; prawdziwi pracownicy morza zawsze byli i są w każdym calu i każdym momencie dżentelmenami.

W rozmowie z dowódcą „Jantara” komendant „Zawiszy” podzielił się swoją refleksją o zaistniałym przed chwilą zdarzeniu:

– Pogoda wymarzona, wiatr 0 st. B, widzialność doskonała, maszyna sprawna, statek słucha steru i nagle, ni stąd ni zowąd, dziób leci w lewo i uderza w „Jantara”, to jakieś irracjonalne zjawisko...

– Zgadzam się całkowicie – odrzekł kapitan „Jantara” – musiały zadziałać paranormalne moce, czy

jak tam je nazwać, których ingerencja spada jak grom z jasnego nieba w momencie zawsze nieodpowiednim i nieoczekiwanym. Nie zgłębiona tajemnica; jak np. pojąć taki oto przypadek: uroczystości pogrzebowe Papieża Jana Pawła II, Watykan, kaplica Sykstyńska, na trumnie otwarta Biblia, żadnych przeciągów i w pewnym momencie Święta Księga samoczynnie się zamyka?!... Również nadprzyrodzonym wydarzeniem jest to, że pański żaglowiec najechał dzisiaj na „Jantara” o godzinie 17.30... A wie pan, co wydarzyło się dokładnie co do minuty 59 lat temu?..

– ???..

– „Zawisza Czarny”, wówczas lugrotrawler „Cietrzew”, łowił śledzia na Morzu Północnym. Został uprowadzony i właśnie o godzinie 17.30 dnia 3 maja 1955 roku buntowników-porywaczy pojmano i aresztowano. Zdarzyło się to na pełnym morzu, 110 mil morskich od wschodniego wybrzeża Szkocji. Aresztantów lodołamacz „Swarożyc” dostarczył do Szczecina na Wały Chrobrego, skąd czarnymi limuzynami marki Citroen powieziono ich do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa przy ulicy Małopolskiej. Kompleks monumentalnych budynków z blokiem więziennym na zapleczu do 1945 roku należał do Gestapo. I znowu zdumiewające skojarzenie, niepojęty znak ze świata paranormalnego. Podczas dywanowych nalotów alianckie bombowce zburzyły miasto w 80%. Starówka legła w gruzach a okazał gmach opery, przylegający do siedziby Gestapo – przemieniony w pryzmę gruzu – osmalonymi kikutami ścian i stropów straszyl i przez lata nie pozwalał zapomnieć o okropnościach wojny. Ale kombinat zbrodni i oprawców bomby oszczędziły. To przykład diabelskiej intrygi, to nakaz przekazania pałeczki następcom także z piekła rodem. Podczas Konferencji Jałtańskiej (4-11.02.1945 r.), skazującej Polskę na niewolę bolszewicką, Roosevelt nachyliwszy się do Stalina zapytał konfidencko:

– Kto to? – wskazując na łysego bruneta w binoklach.

Stalin uśmiechając się szyderczo odparł:

– A... to Ławrentij Pawłowicz Beria, taki nasz Gimler...

Konferencja odbywana się w okazałej rezydencji Liwadia, wybudowanej w latach 30. XIX wieku przez hrabiego Józefa Potockiego. Zgubę Polski zatwierdzono w pałacu należącym niegdyś do polskiego arystokraty. To nie sprawa przypadku; to zamierzona, cyniczna prowokacja i kpina.

19 kwietnia 1955 roku „Cietrzew” przysposobił się do wyprawy na łowisko. Zaopatrzony w sprzęt łowny, beczki, sól, prowiant, paliwo, wodę pitną, oleje smarne, papierosy, alkohole wysokogatunkowe etc. Kierownik zaopatrzenia nie robił trudności mimo wygórowanej specyfikacji dostawczej. Nawet na twarzy pojawił się przyjazny uśmiech po trzymaniu bakszyszu w postaci 2 kartonów papierosów marki „Wawel” i 3 butelek czystej wyborowej, każda o pojemności litra, zwanych „krowami”. Prezenty owe zaliczały się do artykułów luksusowych, nieosiągalnych w sklepach PSS.

Wyjście ze Szczecina wypadło podczas paskudnej, typowo rybackiej pogody: wiatr 6/7 st. B, rzęsy deszcz, widzialność 2 mile, szybkość statku ok. 7 węzłów. Po dotarciu na Rynnę Norweska wydano sieci stawne, zwane w żargonie rybackim „fletem”. Kilka dni później okazało się, że rep (lina o długości 3 km łącząca zestaw sieci) grozi zerwaniem, a tym samym utratą sprzętu łownego. Kapitan Leszek Żmudziński powiadomił bazę, czyli „Morską Wolę”, o potrzebie wymiany repu.

Dnia 3 maja w godzinach rannych m/t „Cietrzew” zacumował do lewej burty m/a „Morska Wola”, statku o bogatej i chwalebnej przeszłości. W służbie PKH, u armatora GAŁ (Gdynia America Lines) pojawiła się wraz z siostrzaną „Stalowa Wola” w lutym 1939 roku.

Oba drobnicowce, zbudowane w 1924 roku, obsługiwały porty południowej i środkowej Ameryki. Przez okres wojny od 1939 – 1945 roku, podobnie jak 50-tka pozostałych frachtowców PMH, uczestniczyły w konwojach. Pierwszy pamiętny chrzest bojowy „Morska Wola” przeszła na grudniowym Atlantyku 1940 roku. Konwój – 37 statków – zaatakował niemiecki krążownik „Admirał Scheer”; pięć z nich poszło na dno.

Każdego dnia niemieckie uboty podstępnie atakowały konwoje, zatapiały statki czyniąc spustoszenie w systemie dostarczania materiałów wojennych dla walczącej Europy.

„Morska Wola” pod dowództwem kpt. Ż. W. Stanisława Zelwerowicza, syna Aleksandra – wielkiego aktora scen polskich, uchodziła za „lucky ship”. Na jej pokładzie w roku 1944 gen. Kazimierz Sosnkowski udał się na emigrację do Kanady, gdy na żądanie W. Churchilla utracił po wybuchu Powstania Warszawskiego stanowisko naczelnego wodza.

20 września 1945 roku m/s „Morska Wola” wraca z wojny do Gdyni pod dowództwem kpt. Ż. W. Tadeusza Szczygielskiego – popularnego we flocie znawcy gołębi pocztowych. W roku 1952, po remoncie adaptacyjnym, stała się bazą rybacką.

M/t „Cietrzew” kołysze się lekko, rep ciągnie winda ładunkowa „Morskiej Woli”, załoga rozpierzchnęła się po zakamarkach bazy. Niektórzy udali się do łaźni, inni zajęli miejsca w sali kinowej; wyświetlano film p.t. „Czapajew” gloryfikujący waleczność czerwonoarmistów podczas wojny domowej. Za chwilę puszcza „Świat się śmieje” – propagandowy gniot o radosnych kołchoźnikach. W mesie załogowej z polecenia sekretarza partii i oficera KO szkolenie ideologiczne o „chwalebnej” postaci z panteonu kanalii sowieckiego państwa – Pawce Morozowie. Zasłużył się tym, że w okresie kolektywizacji doniósł władzy na swoich rodziców, że razem z kulakami ukryli zboże, za co zostali rozstrzelani. W swojej wsi rodzinnej założył bojowy oddział komsomolski, którego zadanie polegało na odbieraniu zboża kulakom i tropieniu kontrrewolucjonistów. Gdy Stalin przeczytał o nim w „Prawdzie”, rzekł do Andreja Żdanowa:

– A to gnida.

A po chwili namysłu dodał:

– Ale pożyteczna, trzeba go rozślawić.

I w ten sposób Pawka Morozow, zero moralne, został wykreowany na patrona ruchu komsomolskiego i stał się wzorem do naśladowania dla młodzieży i obywateli, najpierw Związku Sowieckiego, a po 1945 roku PRL.

Ha mostek „Morskiej Woli” udał się Paweł, gdzie spotkał II oficera Marka Wojciechowskiego, kolegę ze Szkoły Morskiej, zajętego akurat korektą map i wydawnictw nawigacyjnych. Udostępnił stare, pamiętające czasy świetności frachtowca mapy, locje, spisy światła, już nie aktualne. Paweł zebrał cały plik pomocy nawigacyjnych obejmujących północne i zachodnie wybrzeże Szkocji, Przesmyk Pentland, wody irlandzkie, Kanał La Manche, Zatokę Biskajską.

Na pokładzie „Cietrzewia” tylko wtajemniczone cztery osoby.

Każdy wie, co ma robić. Mechanik Albert udaje się do maszyny, Janek staje przy sterze, Krzysztof dowodzi całocią. Na „Morskiej Woli” oprócz wachty kotwicznej służbę pełnią zakonspirowani ubowcy udający załogę. Są uzbrojeni. W razie potrzeby do pomocy powołują grupę ormowców (funkcjonariuszy ORMO – Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej – *przyp. red.*). „Cietrzew” musi szybko, jak najszybciej odcumować. Czas nagli, potrzeba go nie więcej niż złodziejowi do ukradzenia samochodu. W grę wchodzi sekundy, żeby zdążyć przed ewentualnym abordażem...

CDN

WIECZÓR WIGILIJNY W TRADYCJI POLSKIEJ

Polacy uchodzą za naród przywiązany do tradycji, podtrzymujący dawne obyczaje. Związek z tradycją odczuwa się najmocniej w czasie obchodów najpiękniejszego święta kościelnego – Bożego Narodzenia.

Wieczór wigilijny w tradycji polskiej jest najbardziej uroczystym i najbardziej wzruszającym wieczorem roku. Punktem kulminacyjnym przeżyć adwentowych w rodzinach chrześcijańskich jest wigilia Bożego Narodzenia. Posiada ona bardzo bogatą liturgię domową. Geneza tej liturgii sięga pierwszych wieków chrześcijaństwa. Obrzędy te i zwyczaje mają więc starą tradycję. Wigilie w ogóle znane były już w Starym Testamencie. Obchodzono je przed każdą uroczystością, a nawet przed każdym szabatem. Było to przygotowanie do odpoczynku świątecznego. Izraelici zwali je „wieczorem”.

Słowo „wigilia” pochodzi z języka łacińskiego i oznacza czuwanie. Taki był dawniej zwyczaj w Kościele, że w dniu poprzedzającym większe uroczystości obowiązywał post i wierni przez całą noc trwali na oczekiwaniu, modląc się wspólnie.

W Polsce wigilia weszła na stałe do tradycji dopiero w XVIII wieku. Głównym jej elementem jest uroczysta wieczerza złożona z postnych potraw. Wieczerza ta ma charakter ściśle rodzinny. Zaprasza się czasami na nią, oprócz krewnych, osoby mieszkające samotnie. Jednak najpierw gospodynie urządzały generalne sprzątanie, mycie, czyszczenie. W wiejskich chatach i we dworach, w czterech rogach głównej sali umieszczano cztery snopy zbóż: snop pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa, aby Boże Dziecię w Nowym Roku nie skąpiło nieodzownego pokarmu człowiekowi i bydłu. Stół był przykryty białym obrusem, przypominającym ołtarz i pieluszki Pana, a pod nim kładło się siano będące przypomnieniem sianka, na którym spoczywało Boże Dziecię. Zwyczajem było również, że cały dzień obowiązywał post ścisły. Także w czasie wigilii podawano tylko potrawy postne, w liczbie nieparzystej, ale tak różnorodne, by były wszystkie potrawy, jakie się zwykło podawać w ciągu roku.

Znany i powszechny jest obecnie w Polsce zwyczaj pozostawiania wolnego miejsca przy stole wigilijnym. Miejsce to przeznaczone bywa przede wszystkim dla przygodnego gościa. Pozostawiając wolne miejsce przy stole wyrażamy również pamięć o naszych bliskich, którzy nie mogą świąt spędzić razem z nami. Miejsce to może również symbolizować zmarłego członka rodziny. W Polsce wieczerza wigilijna rozpoczynała się, gdy na niebie ukazała się pierwsza gwiazda. Czyniono tak na pamiątkę gwiazdy betlejemskiej, którą – według

Ewangelisty św. Mateusza – ujrzeni Mędrcy, zwani też Trzema Królami.

Do tradycji wigilijnej należy, aby do stołu zasiadała parzysta liczba osób. Nieparzysta zaś ilość uczestników miała wróżyć dla jednego z nich nieszczęście. Najbardziej unikano liczby 13. Feralna 13 bierze swój początek od Ostatniej Wieczerzy, kiedy to jako 13 biesiadnik przybył Judasz Iskariota. Jeśli ilość biesiadników była nieparzysta, wówczas w bogatszych lub szlacheckich domach zapraszano do stołu kogoś ze służby, w biedniejszych domach jakiegoś żebraka.

Najważniejszym i kulminacyjnym momentem wieczerzy wigilijnej w Polsce jest zwyczaj łamania się opłatkiem. Czynność ta następuje po przeczytaniu Ewangelii o Narodzeniu Pańskim i złożeniu życzeń. Tradycja ta pochodzi od prastarego zwyczaju tzw. eulogiów, jaki zachował się z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wieczerza wigilijna nawiązuje do uczt pierwszych chrześcijan, organizowanych na pamiątkę Ostatniej Wieczerzy. Zwyczaj ten oznacza również wzajemne poświęcenie się jednych dla drugich i uczy, że należy podzielić się nawet ostatnim kawałkiem chleba. Składamy sobie życzenia pomyślności i wybaczymy urazy.

Według tradycji ilość potraw wigilijnych powinna być nieparzysta. Aleksander Bruckner w słowniku etymologicznym języka polskiego podaje, że wieczerza chłopska składała się z pięciu lub siedmiu potraw, szlachecka z dziewięciu, a u arystokracji z jedenastu. Wyjaśnienia tego wymogu były różne: 7 – jako siedem dni tygodnia, 9 – na cześć dziewięciu chórów anielskich itp. Dopuszczalna była ilość 12 potraw – na cześć dwunastu apostołów.

Nieparzysta ilość potraw miała zapewnić urodzaj lub dobrą pracę w przyszłym roku. Potrawy powinny zawierać wszystkie płody rolne, aby obrodziły w następnym roku. Należało także skosztować wszystkich potraw, żeby nie zabrakło którejś z nich podczas następnej wieczerzy wigilijnej.

Innym zwyczajem wprowadzonym i upowszechnionym przez Kościół są odwiedziny parafian w okresie świąt Bożego Narodzenia składane przez proboszcza lub księży z parafii. Przynoszą oni dobrą nowinę, święcą i błogosławią dom oraz jego mieszkańców, w zamian zaś otrzymują symboliczną ofiarę nazywaną dawniej kolędą.

Pieśni-kolędy stanowią cenny skarb w naszym dziedzictwie kulturowym. W okresie Bożego



Narodzenia, a szczególnie w wieczór wigilijny, radują serca Polaków, pogłębiają więź rodzinną i narodową.

Jest jedna kolęda śpiewana przez wszystkie chrześcijańskie narody świata. Jest to „Cicha noc”. Tę najsłynniejszą kolędę świata przetłumaczono na różne języki. „Cicha noc” powstała w roku 1818 w małym austriackim miasteczku w Alpach. Jej autorami byli wikary miejscowego kościoła ks. Józef Mohr oraz jego organista Franz Gruber.

W wigilijny, mroźny wieczór 1818 roku, wysoko w austriackich Alpach ksiądz Józef Mohr przygotowywał kazanie. Jakaś kobieta powiadomiła go, że żona węglarza, najbiedniejszego we wsi, urodziła dziecko. Młoda mama nie czuła się dobrze i prosiła księdza, aby ochrzcił maleństwo i udzielił jej Komunii. Ksiądz ubrał się ciepło, zabrał wiatyk i poszedł. Ujrzał scenę jak z Ewangelii. Na prostym, byle jak zbitym posłaniu leżała uśmiechnięta matka, tuląca śpiące niemowlę. Warunki niemal jak w Betlejem, a miłość wieśniaczki równie gorąca jak miłość Maryi. Zaraz po powrocie do domu ksiądz Mohr, pod wrażeniem sceny z domu węglarza, napisał słowa tej najpopularniejszej kolędy świata.

W prastarej polskiej tradycji jest zwyczaj śpiewania kolęd i pastorałek po uroczystej kolacji wigilijnej. Rokrocznie o północy odprawiana jest Pasterka. Msza ta ma niezwykle urok, który tworzą m.in. melodie starych polskich kolęd.

Współczesność przyniosła bardzo dużą ilość kompozycji. Prawie każdy kompozytor chóralnej muzyki kościelnej tworzy nowe kolędy i pastorałki. Forma muzyczna kolęd jest bardzo różnorodna: jedne są uroczystymi hymnami lub też chorałami, inne marszami lub tanecznymi polonezami, często mają rytmy mazurka lub krakowiaka. Ale bez względu na formę wszystkie są wyrazem radości Świąt Bożego Narodzenia.

Drodzy Czytelnicy „Krynicy! Niech Nowonarodzona Boża Dziecina będzie dla każdego z Was światłem w mroku codzienności i radosnym śpiewem w każdej duszy. Niech obdarzy wszystkich pogodnymi i radosnymi Świętami, a w Nowym Roku – szczęściem i dostatkiem.

Wiktoria WACHOWSKA

DZIŚ NARODZIŁ SIĘ NAM ZBAWICIEL!

Czas Adwentu, czas oczekiwania na przyjście Pana dobiegł końca.

Wigilia! Stół nakryty białym obrusem, sianko, żłóbek, a w nim: figurka Bożej Dzieciny, świeczka, opłatek, Księga Ewangelii, choinka – kiedyś zwana „drzewkiem”. Przy stole jedno wolne miejsce – dla kogo?.. Dla nieobecnego...

Oczekiwanie! Na niebie pierwsza gwiazdka. Zaczyna się wigilijna wieczerza. Głowa rodziny czyta wersety z Ewangelii o narodzeniu „Dzieciątka”, Syna Bożego z Maryi Dziewicy w ubogiej stajence betlejemskiej. Wspólna modlitwa, wzajemne życzenia, dzielenie się opłatkiem, czyli chlebem i dobrem. A skoro dobrem – to miłością... Bo *„jest taki dzień, bardzo ciepły choć grudniowy...”*. Jest taki jeden jedyny w roku wieczór, wyjątkowy, święty, cichy, przejmujący, pełen śpiewu kolęd i pastorałek. A o północy: „Pasterka”. Najświętsza Eucharystia odprawiana na pamiątkę narodzenia Pana Jezusa, Przedwiecznego Syna Boga Ojca! *„Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi, wstanie pasterze, Bóg się wam rodzi”*. To słowami tej kolędy zaczyna się „Pasterka”. To podczas tej Mszy świętej od ponad dwóch tysięcy lat jakby na nowo rodzi się Pan Jezus, Boża Dziecina! Pomyśl, ile to już razy ten Zbawiciel rodził się w twoim życiu? 10, 20, 40, 60, 80, i więcej.

Jeśli wierzysz, to każdego roku pod koniec grudnia w święta Bożego Narodzenia w twoim sercu i w twojej duszy rodzi się na nowo ON, Jezus Chrystus, nasz Pan i Zbawiciel, ten sam od wieków i tak samo jak wtedy, w stajence betlejemskiej. Wierzysz w to? Czujesz? Jesteś pewien, że to właśnie ON? Jeśli tak, to Bogu niech będą dzięki. Zapytaj wówczas sam siebie, czy w głębi serca i duszy jesteś na to Jego narodzenie przygotowany?.. Bo to *„Chrystus dziś się rodzi”*. Niech więc właśnie dziś rodzi się w tobie!

Przygotuj dla NIEGO swoje serce, przyjmij GO w Sakramencie Eucharystii i powiedz, ale tak szczerze, z wiarą: *„Kocham Cię Panie Jezu”*. *„Kocham Cię Dzieciątko Boże”*. I zaśpiewaj MU kolędę *„Nie było miejsca dla Ciebie...”*.

Jak to możliwe? Czy tak być mogło? Tu warto zacytować słowa Wędrowca z tekstu jasełek: *„Nie było miejsca dla Niego... W moim życiu, w moim sercu, w mej duszy... Ach, młodość moja minęła, coż me serce skruszy?...”*. Refleksja... zamyślenie... I ten biedny Wędrowiec pada na kolana przed żłóbkiem, ze łzami w oczach, w skrusze i błagalnym głosem mówi: *„Przebacz Jezu! Przebacz Panie! Miej nade mną zmiłowanie... Jam niegodny Twojej Łaski... Lecz Ty Boże malusieńki... Ty mnie wiodłeś do stajenki...”*

Tu, gdzie Najświętsza Panienka, św. Józef i bydlęta... Boże Dziecię! To jest szczęście na tym świecie. Jezu! Tobie serce swe oddaję! Ciebie przed całym światem wyznaję!”.

Ile jest w tej scenie z jasełek skruchy, żalu, uwielbienia, radości. To tu, przed Bożą Dzieciną, człowiek odnajduje szczęście, sens życia, wiarę. Przecież ty też tak potrafisz, umiesz i możesz. Potrzeba ci tylko gestu odwagi i wiary, abyś mógł to wyznać przed każdym człowiekiem, przed Bogiem. I nie trzeba, byś wędrował przez pustynię tak, jak Trzej Królowie, albo patrzył w gwiazdy, jak patrzyli pasterze. W jednej małej chwili przez Sakrament Pojednania i Eucharystii ON – twój Pan i Bóg przychodzi do ciebie; wystarczy, żebyś wyszedł MU na spotkanie. Potrzeba tylko wierzyć i chcieć. Widzisz jakie to proste?.. Tak, bo: *„Bóg narodził się w betlejemskim żłobie, lecz biada, jeśli nie narodził się w tobie”* – pisał jeden z dawnych poetów naszych. Masz szansę, okazję, dają ci ją święta Bożego Narodzenia, cały ich okres. Dają kolędy i kolędowanie. Daje ci taką szansę Boże Dziecię. Skorzystaj z niej, bo ci ją daje sam Bóg!

Jest w Bożym Narodzeniu owa wielka tajemnica Bożej Miłości, która pełnię czasu ukaże nam na krzyżu a dopełni Zmartwychwstanie. Każdy z nas ma tę swoją pełnię czasu, tę swoją pustynię do przebycia i gwiazdę do odkrycia, więc warto podjąć wędrowkę, póki masz jeszcze czas. Życie i doświadczenia ludzi cierpiących, chorych, samotnych, niepełnosprawnych dają nam tego najlepsze przykłady. Pomimo udręk, cierpień cielesnych i duchowych, łącząc swoje cierpienia z Chrystusem doznają ulgi i szczęścia. Mówią, że *„im większe jest moje cierpienie, tym lżejszy jest krzyż mojego Boga!”* Nie jesteś sam, bo jeśli tylko chcesz będziesz z tobą Chrystus. Dowód? Proszę bardzo! Widziałeś jak cierpiał i umierał Ojciec Święty JAN PAWEŁ II – głowa Kościoła, o którym mówiono *„TU ES PETRUS”*. Zastępca Chrystusa na ziemi, a dzisiaj ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II. Widziałeś, z jaką godnością, wiarą, oddaniem i zawierzeniem to czynił. A wiesz dlaczego? Bo w Jego sercu, duszy, w Jego posłudze Kościołowi codziennie na nowo rodził się Chrystus! Całe jego życie było wypełnione codziennym Bożym Narodzeniem: od początku i aż po ostatnie tchnienie. A jeżeli Boże Narodzenie, to i Maryja – Matka Jezusa i nasza Matka. To w biskupim herbie Świętego Jana Pawła II były słowa: *„TOTUS TUUS”*. Tak, w całe jego życie wpisało się Boże Narodzenie i Maryja – Matka Boga!

...Boże Narodzenie. Jasełka. Piękna tradycja wystawiania na scenie wg różnych inscenizacji widowisk o Bożym Narodzeniu. Potrzeba przeżycia i przypomnienia



tego, co wydarzyło się ponad 2000 lat temu. Misterium Bożego Narodzenia...

Każde przedstawienie to duchowe przeżycia a udział w takim widowisku to oddanie pokłonu, czci i uwielbienia Bożej Dziecinie. A zarazem modlitwa. I aktora, i widza. I nie ma znaczenia, czy widowisko jest wystawiane przez małą grupkę dzieci, czy przez doświadczony scenicznie zespół.

Jasłeczka są nieodłącznym elementem obchodów świąt Bożego Narodzenia, tak samo jak kolędnicy wędrujący od domu do domu, od zagrody do zagrody. Czy wyobrażacie sobie Boże Narodzenie bez wigilijnej, która tak ściśle wpisana jest w polską tradycję? Tak samo można zapytać o kolędowanie i jasełka. I jedno i drugie jest wpisane w tradycję i duchowość narodu.

Każdy człowiek ma swój własny sposób przeżywania świąt Bożego Narodzenia. Mają go zwłaszcza, a może przede wszystkim, ludzie chorzy, cierpiący, samotni. I nie ma znaczenia, gdzie te święta przeżywają. Szpital, Dom Opieki, odosobnienie, własne mieszkanie. Wszędzie, w każdym miejscu, w którym taki człowiek przebywa, przeżywa on Boże Narodzenie. Często doświadczany ogromem bólu i cierpienia, wśród obcych ludzi, ale tak samo chorych i samotnych, dzieli się opłatkiem, życzeniami, kolędą, chwilą refleksji, choć czasem śpiewa tylko dusza... Bo to też jest każdego z nich, każdego z nas, a może także i moje własne i po mojemu rozumiane Boże Narodzenie. W takich chwilach i w takich miejscach też rodzi się Bóg. Słowo Ciałem się staje! Proszę, nie miej wątpliwości! Pomyśl, jak gdzieś daleko, na obczyźnie, na

wygnaniu, zesłaniu, w obozie koncentracyjnym też rodził się Bóg! I tam też było Boże Narodzenie! Była Pasterka, Eucharystia, nawet szopka. I tak już od ponad XX wieków Bóg się rodzi w człowieku... Dojrzyj dobro, którym w te radosne święta Bożego Narodzenia wzajemnie obdarzają się ludzie, często obcy, spotkani na ulicy, w podróży. Obdarzają się dobrem, bo są to święta wielkiej dobroci, święta wielkiej miłości Boga do człowieka. Bo aby odkupić człowieka, Bóg Ojciec, za sprawą Ducha Świętego, poprzez narodzenie z Maryi Dziewicy daje nam Syna swojego jednorodzonego, daje nam miłość, swoją miłość, i zbawienie. Przychodzi na świat Bóg-Człowiek, Mesjasz Pan. Syn Boży przychodzi na świat, aby nas zbawić! Wielka to tajemnica Przedwiecznej Mądrości. Nam, którzy jesteśmy grzeszni, Bóg daje Zbawiciela, abyśmy mogli stać się dziećmi Bożymi. Tak działa Miłość Boga! Doświadczenia życia każdego z nas mówią nam o tej Prawdzie, pozwalają Ją poznać i zrozumieć.

„Maleńka cicha Stajenka licha, pełna niebieskiej chwały, oto leżący...”. Słowa jednej z wielu polskich kolęd. W sercu i duszy każdego z nas jest takie miejsce, gdzie znajduje się ta „maleńka cicha i licha stajenka” a w niej źłóbek i leżący w nim Jezusek mały. Na pewno to wiesz i czujesz... Bo inaczej nie celebrowałbyś świąt Bożego Narodzenia. Nie byłoby w twoim sercu miejsca dla Nowonarodzonego...

Podejdź więc w czasie świąt Bożego Narodzenia do stajenki, do szopki w twoim kościele. Podejdź do Jezusa i z Jezusem w sercu i oddaj pokłon Bożej Dziecinie tak, jak

zrobili to ubodzy pasterze i Trzej Królowie. Ukłęknij, pochyl czoło, bo tam, w żłóbku na sianie, leży Bóg! Twój Bóg! Twój Zbawiciel! Mesjasz Pan! Spójrz, jakie to proste pięknie przeżywać Boże Narodzenie! Przeżywać z wiarą i miłością...

„*Gloria in excelsis Deo*”! Tak śpiewały chóry anielskie nad stajenką, nad Betlejem w tę świętą noc, gdy Bóg się rodził. Zaśpiewaj więc i ty z radością w sercu, zaśpiewaj to tak piękne i wielkie „*Gloria*”... Zaśpiewaj na chwałę Bożej Dziecinie!..

„*Pójdźmy wszyscy do stajenki*”. Tylko na pewno wszyscy, wszak idziemy do Niego, do Jezusa, do Bożej Dziecininy, do Boga, który stał się człowiekiem. Dla nas. I do Najświętszej Panienki! Pójdźmy jak poszli pasterze, gdy Anioł im ogłosił Wesołą Nowinę...Więc idź. Idź i ty...

Do Szopy!.. Do Szopy!.. Żeby ogrzać ręce...

Z darami!.. Z darami!... By odtajało serce...

Idź... I głos wieść o tym, gdzie narodził się Bóg! I pokaż to miejsce każdemu, prowadź tam każdego, aby było was wielu. Bardzo wielu. I zaśpiewajcie razem kolędę: „*Z Nieba wysokiego Bóg zstąpił na ziemię*”. I jeszcze poproście: „*Podnieś rękę, Boże Dziecię! Błogosław Ojczyznę miłą!*”. Błogosław nam wszystkim. „*Bo raz w roku niebo się otwiera i schodzi do nas Chrystus Pan. Czekają na niego cała ziemia, tej nocy nikt nie będzie sam...*”

Radosnych Świąt Bożego Narodzenia! Szczęśliwego Nowego Roku!

Józef MROCZEK

Bieliny

Mieczysław A. Łyp

NOKTURN WIGILIJNY

Nie zgubiłem Matko
światła drzewka świerkowego
i tamtych świętych chwil
wspólnej obecności
nas wszystkich

Nie zgubiłem Matko
nawet
zapachu tamtych gałązek
starannie prostowanych przez Ojca

I chociaż rzeźbię świat
nie w lipowym drewnie
a w słowie
nie zgubiłem Matko
Twojego zatroskania
podobnego do frasunku matki
z poematu Gałczyńskiego
o Wicie Stwoszu

I bywa tak jak u Konstantego
W ten biały zmierzch

„*serca drżą uroczyscie
jak na drzewie przy liściach liście*”

Jak wtedy – tak i teraz
niech nasz dom
jak w baśni Andersena
gubi się w coraz większych
płatkach śniegu

I niech
następni z następnych
niosą blask Gwiazdy
w coraz czarniejszą noc
i niech uda się im
na rozstajnych drogach
w śnieżnej zamieci
zgubić trwogę świata
obawę niepokoju
i ludzki lęk

Niech noc Wigilii
zastygła w ciszy ulicą
białą dałą białym polem
białym sadem
i rozkołysaną kolędą
przyniesie nam
świt malowany gołęmbim lotem

Marek Petrykowski

NA ZIMOWYM ŚWIECZNIKU

Śniegowe płatki
zasypiają w dłoniach świerków
Rano zabłysną
na szpiczastych paznokciach sopli

Zapalmy świeczki w wigilię
na końcach palców
będą się aniołowie ogrzewać
przy świątecznym stole
łamiąc opłatki z furkotem

Józef Skrzek

NIE GODNIŚMY PANIE

Nie godniśmy, Panie, stanąć między króle i pasterze
Darów Ci nie przynosimy, złota, kadzidła, ni mirry,
Jeno z polskiej mąki opłatek bieluški.
Podziel go między nami Panie nasz maluški.

I spraw byśmy choć w tej jednej chwili,
Kłęcząc w zimnej stajence,
Ludzkim głosem przemówili.



Jerzy Drzewi

LEGENDY LIPSKIE

(cz.I)

Kilka słów na początek

Kuchnia w starym wiejskim domu z bali, tonąca w półmroku naftowej lampy, która oświetla tylko to, co ma oświetlać i tak fajnie swojsko pachnie. Kąty kuchni schowane w cieniu. Czają się z nich duchy przodków, słuchając opowieści domowników i gości siedzących przy stole. W „grubce” trzaskają drwa świerkowe. Przy kuchni stoi stara beczka z kiszoną kapustą. Na zapiecku mruczy kot, śniąc o słońcu lata. Za oknem dmucha wiatr, tnąc śniegiem po małych oknach uszczelnionych watą, na której ułożono bańki z choinki. Na ścianie długie cienie ludzkie. Opowiadają o zasłyszanych legendach, które ktoś komuś gdzieś mówił, albo sam przeżył.

Tak zapamiętałem Lipę mojego dzieciństwa u dziadków. Zawsze pełno ludzi, pełno opowiadań o sprawach dnia powszedniego, czasami słychać było legendy. Ja zaś, siedząc pod stołem, wystawiałem swoje długie uszy i zakładałem okulary wyobraźni na duszę. Nigdy już potem nie wciągały mnie żadne opowieści, tak jak te w tej izbie, gdzie nie było radia, telewizora ani komputera. Nigdy też nie pomyślałem, że odważyć się to spisać i upublicznić. Proste i prząsne historyjki, tak jak proste i prząsne było życie lipiaków tamtych lat.

Abyście zrozumieli te historie, musicie jak ja założyć okulary wyobraźni. Ten świat już nie istnieje. Chciałbym, żeby poprzez te dwadzieścia jeden opowiadań chociaż jego odrobina została z nami. Tutaj opowiadam o Lipie, lecz takie historyjki mogły się wydarzyć w każdej polskiej wsi tamtych lat. Mam zatem nadzieję, że każdy znajdzie tu coś dla siebie.

W powstanie tej książeczki zaangażowała się Pani Barbara Bazińska, która dodała opowiadania zasłyszane od ś.p. Marii Chwałek, Genowefy Bazińskiej i Janiny Ziółkowskiej. Składam Jej za to serdeczne podziękowanie.

Jerzy DRZEWI

SZEŚĆ NASION

Ziemia nasza lipska jest matką dla wszystkich tu urodzonych mieszkających i jakkolwiek z nią związanych. Biedna, nieurodzajna, ale szczodra i dobra. Pachnący las, gorący piach, śpiew ptaków, zapach

żywicy, cisza i spokój. To jest nasz skarb. Ta ziemia mówi każdą porą dnia i roku. Tu jest pięknie nawet w listopadzie, gdy mgła, szaruga i wiatr. Trzeba tylko chcieć to zobaczyć.

Piękno naszych lasów lipskich jest niepowtarzalne. Zwiedziłem pół świata, ale tu zawsze byłem u siebie. Skąd wziął się ten las? Jest taka legenda. Posłuchajcie zatem.

Działo się to w czasie, gdy na tych terenach był step z trawą wysoką i wydmami piachu, które wiatr przeganiał z miejsca na miejsce. Susza zaczynała się na wiosnę i kończyła powodzią jesienną. Nic tu nie rosło i nie żyło z wyjątkiem grupy chłopów, którzy osiedli w miejscu dzisiejszej Lipy. Żyli swoim życiem w ziemniakach, bo nie było z czego chałupy sklecić. Bieda, głód i zimno było w nadmiarze i można było to paczkować i sprzedawać, lecz nikt nie chciał tego brać.

Aby nie zginać z głodu, mężczyźni wynajmowali się do ziemianstwa za parobków. Najczęściej w okolicach Potoka. Jak szli wiosną, wracali jesienią, zaglądając raz lub dwa w lecie. Przynosili ze sobą dwa worki ziemniaków, worek żyta i to była zapłata. Jeżeli gospodarz był litościwy, coś tam dorzucił.

Pewnego razu jeden z chłopów, będący na wiosnę w parobkach, dostał wiadomość, że jedno z jego dzieci umarło. Jak to zazwyczaj bywa – to najbardziej lubiane. Uprosił zatem gospodarza, u którego pracował, aby ten pozwolił mu pójść do domu i pochować dziecko. Gospodarz był dobrym człowiekiem. Dał chłopu na drogę worek ziemniaków, woreczek mąki jak i jeden podpełomyk. Smutny ojciec wracał pieszo z Potoka, ale w połowie drogi poczuł zmęczenie, usiadł pod dziką gruszką i zasnął.

Gdy się obudził, obok niego siedział biednie ubrany nieznajomy. Widać było, że szmat drogi ma za sobą. Aż podskoczył parobek ze strachu patrząc, czy wszystko co dostał jest na swoim miejscu.

Nieznajomy odwrócił wzrok i patrzył przed siebie. Chłop wydobył placek, podzielił na pół i podał nieznajomemu.

– Niczym więcej was nie uraczę – rzekł podając połowę nieznajomemu.

– Wiem o tym, jak i wiem, skąd idziesz i po co – powiedział nieznajomy.

– Od kogo? Byliście u mnie?



Nieznajomy nic nie odpowiedział. Jedli w milczeniu.

Chłop zastanawiał się jak dalej rozmowę prowadzić, gdy nieznajomy spytał:

– Mam dla ciebie propozycję. Jeżeli oddasz mi swoje worki, które niesiesz, dam ci coś w zamian.

– Co?

Nieznajomy wyjął z kieszeni sześć nasion i rzekł:

– To dostaniesz.

– A szlak by was trafił. Za worek ziemniaków i mąki parę parszywych nasion? Przecież wiecie, że na naszej ziemi brat brata nie urodzi, nic nie urośnie poza dziką trawą, która natychmiast usycha, bo susza.

– Twoja sprawa. Jak chcesz.

Chłop zerwał się z ziemi, wziął worki i szybko ruszył do domu klnąc pod nosem na dziada, który chciał go oszukać. Jeszcze się tylko obejrzał zza pleców krzywo.

– Zara, zara – pomyślał po dwóch zdrowskach drogi. Przystanął.

– Coś tu nie jest w porządku. Fakt, że dziad chce mi dać parę nasion, a ja mam prawie dwa worki. Worek kartofli i mąki. Tylko dlaczego on mi tego nie ukradł gdy spałem? Przecież nawet nie wiedziałbym kiedy. Dlaczego on daje mi te marne parę nasion? Co się za tym kryje?

Powoli zaczął wracać.

– Nie wiem czy jest? Może poszedł? Tylko zapytam.

Z daleka zobaczył nieznajomego, jak siedział w tym samym miejscu pod samotną gruszką. Podeszedł nieśmiało.

– Chciałem spytać, dlaczego nie ukradliście mi worków, jak spałem? Nieznajomy siedział bez słowa. Chłop stał i nie wiedział, co począć.

– Wiedziałem, że wrócisz, jako i wiem, że zostawiłeś rodzinę na pastwę złego losu, samemu idąc na zarobek. Wiem również, że dziecko twoje umarło i to, że żona ma o to do ciebie pretensje. Mówi, że gdybyś był, dziecko by żyło. Nieprawda – nic byś nie pomógł. Czeka ciebie i rodzinę bardzo ciężki czas, ale masz pamiętać o moich słowach. Pytam zatem raz jeszcze, czy dasz mi swoje worki?

– Tak. Tylko nie wiem, co mam zrobić z tymi nasionami co mi je dacie?

– O to się nie martw. Powiadam ci, że już nigdy nie będziesz musiał opuszczać rodziny za chlebem. Głodem nie przymarzesz i zimno ci nie będzie, a żołnierze moi będą strzegli twego obejścia. Mnie zaś będziesz widział wszędzie gdzie nie spojrzysz.

Chłop wziął sześć nasion do kieszeni, pożegnał się i poszedł do domu. Tam zastał rozpacz po śmierci dziecka. Żona nawet nie pytała, czy coś przyniósł. Na drugi dzień pochowali dziecko i przypomniał sobie o nasionach. Włożył rękę do kieszeni, a tu nasion ani śladu. Palec sterczał z kieszeni parcianych spodni przez dziurę.

– No tak. Nie dość, że postradałem worki, to jeszcze nasiona zgubiłem – pomyślał.

Za dwa dni dostał wiadomość od gospodarza, u którego pracował, aby w tym roku nie przychodził do roboty. Śmierć głodowa zaczęła sobie torować do nich drogę. Gdzieś tam w głowie tłukły się słowa nieznanego:

– Już nigdy nie będziesz musiał opuszczać rodziny za chlebem. Głodem nie przymrzesz i zimno ci nie będzie, a żołnierze moi będą strzegli twego obejścia. Mnie zaś będziesz widział wszędzie gdzie nie spojrzysz.

Upłynęło parę miesięcy. Ludzie zaczęli opowiadać, że jakieś wcześniej niewidziane chwasty czy drzewka wyrastają przy drodze do Potoka. Poczuli zrywać gałązki i – pokazując sobie – sumitowali, skąd się to wzięło. Nadawali im swoje nazwy i tak powstała sosna, potem ktoś przyniósł gałązkę, którą nazwano świerk, inne jałowiec, brzoza, jodła, dąb. Już niektórzy próbowali tym ogień palić, narzędzia dłubać, chałupiny kleić. Powoli ziemia zaczęła być dłużej wilgotna, bo wiatr stepowy jej nie wysuszał. W końcu znalazły tu schronienie zwierzęta i ptaki, a na polankach rozmnażały się jagody i borówki.

Ludzie zaczęli czerpać z lasu to, co było konieczne do życia. Nazwali to lasem lipskim, bo tu się narodził za worek ziemniaków i mąki. Chłop lipski, co wracał z Potoka, gdy wychodził na próg swej nowej chałupy, widział strzelistych żołnierzy stojących wyniośle i dumnie na straży jego podwórka. Podczas wiatru chroniły strzechę, podczas słońca dawały cień. Gdy zaś przyszła zima i była pełnia księżyca, przez gałązki bezlistnej brzozy widział wpatrzoną w niego twarz nieznanego, która zdawała się mówić:

– Ja wszystko wiem.

Podobno teraz, gdy w grudniu wpatrzysz się w księżyc, przez gałązki brzozy widać tę twarz. Podobno mówi:

– Ja wszystko wiem.

Sprawdź.

MICHAŁ

Było to dawno temu, bardzo dawno temu. Dziś już najstarsi mieszkańcy Lipy tę historię mało pamiętają. Żył tam, jak na ówczesne czasy, bardzo bogaty chłop. Bogactwo jego to dwa piękne konie. Końmi tymi jeździł nie tylko do Rozwadowa, ale i do Lublina. Kiedy trzeba było załatwić jakieś sprawy w wojewódzkim mieście, Michał, bo tak miał na imię ten chłop, siadał na furę i jechał.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Rybacy z pobliskich stawów zwrócili się do Michała, aby zawiózł ich do Lublina, do starego Żyda Icka, z którym od dawna handlowali rybami. Michał, chłop uczynny, pragnący

zarobić trochę grosza, bardzo chętnie przystał na ich propozycję. Wczesnym rankiem wsiadł na swoje sanie i wyruszył w podróż.

Sprzedaż ryb zajęła mu trochę czasu. Icek targował się, chciał zamiast pieniędzy dać od siebie jakiś towar. Ale Michał, chłop bardzo rozsądny, wołał pieniądze. Zresztą, rybacy wyraźnie mu powiedzieli, by ryby sprzedał.

Było już po południu, kiedy wyruszył w drogę powrotną. Gdy dotarł do Zaklikowa, była już dość późna noc. Mróz był tęgi, śnieg skrzypiał pod płozami sań. Michał popędzał swoje konie, chciał jak najszybciej być już w domu. Kiedy minął Łysaków, był bardzo zadowolony, bo jeszcze pół godziny i na skróty przez Gielnię dotrze do Lipy. Właśnie minął pierwszą smugę, gdy usłyszał gwizd pociągu jadącego od Lublina.

Poczuł jakiś dziwny strach. Tyle dziwnych rzeczy słyszał o tym mostku. Zaciął batem konie, chciał jak najszybciej minąć to miejsce. Miał jakieś sto metrów do mostka, na niebo wypłynął księżyc, a konie zaczęły parskać i zwolniły bieg. W miarę zbliżania się do mostka, coraz bardziej parskaly. Widać było, że opadają z sił.

Michał bardzo się zdenerwował. Oblediał go strach, batem świsnął nad zadami koni. Nic to nie pomogło. Konie stanęły w miejscu, parskaly, zaczęły wierzcąc kopytami.

– Do diabła! Co się dzieje! – zaklął chłop.

Spojrzał na sanie, a tam siedzi trzech mężczyzn z fajkami w ustach, ubranych w czarne kapoty i kapelusze.

– A wy co tu robicie? Fora mi z sań! Konie zmęczone, nie mogą już ciągnąć – krzyknął do nich.

Mężczyźni nawet nie zwrócili na niego uwagi. Wówczas świsnął batem nad ich głowami, aż jednemu spadł kapelusz. W tym momencie ujrzał na jego głowie rogi i ogromnie się wystraszył. Krzyknął. Przypomniawszy sobie, jak jego staruszka matka mówiła, gdy był dzieckiem, że w takim momencie trzeba wzywać Matkę Boską.

– Maryjo, Matko! Ratuj! – wrzasnął z całej siły jak tylko mógł najgłośniejsze.

W powietrzu rozległ się szum, jakby nadciągał wichur, a z sań zniknęli panowie. Wszystkie konie



spokojnie stały, czekając na komendę „wio”! Michał wsiał na sanie i zdawało mu się, iż drogę z Łysakowa do Lipy przebył w pięć minut.

Historię tę jeszcze długo opowiadał w zimowe wieczory. Aż kiedyś jeden z biesiadników weselnych w Lipie wspomniał, że, jadąc z Łysakowa na rowerze, poczuł, jakby coś nagle rower obciążyło. Chłop przystanął i zobaczył, że na bagażniku siedzi jegomość w kapeluszu.

– A skąd ty się wziął! – krzyknął. – Idź do diabła, takeś mnie przestraszył.

Jegomość zszedł z roweru, zdjął kapelusz i rzekł:

– Jako se panocku zyciecie.

I tyle go było widać.

Wielokrotnie jeszcze zdarzały się takie cuda, aż ludzie uradzili postawić krzyż przy rozwidleniu dróg na Łysaków i Maliniec. Strachy ustały, lecz ponoć jak ktoś ma dobry wzrok, to w gęstwinie może ujrzeć czającego się pana w czarnym cylindrze. I rada: nie zapuszczajcie się tam, gdy wieje. Bo toto ośmiela złego do pokazania się. A nie każdy ma mocne nerwy.

PRZEMYTNIK

W czasach gdy Lipa była wsią graniczną imperium carskiego i monarchii Austro-Węgierskiej, niektórzy nasi mieszkańcy trudnili się przeprowadzaniem ludzi na stronę austriacką, bo tam był wolny świat i „można było jechać do Ameryki” – jak mawiali. Nie było to proste zajęcie, ale dawało pewne korzyści materialne.

Jeden z przemytników przeprowadził troje ludzi do Rzeczycy Okrągłej. U umówionego gospodarza czekał już łącznik, aby poprowadzić ich dalej do Rozwadowa. Odebrał ustalone wynagrodzenie, pożegnał się i ruszył w drogę powrotną. Była ciemna noc i mgła zasnuła smugi. Podszedł pod granicę w Koziełkach i czekał na strażnika Żółtego, aby rozliczyć się i pogwarzyć starym zwyczajem. Żółty był na kordonie kilka lat i pochodził gdzieś zza Uralu. Miał żółtą skórę i tak go nazywali.

Po kilku minutach czekania usłyszał, jak ścieżką graniczną ktoś idzie. Poznał strażnika. Żółty spytał, jak poszło?

– Dobrze – odparł chłop.

Wypłacił mu należny sztraf i usiedli. Wszyscy ruscy chcieli rozmawiać jak najdłużej, bo się im nużyło na służbie, a z dala od rodziny zawsze to jakieś urozmaicenie codzienności. Usiedli na skarpie i opowiadali, co tam u którego słychać.

Chłop wyjął litrówkę samogonu – jak nakazuje tradycja, wypili po sztaganie i resztę dał żołnierzowi dla chłopów na Brodach. Był to uświęcony zwyczaj, którego nikt nie miał prawa złamać. Wódka zaczęła działać i rozmowa szła gładko. Żółtego zebrało na żal za domem i



Jerzy Witold DRZEWI rocznik 1960.

Z zawodu projektant konstrukcji budowlanych prowadzący swoje biuro projektowe „Projekt – Service” w Lipie na Podkarpaciu.

Przygoda z pisaniem zaczęła się od poradnika budowlanego „Jak zbudować, ale się nie zrujnować”. W 2009 r. ukazało się I a w 2014 r. II wydanie rozszerzone. Jako autor idei budowy uzdrowiska Lipa-Zdrój (na bazie występujących tam wód mineralnych siarkawych o wysokich walorach leczniczych), mając na uwadze rozstawienie Lipy wydał następujące opowiadania:

„*Legends Lipskie*” – legendy ludowe wsi Lipa (2011 r.);

„*Opowieści Lasów Lipskich*” – jako II część „*Legend Lipskich*” (2012 r.);

„*Rozdroże*” – opowiadanie historyczne o Lipie przed drugą wojną światową (2012 r.);

„*Biały nietoperz*” – tragiczna historia miłośna żołnierza na poligonie Lipa (2013 r.);

„*Die Jagd Polowanie*” – o pacyfikacji wsi Goliszowiec (2014 r.).

Obecnie powstaje pozycja pod roboczym tytułem „*Dziedzictwo*” mówiąca o drodze, jaką przeszedł jeden z wielu ludzi zaczynających i prowadzących działalność gospodarczą po przemianach ustrojowych po 1989 r. w Polsce.

Jerzy Witold Drzewi okresowo publikuje artykuły z dziedziny poradnictwa budowlanego w czasopismach regionalnych.



opowiadał o swoich stronach. Potem weszli na pogodę, że mokro, że mgła i ciemno. Żółty mówił, że w taką pogodę to złe tylko łązi po lesie, a u nich to mówią, że złego żadna kula się nie ima, tylko guzik. Żółty wstał i powiedział, że musi już iść, bo jak zwykle ma się spotkać ze strażnikiem z kordonu Goliszowiec w połowie pasa. Jak go nie będzie, to – zgodnie z regulaminem – zaczną go szukać nie wiedząc, co się stało. Pożegnali się i poszedł.

Chłop miał jeszcze dużo drogi do domu. Strażnik co nieco go nastraszył tym złym w lesie i z każdym krokiem jakaś niepewność w nim rosła. Przystanął, wyjął obrzynka zza pazuchy i sprawdził, czy nabity. Sam widok dwururki dodał mu odwagi. Już miał schować, ale pomyślał, że może by tak jeden metalowy guzik jednak nabić. Tak dla świętego spokoju.

– Potem wydtubię, nawet nikt nie będzie wiedział, że tak zrobiłem – zachodził w głowę.

Zostawił jeden gruby śrut w jednej, a masywny metalowy guzik od płaszcza włożył do drugiej lufy. Dobit ładunek, sprawdził, czy wszystko dobrze. Tak uzbrojony ruszył.

Dochodził do Mazurowskiej smugi, gdy zobaczył jakieś światło pomiędzy drzewami. Światło krążyło po uroczysku. Przystanął i się przeżegnał. Cisza jak makiem zasiał, ciemno i tylko to wątle światełko. Powoli ruszył

dalej gdy nagle... światełko błyskawicznie przemieściło się w jego stronę, znieruchomiło przed nim, zgasło, a z oparów mgły wyłoniło się coś, czego jeszcze nigdy nie widział. Miało toto łeb jak sarna, duże uszy, małe rogi, czarne nieruchome ślepia i kopyta. Sierść jak u wilka zimą. Ogona nie było widać. Stwór stał i patrzył. Chłopina nie mógł się ruszyć z przerażenia.

– Obserwuję cię, jak chodzisz tędy często sam i z kimś. Czy wiesz, że to jest moja smuga i trzeba się opłacić za przejście? Jak strażnikom płacisz za przejście granicy, mnie także będziesz płacił.

Chłop dochodził do siebie.

– Ile? – spytał.

– Nie o twoje pieniądze mi chodzi. Ludzie, których prowadzisz, jadą w świat i tam zostają. Mi potrzebna jest armia potępionych. Tu jest mało ludzi, a ci, co są, nie chcą mi się podporządkować. Bo lipski naród jest krnąbrny i niestrachliwy. Ci zaś, co tędy przechodzą, będą moimi prorokami i wyznawcami na świecie i będą rozprzestrzeniać mój kult, a w piekle będą tłumy.

– Co mam zrobić? – spytał chłop.

– Gdy będziesz kogoś prowadził, zostaw mi go na chwilę. Ja się nim zajmę i po chwili tak go przestraszę, że podpisze wszystkie cyrografy, jakie mu podsunę. Tobie dam spokój.

– A jak nie będę już tędy chodził?
 – To się tobą zajmą inni moi bracia.
 – Cholera jasna – pomyślał chłop. – Gdy się ludzie zwiędzą, że tu straszysz, stracę robotę i z głodu zdechnę ja i moja rodzina.

– No dobra, diable. Wynocha na smugę i więcej mi nie włącz w drogę – powiedział wyjmując obrzyna.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się bies. – A cóż to takiego?

– Po dobroci mówię, wynocha!

– Bo co?

– Bo to! – krzyknął chłop i dał ognia z jednej lufy.

Gdy dym z wystrzału opadł, zobaczył diabła, jak się tarzał po ziemi ze śmiechu.

– O, tu mi możesz nastrzelić. Tu! – wstając pokazał chłopu zadek.

Chłop natychmiast przypomniał sobie o Żółtym i wypalił z drugiej lufy załadowanej guzikiem. W lesie rozległ się przeraźliwy skowyt, wycie i trzask łamanych wierzchołków sosen, jakby jakieś tornado nad lasem przechodziło. Chłop aż podskoczył z wrażenia.

Powoli, niepewnie ruszył do domu. Diabła nie było widać. Cały czas słyszał wicher, trzaski łamanych drzew i przeraźliwe wycie, aż doszedł do domu.

Chłopi w karczmie w Brodach u Żyda pytali:

– Cóż to takiego przeszło nad lasem, że tak ogromnego spustoszenia narobiło?

Raz jeszcze zły pokazał się jednemu z mieszkańców Lipy, gdy ten wracał z wesela z Goliszowca, ale o tym innym razem.

Fury ze wsi poszły w las, aby działki z wiatrołomów posprzątać i drzewo pozwozić. A ci, co późnym wieczorem wracali, słyszeli przybliżający się i oddalający skowyt. Mówili, że nigdy takiej siły wilków nie było słyszeć ostatnio tak blisko chałup.

Dzisiaj jeszcze, gdy mgła otula smugi lasów lipskich, niektórzy z lipiaków opowiadają, że widzieli światełka na smudze w nocy to tu, to tam. Jeżeli dobrze się wówczas wsłuchać, słyszeć skowyt diabła Mazurowskiego liżącego postrzelony pośladek. Sam słyszałem, wracając kiedyś z choinkami jeszcze istniejącą kolejką, gdy byłem chłopakiem.

LIPSKA OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Był taki czas w Lipie, gdy nie było kościoła i wszyscy chodzili bądź jeździli do Zaklikowa. Dawno temu, pewnego roku zima była piękna – nie za dużo śniegu, nie za silny mróz, wszystkiego w sam raz. Świat wyglądał pięknie, a las wydawał się specjalnie przystrojony na święta. Uroku dodawały jeszcze piękne sople zwisające z drzew, poproszone świeżym śniegiem jak pączki pudrem.

Ludzie do kościoła w Zaklikowie na Pasterkę szli w chodakach, a przed kościołem przebierali się w buty, które niekiedy służyły całej rodzinie. Ubrania mieli na

sobie najlepsze, tak jak i humory, bo przecież święta, choinka ze świeczkami, kawałek kiełbasy, placki i kielich na niektórych czekał w rodzinnym kręgu. Był to czas, kiedy ludzie w Lipie bardziej się szanowali. Więcej radości było wokół ze wszystkiego, chociaż było tak biednie, że wychodziło się z chałupy i patrzyło, gdzie dym idzie z komina, aby ognia przynieść, bo zapalek nie było.

Tego roku dużo ludzi poszło na Pasterkę do Zaklikowa. Po pośniku taki spacer był przyjemnością, a las swym widokiem pieścił oczy. Ludzie szli grupami śpiewając kolędy i żartując. Po mszy tak samo wracano. Dwóch kolegów po pasterce spotkało znajome dziewczyny z Zaklikowa i – jak to u młodych – flirty przed kościołem przeciągnęły się trochę dłużej. Gdy przyszedł czas na powrót, zostali sami.

Ruszyli zatem do domu żartując i snując plany na święta. Gdy do Lipy zostało im dwie wiorsty, zobaczyli na skraju drogi ognisko, a przy nim siedzącego człowieka i sanie z koniem obok. Podeszli sądząc, że to jakiś lipiak wracający z pasterki. Był to mężczyzna około sześćdziesięciokilkuletni, postawny, o szerokich barach i zielonych spokojnych oczach. Miał bujną brodę i krzaczaste brwi, ubrany był w gruby kozuch i skórzane długie buty. Zobaczywszy ich poprosił, aby usiedli przy ognisku. Gdy spoczęli spytał, skąd idą, gdzie mieszkają, czym się zajmują?

Podał im kubek gorącej czarnej kawy zbożowej. Był niewielki mrozik, więc chłopcy z ochotą to przyjęli. Po jakimś czasie wędrowiec oznajmił, że jedzie do rodziny na święta na północ i ma spóźnienie, bo pękła belka przy jego saniach. Sam nie może nic poradzić, bo ma chory kręgosłup i tak się wlecze. I nie wiadomo, kiedy się dowlecze i czy w ogóle się dowlecze. Zakończył prośbą do nich, czy chłopaki nie pomogliby mu znaleźć w lesie odpowiedniego kawałka na tę belkę. Jeden z nich ochoczo zerwał się i powiedział, że oczywiście, bierze siekierę i idzie w las szukać. Drugi zaś oznajmił, że z największą przyjemnością by pomógł, ale ma nowe ubranie i nie może go zniszczyć.

Wziął zatem siekierę ten pierwszy i poszedł. Zaś drugi chłopiec siedział przy ognisku z wędrowcem i zabawiał go opowieściami o swoich dokonaniach, mądrości i pracowitości, racząc się kawą i grzejąc. Za jakiś czas przyszedł pierwszy przynosząc belkę. Wędrowiec spojrzał i rzekł, że jest za krótka. Poszedł więc chłopak ponownie i szukał dłuższej. Drzewa pięknie wyglądały, ale nie było przyjemnością ich ścinać. Z góry leciały śmiecie, śnieg i zamrożony lód. Chłopak znalazł odpowiedni kawałek, wyciął go i przyniósł. Mężczyzna spojrzał i stwierdził, że to nie ma być z sosny, tylko z dębu, bo musi być mocny. Poszedł zatem chłopak szukać dębu. Ręce zmarzły na kość, odzież mokra od potu, a w butach chłapie woda. Znalazł odpowiedni kawałek, uciął i przyniósł. Wówczas dowiedział się, że prawie dobry, ale musi być bardziej prosty, bo ten jest zbyt krzywy.

Jeszcze raz poszedł zatem chłopak ledwie żywy. Szukał, szukał, aż znalazł. Uciął go, rozdzierając sobie przy okazji rękaw przy nowej kurtce. Przyniósł ten



kawałek dębu zmęczony i zmarznięty na kość. Wędrowiec popatrzył i rzekł:

– Dziękuję wam, chłopcy. Tobie, za ciężką pracę, zaś tobie – zwrócił się do tego przy ognisku, że dotrzymałeś mi towarzystwa w ten świąteczny wigilijny wieczór. Teraz już spokojnie mogę jechać dalej do rodziny. Koń mi wypoczął, a kawałek uszkodzonych sań sam sobie naprawię. Tobie przyjacielu, jako że byłeś moim towarzyszem przy ognisku, ofiaruję ten udziec barani. Na pewno przyda się wam na święta. Tobie przyjacielu, za ten kawałek drewna podaję rękę, życząc tobie i twojej rodzinie lepszego losu.

Gdy nieznajomy ścisnął dłoń chłopca pracującego w lesie, ten poczuł, jak jakieś ciepło rozeszło się po całym jego ciele tak, że na chwilę nie czuł zimna.

– Nic ci nie mogę ofiarować ponad to, ponieważ jesteś tak zmęczony i zmarznięty, że nie mam sumienia obciążać cię na dalszą drogę.

Pożegnali się i ruszyli w drogę do domu. Gdy doszli do celu, ten, który pracował w lesie, tak zmarzł, że nie było na nim kropli wody, tylko sam lód. Nie mógł zdjąć ubrania w sieni. Gdy się rozebrał, było już nad ranem. Zwałił się z nóg jak kłoda, zasypiając natychmiast. Obdarowany udźcem baranem przydzwigał podarunek do domu i zbudził wszystkich pokazując prezent. Wszyscy w rodzinie się cieszyli i chwalili go.

Chłopcu pracującemu w lesie nie dane było się wyspać. Matka wstała rano i zobaczyła nową odzież – jedyną, jaką miał – brudną i w strzępach. Zapominając, że są święta, wpadła z krzykiem do izby gdzie spał chłopak.

– Coś ty narobił! Jedyna odzież, jaką miałeś do kościoła, nawet na ścierkę się nie nadaje!

Rzuciła ubraniem prosto w twarz chłopca. Ten nie wiedział, co się dzieje. Po izbie rozsypały się śmieci i lód z kieszeni kurtki. Ojciec widząc to, rzekł:

– Kobieto, nie wrzeszcz. Święta są. Psujesz je sobie i nam.

Kobieta z płaczem wybiegła z izby. Po godzinie zapłakana wróciła z miotłą, aby posprzątać. Zamiatając spostrzegła, że sople lodu, które wyleciały z kieszeni kurtki, nie roztopiły się, pomimo że w izbie było bardzo ciepło. Kawałki lodu mieniły się całą barwą kolorów. Nigdy czegoś takiego nie widziano. Zawołała męża, a ten powiedział, że trza iść do starego Michała, co był w carskim wojsku i dużo świata widział. Ojciec chłopaka wziął kurtkę, a tam całe kieszenie tego czegoś razem z korą i igłami. Wzięli razem jeden kawałek lodu i poszli po radę. Stary Michał spojrzał i krzyknął.

– Ludzie! Toż to najprawdziwszy w świecie diament! Skąd go wzięliście? Toż to bogactwo nieprzebrane. Za ten diament możecie stado baranów i jeszcze na dodatek parę pięknych wołów pociągowych, a może i więcej kupić. W Lublinie u Żyda możecie to bez problemu sprzedać i z inwentarzem wrócić.

Wrócili zatem oboje rodzice do domu. Pozbierali wszystkie kawałeczki do lnianego woreczka i dawaj pytać syna, skąd to ma.

Od tych świąt życie tych ludzi odmieniło się całkowicie. Poza tym, że mieli niezmierzone bogactwo, to jeszcze byli ludźmi skromnymi i ogromnie pracowitymi.

Drugi zaś chłopak rano wstał i zastał stół świąteczny zastawiony jedzeniem i piciem. Na honorowym miejscu królował udziec barani, który w nocy dostał od wędrowca za towarzystwo przy ognisku. Wszyscy starym zwyczajem odmówili modlitwę i usiedli do śniadania. Oczywiście, największym powodzeniem cieszył się udziec, który zniknął w mgnieniu oka.

Gdy została goła kość, uczujący wspominali nocne zdarzenie. Wychwalali, jakiego to mądrego syna mają. Po pewnym czasie dało się słyszeć jakieś pischczenie. Wszyscy zaczęli zgadywać, co to. Jedni, że to ogień w piecu, który stał w kącie izby, inni, że mysz. Ktoś powiedział, że wiatr w kominie wyje. Ale chłopak od ogniska stwierdził, że pischczenie dobiega z tej kości, co na stole leży.

Przyniesli zatem duży nóż i dalej wiercić w tej kości baraniej dziurę. Gdy już jedna strona była otwarta, coś wystawiło łeb z jej wnętrza i rozejrzało się dookoła. Na stół wylazło coś pokracznego i suchego. Łeb miało wielki, oczy wylupiające, łapy jak u psa – tylko kościste, ręce jak pletwy szerokie i suche, cerę ziemistą.

– No, nareszcie! Trzysta lat czekałam, aż mnie ktoś wypuści z tej kości, dobrodzieje moi kochani. Teraz już zawsze będę z wami i nigdy was nie opuszczę.

– Ktoś ty? – spytał ojciec chłopca.

– Jestem bida pischcząca.

– Ale my cię nie chcemy! Wynoś się stąd! – krzyczeli.

– Ja jestem prezentem dla was i mam prawo tu być, aż pójdziecie z torbami. Wówczas znajdę sobie innego opiekuna.

I bida za piec i siedzi. Próbowali z jednej, z drugiej strony, i miotłą, i pałą. Nie dało rady.

Od tego czasu życie tych ludzi zmieniło się całkowicie. Najpierw zachorował gospodarz i – jako głowa rodziny – pozbawił środków do życia resztę. Potem w oborze zaczął się pomór. Każde cięło zdychało w dwa dni, aż i krowa zdechła. Spłonęły zabudowania gospodarcze. Rodzina stanęła przed widmem śmierci głodowej. Nie było sposobu na wygonienie bidy z za pieca.

Gospodarz był tak schorowany i zrezygnowany, że szykował sobie sznur i szukał najwyższej sosny w okolicy. Ratunek przyszedł, ale bardzo dużo czasu upłynęło. A bida? No, pischczała! Zawsze w nocy, gdy miało przyjść jakieś kolejne nieszczęście, słychać było, jak cicho pischczy za piecem.

Mówią, że teraz też trzeba nasłuchiwać w domu, czy coś nie pischczy za piecem – szczególnie w nocy. Tak, tak, wiem – teraz nie ma pieców, jak kiedyś. Ale za to są kaloryfery. I zawsze sprawdźcie w nocy, czy to na pewno woda w rurach pischczy, czy coś nie wlaźło za kaloryfer. Bo kto wie...

Rys. Mariusz Bajek

KSIĄŻKI, KTÓRE KSZTAŁCĄ

Oficyna wydawnicza „Kolumb” z siedzibą w Siemianowicach Śląskich udostępniła czytelnikom obszerne opracowanie dra Jana CIECHANOWICZA pt. „Trzy Etyki” (tom I: „Etyka wielkich cywilizacji” str. 744; tom II: „Etyka życia i śmierci” str. 510; tom III: „Etyka czterech umiejętności” str. 364). Te książki będą pożyteczne dla osób w każdym wieku, ponieważ stanowią uniwersalną encyklopedię mądrości życiowej; dzieło, które warto uważnie przestudiować, aby żyć świadomie, rozumnie i dawać sobie radę z wszelkimi trudnościami, którymi przepełnione jest każde życie ludzkie. Nie ma bowiem człowiek lepszego w życiu przewodnika niż mądrość. Jako aneks edycja zawiera wybór kolorowych ilustracji.

Na „Etiudy etnomiczne” tegoż autora, wydanie drugie, poszerzone, (etnomiczka to nauka o mądrym i dobrym życiu) składają się: tom I: „O poszlanych orzechach” str. 575; tom II: „O tańczącej mądrości” str. 567; tom III: „O myślącej trzcinie” str. 600, które zawierają 153 eseje filozoficzne, m.in. „O niedocieczoności istnienia”, „O duszy”, „O prawdzie”, „O fanatyzmie”, „O wrogości”, „O gniewie”, „O uczonym nieuctwie”, „O pochlebstwie”, „O wysmiewaniu”, „O pracy”, „O kobietach”, „O duszy tłumu”, „O szczęściu”, „O genialności”, „O bogactwie”, „O plotkach”, „O sztuce przewodzenia”, „O uprzejmości”, „O pijanństwie”, „O charakterze narodowym Polaków”, „O etyce biznesu”, „O głupocie”, „O rasach”, „O szaleństwach”, „O wstydzie”, „O dzieciach”, „O rodzicach”, „O mocy ducha” itd.

„Geniusze wojny” (tom I str. 388; tom II str. 300) to opracowanie, w którym czytelnik znajdzie nie tylko obszerną rozprawę autora o filozofii wojny i obyczajach wojkowych, lecz także oparte na źródłach archiwalnych i wielojęzycznej literaturze przedmiotu biografie 32 wybitnych dowódców (marszałków, generałów i marszałków polnych) polskiego pochodzenia, zasłużonych na polach bitewnych takich krajów, jak USA, Ukraina, Niemcy, Rosja, Francja, Białoruś. Ilustracje.

„Wysłannicy Słowa” (tom I str. 500; tom II str. 487) to dzieło poświęcone wkładowi wybitnych pisarzy polskiego pochodzenia (ponad 60 sylwetek) do obcych literatur, m.in. angielskiej, francuskiej, rosyjskiej, ukraińskiej, greckiej, białoruskiej, tureckiej. Książka



zawiera mnóstwo fragmentów różnych dzieł literackich w oryginale i w tłumaczeniu autora opracowania. Literatura tworzona przez Polaków na obczyźnie stanowi wielkie świadectwo olbrzymich możliwości twórczych narodu polskiego! Ilustracje.

„Dobroczynicy ludzkości” (tom I str. 462; tom II str. 456) to książka o wybitnych uczonych z zakresu medycyny i genetyki oraz o lekarzach polskiego pochodzenia, w kilku przypadkach laureatach nagrody Nobla, pracujących dla dobra ludzkości w wielu krajach na różnych kontynentach. Książka zawiera m.in. interesujące informacje i rozważania z zakresu historii, psychologii i filozofii medycyny. Ilustracje.

„Urok prowincjonalizmu. Z dziejów sztuk pięknych na Kresach Wschodnich” – licząca 336 stron książka ukazuje fascynujące i bohaterskie dzieje polskiej sztuki (malarstwa, muzyki, grafiki, fotografiki, architektury, rzeźby) na terenach wokół dwóch dawnych stolic kultury polskiej – Lwowa i Wilna; zawiera szereg odkrytych przez

autora podczas kwerend archiwalnych nieznanych faktów i szczegółów dotyczących życia i twórczości tak znakomitych artystów, jak Artur Grottger, Michał Kleofas Ogiński, Stanisław Moniuszko, Ferdynand Ruszczyc i kilkadziesiąt innych. Znakomity wybór ilustracji kolorowych, przedstawiających perły kresowej architektury sakralnej, dzieł malarskich, znaczków pocztowych poświęconych sztukom pięknym.

„*Polonobolszewia. Siedmiu mędrców sowieckich, czyli jak polska szlachta komunizowała Rosję*” (str. 288). Poprzez sylwetki A. Kołłątaj, J. Marchlewskiego, W. Worowskiego, Cz. Mężyńskiego, A. Wyszyńskiego, S. Strumiłły, A. Hromyki autor ukazuje intrygujące dzieje teorii i praktyki socjalizmu, tragedie osobiste i masowe, które miały miejsce podczas próby zbudowania komunistycznego „raju na ziemi” na terenie Rosji. Ilustracje.

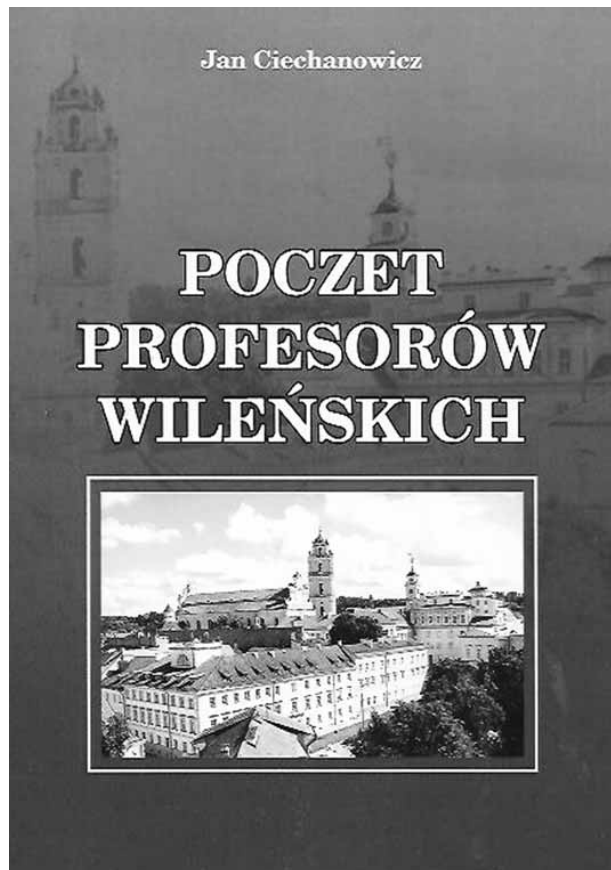
„*Z dziejów kultury W. Ks. Litwy*” (str. 544) stanowi syntetyczne ujęcie dziejów języka i kultury polskiej w Wielkim Księstwie Litewskim od czasów Gedymina i Mendoga aż do wieku XX włącznie. Znajdziemy tu zarys m.in. historii Uniwersytetu Wileńskiego, „opowieść o wileńskim elementarzu” (to właśnie w Wilnie wydano pierwszy elementarz polski); sylwetki (znowuż oparte na

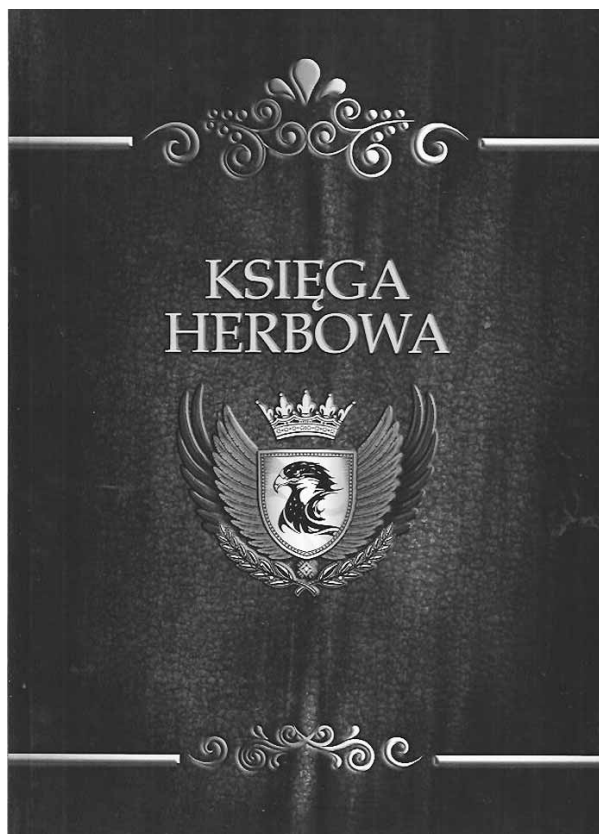


materiałach archiwalnych) poety Mikołaja Hussowskiego, Macieja Strykowski, Mikołaja Reja, Jana Abramowicza, Emilii Plater, Władysława Tatarkiewicza itd. Ilustracje.

„*Poczet profesorów wileńskich*” (str. 476), jak świadczy nazwa, poświęcony jest dokonaniom naukowym i dydaktycznym kilkudziesięciu wybitnych intelektualistów, bez których nie sposób sobie wyobrazić kultury polskiej, białoruskiej, litewskiej, a nawet ogólnoeuropejskiej, a są to m.in.: Jakub Wujek, Maciej Kazimierz Sarbiewski, bracia Śniadeccy, Joachim Lelewel, Zygmunt Rewkowski, Feliks Koneczny, Marian Zdziechowski, Bronisław Żongołłowicz. Autor przytacza wiele oryginalnych, nigdy nie publikowanych dokumentów archiwalnych ze zbiorów w Wilnie, Krakowie, Warszawie, Moskwie, Mińsku, Grodnie czy Petersburgu. Ilustracje.

„*Synowie księcia Gedymina*” (str. 545) to oparte na źródłach archiwalnych, napisane niejako na nowo zbeletryzowane życiorysy tak znakomitych twórców kultury europejskiej, jak Adam Mickiewicz (autor definitywnie m.in. rozprawia się z kłamstwem o rzekomo żydowskim pochodzeniu matki naszego Wieszcza),





Juliusz Słowacki, Józef Ignacy Kraszewski, inni wybitni reprezentanci kultury i nauki, którzy studiowali w Akademii św. Jana w Wilnie. Ilustracje.

Książka „*W królestwie Uranii*” (str. 414) ukazuje wielkie dokonania podróżników, geografów i astronomów polskiego pochodzenia na obczyźnie, ich olbrzymi wkład do nauki światowej. Autor przytacza dziesiątki przykładów tego, jak ku czci naszych rodaków i aby uczcić ich zasługi naukowe, nadawano im dziesiątkom obiektów geograficznych i geologicznych na całej kuli ziemskiej i oznaczano ich nazwiskiem mnóstwo gatunków azjatyckiej, afrykańskiej, amerykańskiej, australijskiej flory i fauny. Ilustracje.

„*Księga herbowa Białej, Czarnej i Czerwonej Rusi, Inflant, Litwy, Moskwy, Polski, Ukrainy i Żmudzi*” (str. 316). Piękne, bibliofilskie wydanie albumowe, przedstawiające około 2 tysięcy wizerunków herbów szlachty litewskiej, polskiej, rosyjskiej, ukraińskiej i in. (w tym ponad 700 w kolorze, przede wszystkim wykonane przez autora zdjęcia oryginalnych, odręcznie malowanych herbów szlacheckich ze zbiorów archiwalnych Wilna, Mińska, Petersburga, Krakowa, Warszawy, obecnie praktycznie niedostępnych). W części informacyjnej około 20 tysięcy nazwisk ze

wskazaniem odnośnego godła rodowego z terenów występujących w nazwie edycji.

„*Niemieckie idiomy, zwroty, porzekadła, skrzydlate słowa, przysłowia*” (str. 602); najobszerniejszy ze wszystkich dotychczasowych niemiecko-polski słownik idiomatyczny, zawierający dziesiątki tysięcy zwrotów; księga podręczna dla wszystkich miłośników języka niemieckiego, studentów, licealistów, tłumaczy literatury pięknej. Wydanie amerykańskie.

„*Niemiecko-polski słownik frazeologiczny*” (str. 327).

„*Przysłowie prawdę powie. Mały niemiecko-polski słownik porzekadeł i przysłów*” (str. 114). Wybór klasycznych, najpiękniejszych przysłów niemieckich i ich polskich ekwiwalentów, dobranych według zasady, że „przysłowia są mądrością narodów”.

„*Spaßvogel. Witze und Schwänke aus Gegenwart und Vergangenheit*” – „*Żartowniś. Anegdoty i facecje z teraźniejszości i przeszłości*” (str. 108). Zbiór dowcipów i anegdot do samodzielnej lektury w języku niemieckim; lektura jednocześnie kształcąca i rozrywkowa.

„*W cieniu rajszych jabłoni. Wybitni reprezentanci nauki pochodzący z ziem dawnej Rzeczypospolitej na obczyźnie*” (str. 400). Psychologiczne sylwetki ponad 50 znakomitych uczonych polskiego pochodzenia, zasłużonych w zakresie fizyki, matematyki, chemii, techniki, budownictwa, rolnictwa m.in. w Kanadzie, Peru, Rosji, Litwie, Niemczech, Francji, Ukrainie. Ilustracje.

Wymienione powyżej książki można zamówić bezpośrednio u Autora, kierując listy na adres:

**Dr Jan Ciechanowicz,
09 – 550, Kamieniec 19(b)
pow. gostyński
woj. mazowieckie**

**lub kontaktując się telefonicznie :
+48-608-531-266**



СОЛОДКИЙ КАВАЛОК ЛЬВОВА У ТВОЄМУ МІСТІ

ЛЬВІВ

вулиця Сербська, 3
050 430 60 33
067 340 22 67

ЛЬВІВ

вулиця Січових Стрільців, 5
050 378 23 62
067 313 24 03

ЛЬВІВ (аеропорт)

вулиця Любінська, 168
050 43 04 755

ЛЬВІВ (с. Сокольніки)

вул. Стрийська,
ТРЦ "King Cross Leopold"
067 672 51 97
050 434 89 09

КИЇВ

вулиця Горького, 45 (Антоновича)
050 468 41 91

КИЇВ

бульвар Тараса Шевченка, 36
050 370 90 60

КИЇВ

Андріївський узвіз, 2Б
(044) 425 03 20
063 278 74 74

ІВАНО-ФРАНКІВСЬК

вулиця Мазепи, 6
098 608 57 09

СУМИ

вул. Соборна, 48
099 161 89 63

ЖИТОМИР

майдан Перемоги, 7
(0412) 480 470
099 213 81 82

ВІННИЦЯ

вулиця Соборна, 101
(0432) 562 644

099 230 48 73

УЖГОРОД

вулиця Корзо, 2
096 308 86 88

ХМЕЛЬНИЦЬКИЙ

вулиця Проскурівська, 33
050 302 07 09

ДОНЕЦЬК

бульвар Пушкіна, 16
095 758 26 26

ДНІПРОПЕТРОВСЬК

вулиця Карла Маркса, 55
067 544 44 46

ЗАПОРІЖЖЯ

проспект Леніна, 171
(061) 224 03 53

063 948 70 70

ТРУСКАВЕЦЬ

вулиця Шевченка, 4
247 53 770
050 378 63 82

ХАРКІВ

вулиця Квітки - Основяненка, 12
050 363 2632

ОДЕСА

вулиця Пушкінська, 76
068 525 47 45

ОДЕСА

вулиця Дерибасівська, 31
067 917 21 67

КІРОВОГРАД

вулиця Дворцова, 16/7
050 488 86 8

ПОЛТАВА

вулиця Фрунзе 27/24
099 544 47 57

ЧЕРНІВЦІ

вулиця Ольги Кобилянської, 15
099 085 15 55

KRAKÓW (Польща)

ulica Szewska 7
(+48) 502 090 765

KRAKÓW (Польща)

ulica Stawowa 61
(+48) 502 090 765

WARSZAWA (Польща)

ulica Marszałkowska 84
(+22)8219011



